Łódź

# Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

NUMER 39 (1383) ROK XXVII 29 WRZEŚNIA 1984 ROKU CENA 15 ZŁ

■ Szkoła na dziś i jutro
■ Bilans Września
■ Futra mają nieodparty urok
■ Nie tylko „Susanna"
■ Poker z Hamletem

## Uczymy się na błędach... 10

Rozmowa z dyrektorem Estrady Łódzkiej JANUSZEM SIKORĄ.

## Pomyłki, które mogą kosztować życie

EDWARD BRYL

Czekał w redakcji, w sekretariacie, na krześle, pokornie, cicho. Dla niego była to cała wyprawa. Ma poważne kłopoty z chodzeniem. (Inwalida wojenny, były kurier AK, pod Głownem Niemcy przestrzelili mu stopę). Dodatkowo od dawna choruje na cukrzycę. Piątego stycznia br. zasłabł w tramwaju, stracił przytomność. Wezwano pogotowie; specjalistyczny zespół wypadkowy „W", zamiast do szpitala zawiózł go do.. izby wytrzeźwień. Przez sześć godzin pozbawiony niezbędnej cukrzykowi pomocy, później prawie cudem odratowany.

— Tak nie można postępować z ludźmi — mówi. — Ze skargą do lekarza wojewódzkiego oczywiście nie dostałem się, nawet w dni przyjęć. Za wysokie progi! Z trudem zostałem dopuszczony do doktora Jerzego Hendzlika. Też zbywano mnie. Ciągle kazano przychodzić od nowa. Przecież żyje pan — usłyszałem w końcu — więc o co chodzi? Ale powiem po kolei. Tamtego pamiętnego dnia kupiłem ryby i pieczywo na Placu Niepodległości i około jedenastej wsiadłem do tramwaju linii 41. Przy Rondzie Titowa poczułem się źle i straciłem przytomność. Ocknąłem się dopiero w szpitalu. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że dostałem się tam poprzez izbę wytrzeźwień. Gdy opuszczałem szpital, zobaczyłem w jakim stanie jest moja odzież. Poobrywane guziki przy kurtce, koszula całkowicie podarta. Chyba nie tutejszy personel tak się ze mną obchodził. Boję się teraz ulicy. Dotąd wierzyłem, że międzynarodowy znak w czterech językach, także i polskim, informujący, iż jestem cukrzykiem, uchroni mnie od fatalnej pomyłki. Noszę go zawsze przy sobie, w taki sposób, że jest widoczny natychmiast po otwarciu portfela. Tymczasem pieniądze znaleziono szybko, zabrano należność za pobyt w Izbie Wytrzeźwień. Znak

6

ROMAN KUBIAK

## Wólczańska 49

Są takie miejsca, do których jedni nie chcą wracać, inni zaś wracają z ochotą. Ci pierwsi muszą długo przełamywać wewnętrzny opór, zbierać się w sobie, postanowić: „jutro rano i tylko jutro rano!" Nie, nie dlatego, że czują lęk, albo że są onieśmieleni — nie dlatego. To raczej niezręczność sytuacji w jakiej przyjdzie się znaleźć odbiera dobre samopoczucie, rozbraja posiadany arsenał tupetu. I wtedy trzeba po prostu iść tam — szybko iść, szybko załatwić sprawę, szybko wyjść. Ale te same miejsca mogą być również Mekką — dla tych, którzy wracają doń z ochotą. To są ci drudzy, ci nie czujący żadnego oporu, ci mówiący: „normalka".

Wólczańska 49. Wydział Zatrudnienia i Spraw Socjalnych Urzędu Miasta. Popularny „pośredniak". Dla jednych uczucie wstydu zrodzone z samego już faktu stania w kolejce po pracę — nikt nie lubi prosić o pracę. Dla innych Mekka, stały repertuar trzech dni tygodnia — oni nie proszą o pracę, do nich praca przychodzi po prośbie.

Wólczańska 49. Poniedziałki, środy, piątki — „dni mężczyzn". Przed bramą tłoczno. Przechodnie idący ulicą Wólczańską schodzą na jezdnię, aby ominąć ludzką ciżbę skutecznie blokującą całą szerokość trotuaru. Tylko czasem jakiś spóźniony biuralista przepycha się między grupkami czekających, dumnie wypinając pierś, jakby dla zamanifestowania swej społecznej pozycji. I pewnie gdyby mógł, gdyby nie lękał się tych ludzi, pewnie wtedy zakrzyknąłby: „Wy nieroby! To ja biegnę do pracy, a wy, darmozjady, obijacie się!" Ale oczywiście nie zrobi tego, nie zakrzyknie, nie wyda z siebie żadnego dźwięku.

Godzina siódma. Umundurowany wartownik zbliża się do bramy. Tłum napiera na stalowe wrota. Zgrzyta łańcuch i skrzydła bramy odskakują na boki. Mężczyźni w szaleńczym biegu przemierzają dziedziniec, wpadają do poczekalni, zajmują miejsca w kolejce do okienka. Trzydziestu, czterdziestu, sześćdziesięciu. A gdzie reszta? Reszta nie musi rejestrować się w pośredniaku. Reszta ma „mocne" papiery i czas — dużo czasu. Ta reszta w liczbie stukilkudziesięciu chłopa będzie czekała na swój dzień, na swoją fuchę, na farta. Mają czas, więc jak co dzień wymieniają świeże wrażenia, spekulują na temat szans załapania intratnej fuchy:

— Przyjedzie, przyjedzie — potrzebuje ludzi do zalewania stropów. Wtedy zabrał czterech ale dwóch wywalił, bo się nabuzowali i spadli z rusztowania...

— Zaraz podjadą chłopki. Będą naganiać do żniw, bo pogoda się klaruje. U chłopa krzywdy nie ma. Nie natyrasz się i na głodniaka do domu nie puści...

Jest tłok. Jest armia bezrobotnych w kolejce po pracę. I jest kraj, gdzie praca bezskutecznie czeka na pracownika, gdzie codzienne gazety konsekwentnie zamieszczają całe kolumny ofert zatrudnienia, a kierownicy zakładów ustawicznie skarżą się na brak rąk do pracy, sugerując, iż tu właśnie tkwi przyczyna niskiego poziomu produkcji. Kadrowcy na delegacjach docierają do zabitych dechami wiosek, kaperując każdą napotkaną parę rąk. Finansowi kombinują jak powiększyć i tak już wybujałe szczyty płacowych kominów o kolejne dodatki, premie, fundusze, a wszystko w celu zatrzymania w swej instytucji bezcennych panów murarzy, cieśli, hydraulików.

Trwa przetarg o robotnika. Już nie oferta pracy, ale zwyczajne podlizywanie się, kokietowanie przyuczonych, niewykwalifikowanych i wykwalifikowanych. A

6

# Odgłosy

Adres redakcji: 90 438 Łódź, al. Mickiewicza 11. Telefony: redaktor naczelny i sekretariat redakcji: 36-52-44, zastępca redaktora naczelnego, sekretarz redakcji: 36-80-99. Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski. Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas. Sekretarz redakcji: Andrzej Karolczak. Zastępca sekretarza redakcji: Grażyna Olechnowicz. Kierownik działu literackiego: Igor Sikirycki. Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Karol J. Stryjski, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska. Grafik: Janusz Szymański-Glanc. Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński. Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk. Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Zenon J. Michalski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Jerzy Wilmański.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch". 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykła jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 2733. E-5



# Odgłosy




# Przegląd prasy

Niewątpliwie najważniejszym tekstem gazetowym ubiegłego tygodnia był artykuł redakcyjny „Trybuny Ludu" (nr 226 — 20.09.84) — „W sprawie stosunków amerykańsko-polskich". Ma on charakter półoficjalny, nie jest dokumentem dyplomatycznym, można więc było napisać w nim dokładnie to, co my tu w Polsce

## MYŚLIMY O POLITYCE AMERYKAŃSKIEJ

— bez rytualnych frazesów języka stosunków międzynarodowych.

Polska Agencja Prasowa doniosła, że tekst ten spotkał się ze sporym zainteresowaniem w świecie. Jacyś zdolni sowietolodzy z amerykańskich ośrodków analitycznych odczytali go jako... polskie zaproszenie do natychmiastowej poprawy stosunków między oboma krajami bez żadnych warunkow. No cóż, można odczytać i tak, zwłaszcza gdy się bardzo chce, by przeciwnik wreszcie się ugiął i prosił wodza Zachodu o łaskę. Zwłaszcza takie na przykład zdania są bez wątpienia pokorną prośbą: *„Zargon arogancji i szowinizmu, wniesiony przez kalifornijską grupę kapitałową, może na długo zaciążyć nad stosunkami Wschód — Zachód. Nie ma w świecie takiego prawa, że Stany Zjednoczone mogą stać ponad normami, jakie w ciągu stuleci ukształtowały się w stosunkach między cywilizowanymi narodami.*

*Powinny one uznać elementarne zasady kultury dyplomatycznej. Respektować utrwalone zwyczajem formy dialogu. Odpowiadać na noty. Nie znieważać innych państw i ich rządów. Stosować się przynajmniej do reguł zwykłej przyzwoitości. Innego wyjścia po prostu nie ma i nie będzie. W każdym razie nie będzie go w stosunkach z Polską."*

Takie cytaty można mnożyć — i gdzie oni tu widzą prośbę o dialog? Zresztą mniejsza z amerykańską administracją i jej ekspertami od mniemanologii.

Zastanawiam się natomiast, jakie są poglądy na polsko-amerykańskie sprawy u przeciętnego obywatela naszego kraju. Aktualnie chyba nikt tego w sposób naukowo wiarygodny nie bada — zresztą i problem nie jest pierwszoplanowy w naszej bieżącej rzeczywistości politycznej i społecznej.

W każdym razie na pewno należałoby badać odbiór i stopień obywatelskiej identyfikacji z poglądami głoszonymi w tekstach takich jak artykuł „Trybuny Ludu". Obiegowy pogląd, że na sprawy amerykańskie patrzymy

## PRZEZ PRYZMAT ZIELONEGO PAPIERKA

wprawdzie tak dalece nie zasługuje na rzeczową polemikę, by wytaczać przeciw niemu argumenty oparte o badania opinii publicznej, ale potrzeba samowiedzy społecznej wymaga rzetelnego zaspokojenia.

Na razie w tej kwestii dominuje — albowiem jest najlepiej znany — stereotyp poglądów polskiego kołtuna, opisywany wielekroć, traktowany jak poletko treningowe przez początkujących publicystów. A i wytrawni mistrzowie nie odmawiają sobie przyjemności. Czymże bowiem jest ów stereotyp? Jego esencją są wyłącznie emocje. Myślenie bowiem u typowego kołtuna, myślenie racjonalne, przebiega tylko w postaci szczątkowej, wyłącznie

## NA TRASIE: OKO — RĘKA

czyli brać — nie brać; inne sfery abstrakcji, zwłaszcza zaś moralnych, są dla kołtuna niedostępne. Jednym zaś z tych irracjonalnych uczuć jest uczucie miłości. Akurat tak się składa, że obiektem tej miłości jest pewien emerytowany (z powodu zmian sklerotycznych, uniemożliwiających zapamiętanie roli) aktor hollywoodzki i jego papierki, miliardy papierków (i jego perszingi...). Drugim uczuciem jest nienawiść...

O niej właśnie napisał ostatnio Jan Rem wielce smaczny kawałek w swych „Samosądach" („Tu i Teraz" nr 38 — 19.09.94). W tych „Seansach nienawiści" Rem zaczyna wywód od żoliborskich kazań księdza Popiełuszki, który powoduje swymi umiejętnościami sterowania emocjami zbiorowymi, ze uczucia nienawiści do komunizmu wyładowują się w tłumie nienawistników, podczas *„sesji politycznej wścieklizny"*...

Popiełuszko to tylko wróbel na skraju drogi, dość piskliwy, ale wróbel, grzebiący się w mierzwie dziejów. Przy okazji Jan Rem dokonał profetycznej syntezy naszej najbliższej przyszłości politycznej:

*„(...) obserwujemy zalew faktów, argumentów, danych, same racje i rozumowania. Tymi sposobami można, owszem, ludzi przekonać. Nie sposób jednak wywołać żadnych emocji, zbudować wspólnoty uczuć i odruchów masowych, zespolić mas*

## W OPARCIU O ZBIOROWE PRZEŻYCIA POLITYCZNE

*Jest to z mojej strony konstatacja, a nie propozycja urządzania np. antyreaganowskich wieców (...). Uważam za mądrą rezygnację z bogatszych środków politycznego oddziaływania, sądzę, że umiar i racjonalizm będą procentować na dalszą metę, bo upiory, które zoliborski magik polityczny wypuszcza spod ornatu, same pozdychają. Myślenie ma przyszłość, nie zaś podniecanie fanatyzmu. Lepsze są więc rzetelne tabele statystyczne otoczone powszechną obojętnością, niż uskrzydlone frazesy pobudzające płytkie emocje. Jakaś ilość ludzi nowoczesnych i rozumnych przecież już dziś dlatego właśnie sympatyzuje z polityką PZPR, że razi ich krzykliwe pustosłowie strony przeciwnej, mierzi zbiorowa histeria i irracjonalny fanatyzm."*

We wrześniowym numerze białostockich „Kontrastów" znalazłem cytat, który stanowi nieoczekiwanie uzupełnienie wywodu Jana Rema. Jest to fragment z wywiadu z prof. Janem Szczepańskim — wywiadu, który się w rzeczywistości nie odbył; autor zebrał tylko, za zgodą profesora, cytaty z jego wcześniejszych prac. I oto jeden z nich, zatytułowany:

## GDZIE SIĘ KRYJE ROZUM POLITYCZNY POLAKÓW?

*„Nieraz w wypowiedziach publicystów można było wyczytać mniej lub bardziej wyraźnie sformułowane, doniosłe i bardzo niebezpieczne założenia, mianowicie: tylko w partii skupił się rozum polityczny Polaków; i drugie: tylko partia jest odpowiedzialna za Polskę. Oba te założenia są równie fałszywe, jak niebezpieczne. Rozum polityczny jest bowiem rozsiany w całym narodzie według normalnej krzywej Galtona, a odpowiedzialność za Polskę ponosi każdy bez wyjątku obywatel. Dawniej odzwyczajano obywateli od ponoszenia odpowiedzialności, a tendencje do lekceważenia czy też podejrzewania bezpartyjnych o nieudolność myślenia politycznego powodowały szkodliwy przedział i prowadziły do unikania dyskusji politycznej z ogółem obywateli." (Rozważania o Rzeczypospolitej — 1971)*

Cóż ten cytat sprzed trzynastu lat, obiektywnie skądinąd słuszny jak cholera, właściwie znaczy d z i s i a j? Podejrzewam, że dziennikarz „Kontrastów" Janusz Stankiewicz, chciał w ten sposób przemycić swego rodzaju memento dla współczesnej praktyki politycznej — praktyki tak przecież odległej od tej, którą obserwował prof. Szczepański i na jej gruncie sformułował swą tezę.

Lecz cóż, ostrzeżeń nigdy za wiele — pomyślał sobie Stankiewicz, zapewne nie bez aprobaty profesora. I słusznie — w trakcie ostrej walki politycznej, której natężenie wcale nie maleje, przyjęcie postawy monopolizującej rozum po własnej stronie jest całkiem prawdopodobne — jako efekt albo zatrucia mitologią, albo „syndromu oblężonej twierdzy".

Warto jednak wiedzieć, że wiara w to, iż rozum skupia się po naszej stronie, jest właściwa nie tylko partii i w ogóle stronnikom porozumienia. Przeciwnik rozumuje tak samo. Różnica jest taka, że przeciwnicy ustroju i państwa są rzeczywiście nieodpowiedzialni — w tej sytuacji trudno doszukiwać się u nich rozumu politycznego — bo i po co właściwie? Natomiast partia i jej stronnicy na luksus zawłaszczenia rozumu na wyłączność nie mogą sobie pozwolić. Albowiem

## SOCJALIZM MA SIĘ LEPIEJ

gdy jego wartości broni się w otwartej konfrontacji idei, a przede wszystkim racjonalnych argumentów i faktów.

W tym miejscu muszę wrócić do osoby i poglądów docenta pułkownika Stanisława Kwiatkowskiego. Prywatnie objawił się on jako pierwszorzędnej wody demagog w kwestii inteligencji. Ale człowiek o tym samym nazwisku, stopniu i funkcji udzielił wywiadu poznańskiemu tygodnikowi „Wprost" (nr 39 — 23.09.84 — tekst pt. „Czarno-białe w kolorze"), jawiąc się jako wytrawny polityk i rzetelny naukowiec.

Albo jest dwóch Kwiatkowskich, albo ten jeden jedyny zasługuje na zaufanie jako badacz opinii społecznej, chociaż ma niekonwencjonalne, raczej ekstremalne poglądy. Skłaniam się ku drugiej możliwości i obok przeprosin za niecne podejrzenie winien jestem mu wdzięczność za pewien pogląd wyrażony we wspomnianym wywiadzie:

*„(...) przecież po to prezentujemy stanowisko przeciwnika, aby je obnażyć i skompromitować. Liczy się efekt końcowy. (...) Proszę zwrócić uwagę na rubrykę „Obraz tygodnia" w „Tygodniku Powszechnym". Zestawienia drobnych informacji są na ogół wiele mówiące... To, czego powinien domyślić się czytelnik, a czego przecież nie ma w tekście, może być najlepszą propagandą..."*

Zwróciłem uwagę. I oto

## CYTAT Z „OBRAZU TYGODNIA"

(„TP" nr 39 — 23.09.84) — przy okazji przepraszam, że publicznie piszę o sprawie w gruncie rzeczy prywatnej -

*„Niejaki Tomasz Sas na łamach łódzkich „Odgłosów" napisał wyjątkowo debilne zdanie: „Dysponenci polityczni „Tygodnika Powszechnego" wiedzą dobrze, za co pismu i jego ludziom płacą i twardo pilnują przestrzegania swej linii programowej". Nawet głupota nie usprawiedliwia piszącego, jeśli ten zaczyna być oszczercą."*

Niejaki, debilne, głupota, oszczerca... Zaiste, nie po chrześcijańsku się ze mną obeszli, nakazy ewangeliczne mając za nic. Jedno z dwojga: albo cnota ich tak wielka, iż nader emocjonalnie zareagowali, albo coś musi być na rzeczy w tym, co napisałem. Pierwsze wykluczam — Jerzy Turowicz może być wszystkim, tylko nie świętą Cecylią, która tym bardziej stawała się dziewicą, im bardziej była gwałcona.

Wywiad, którego Jerzy Turowicz udzielił niedawno „Przeglądowi Katolickiemu" jest ozdobiony zdjęciem, przedstawiającym uśmiechniętego nestora w gabinecie pełnym ksiąg i przyozdobionym inskrypcją „I love my free press" — kocham mą wolną prasę.. Co oznacza, że Jerzy Turowicz jest bardzo głęboko przywiązany do myśli o swej swobodzie, autonomii i wolności. To niebezpieczna ułuda — sądzić, że wytranspirowała prymasowsko-książęco-sapieżyńska inwestytura sprzed czterdziestu lat. Nie, ona działa nadal — dysponentem politycznym pisma jest kościół katolicki, a ściślej: jego hierarchia, jeszcze ściślej: jej część związana z krakowską kurią metropolitalną. Drugim, bardziej paradoksalnym i jeszcze przez to twardszym dysponentem są czytelnicy „Tygodnika". To oni, oczekując od pisma nie umacniania w wierze, ale w opozycyjności, decydują o jego linii politycznej, ba — wymuszają takową. Wasz związek to klasyczne biologiczne uzależnienie, symbioza o obiegu zamkniętym...

Co do płacenia — istotnie, być może „Tygodnik Powszechny" jest samowystarczalny finansowo — wobec tego za zarzut opłacania dyspozycyjności uniżenie przepraszam. Lecz przecie owa samowystarczalność rodzi się dzięki kupującym — głosującym za i podtrzymującym w ten sposób linię polityczną. W rzeczywistości zatem Jerzy Turowicz wolny jest tylko ową wolnością sług kościoła, niczym kanarek w klatce — skądinąd złotej. Nie przeczę, że los ów sam sobie świadomie wybrał. I za to go szanuję.

To tyle w zamian za epitety, za nazwanie mnie debilem, głupcem i oszczercą. Uważam, że jesteśmy skwitowani, kolego redaktorze Turowicz.

TOMASZ SAS

# Szkoła na dziś i jutro

Zbyt wielu jeszcze dziś sądzi, iż wystarczy zapełnić sklepy towarami a społeczeństwu zaraz poprawi się samopoczucie, wszyscy zaczną lepiej myśleć, a z gazet zniknie temat: kryzys. W istocie 30-procentowy spadek poziomu materialnego społeczeństwa rzutuje niewątpliwie na jego postawy. Zaburzenia lat 1980-1981 powywracały wiele w dotychczasowym systemie wartości. Prawda jest także i to, iż problemów, którym poświęcone było posiedzenie plenarne KŁ PZPR obradujące w dniu 22 września br. nie sposób odrywać od ogólnej (gospodarczej i politycznej) sytuacji kraju. A jednak pamiętać musimy stale, iż *„bez nowoczesnego systemu edukacji narodowej niemożliwy będzie harmonijny rozwój naszego społeczeństwa i szybkie przezwyciężenie skutków społeczno-ekonomicznych i moralnych obecnego kryzysu". (IX Zjazd PZPR).*

Poprzednie posiedzenie plenarne łódzkiej instancji partyjnej poświęcone problemom oświaty i wychowania, odbyło się w czerwcu 1976 roku. Od tego czasu wiele w kraju, a i w oświacie się zmieniło. Podkreślono ten fakt w referacie Egzekutywy KŁ, który w jej imieniu przedstawił sekretarz Konrad Janio.

Mówiąc o wielu sukcesach i osiągnięciach szkoły nie można zapominać o rozlicznych jej bolączkach. Nie przemilczano ich w referacie, nie pomijano ich w wystąpieniach dyskutantów.

W łódzkich szkołach i przedszkolach robi się coraz bardziej ciasno. Od roku 1976 wzrosło obciążenie uczniów na jedną izbę lekcyjną z 43 na 55. Są to jednak dane średnie, a bywa przecież i gorzej, jak choćby w szkole podstawowej na ulicy Hufcowej w Łodzi, o której mówiła Mirosława Rogalska. W szkole tej zaplanowanej na 600 uczniów, uczy się dziś ponad 3 razy tyle. Przerwy trwają tam ledwo 5 minut, bo inaczej lekcje trzeciej zmiany kończono by po godzinie 20. Z powodu braku miejsc lekcyjnych młodzież uczy się na korytarzach. Jest to przykład drastyczny, ale przecież nie wyjątkowy. Jak to potwierdził Wiesław Mordal, przewodniczący ŁO ZNP: *„co 4 dziecko w Łodzi chodzi do szkoły na drugą zmianę. Jeszcze gorzej jest w nowych osiedlach".* Sytuacja staje się wręcz alarmująca jeśli uzmysłowimy sobie, iż na 560 budynków, którymi dysponuje łódzka oświata, aż 42 proc. wymaga pilnie remontu lub rozbudowy. A równocześnie przedsiębiorstwom budowlanym nie opłaca się podejmować prac w szkołach i przedszkolach. Sytuacja tych ostatnich jest jakby lepsza. *„Łódź przoduje w kraju w objęciu dzieci opieką przedszkolną"* — stwierdził Zygmunt Mikołajewicz, kurator wojewódzki. Jest to prawda. Ale prawdą jest i to, iż Łódź jest miastem o bardzo wysokim stopniu aktywizacji zawodowej kobiet, stąd aż 40 proc. dzieci w naszym mieście z powodu szczupłości bazy nie jest objęte wychowaniem przedszkolnym.

Potrzeba więcej szkół. 59 pomieszczeń oddanych w tym roku do nauki to głównie dodatkowe pawilony w szkołach, nie zaś kompleksowo oddawane obiekty. Środków na te cele i tzw. mocy przerobowych wciąż nie starcza. Trochę więc dziwi, iż na plenum tak mało mówiono o realności szansy jaką może stworzyć inicjatywa narodowego czynu na rzecz szkoły.

To prawda, iż aktualne kłopoty szkół to skutek niedoinwestowania oświaty w latach 70-tych. Niewiele też usprawiedliwia aktualną sytuację fakt, iż do przedszkoli i szkół podstawowych przychodzą dzieci kolejnego wyżu demograficznego. Bo kto przetłumaczy tym dzieciom, że będą się musiały jakoś przemęczyć, bo obietnica „drugiej Polski", to była bajka dla dorosłych, a teraz jest kryzys i to magiczne słowo powinno im wszystko zastąpić...

Na drugim miejscu wśród istotnych problemów, które przeżywa aktualnie łódzka oświata, sprawozdanie Egzekutywy wymienia troskę o kadrę nauczycielską. Pozornie nie jest źle, bo jak podają statystyki UMŁ około 70 proc. łódzkich nauczycieli posiada wykształcenie wyższe i dostateczne przygotowanie pedagogiczne. Pamiętać jednak trzeba, iż większość tej kadry to nauczyciele w wieku 40-50 lat, myślący o przejściu na emeryturę. Tymczasem dziś przyjmuje się do zawodu nauczycielskiego absolwentów liceum ogólnokształcącego. Nauczyciel, to nie jest zawód, o którym dziś marzy młodzież, stąd, jak mówił prof. Stefan Banasiak: *„wciąż mamy do czynienia z negatywną selekcją do tego zawodu i jego nadmierną feminizacją".*

Szansę dla poprawy sytuacji kadrowej w oświacie upatrywano — zarówno w materiale Egzekutywy, jak i dyskusji, w reaktywowaniu i rozwoju pomaturalnego studium nauczycielskiego. Barbara Kłos, I sekretarz POP w SN, zgłosiła postulat uruchomienia wieczorowego i zaocznego SN w Łodzi. Równocześnie prof. S. Banasiak stwierdził, iż gdyby istniała możliwość dogadania się władz administracyjnych Łodzi i województw ościennych, Uniwersytet Łódzki, a konkretnie Wydział Historii, byłby w stanie (biorąc pod uwagę możliwości kadrowe) kształcić dużo więcej nauczycieli niż obecnie. Stąd refleksja: czy nie lepiej uczynić wszystko, co jest możliwe i wykorzystać tę szansę, jaką stwarzają wyższe uczelnie niżli mnożyć formy zastępcze w systemie kształcenia nauczycieli?

Szkoła nie tylko uczy (skarżono się na podręczniki i programy obliczone na ucznia zdolnego, gdyż większość to przeciętniacy), ale i wychowuje. Jednak sporo młodych nauczycieli nie czuje się być dobrze przygotowanymi do roli wychowawcy. A zadania w tej mierze rosną. *„Dalekowzroczna polityka i cele wychowawcze, nastawione być muszą na pozyskiwanie młodych nie tylko na chwilę bieżącą, ale i na dalszą perspektywę* — stwierdzono w referacie Egzekutywy KŁ. — *System taki musi zakładać aktywne uczestnictwo młodego człowieka od najwcześniejszych lat w życiu społecznym, powinien pozwalać na znalezienie sobie miejsca przez każdego, bez względu na zdolności, poziom wiedzy, zainteresowania, jak również przekonania wyniesione z domu".*

Trzeba przyznać, iż dla spełnienia tych oczekiwań szkoła nie posiada jeszcze zbyt wielu sojuszników. Organizacje młodzieżowe w większości szkół są jeszcze słabe i niezbyt liczne.

Dla skutecznego prowadzenia procesu wychowawczego niezwykle ważnym jest uzyskanie odpowiedzi na pytanie: kto dziś faktycznie sprawuje przywództwo intelektualne wśród młodzieży? Próbowano w dyskusji udzielić odpowiedzi na to pytanie postawione przez Egzekutywę. Wskazywano na zjawisko wzrostu wpływu Kościoła na postawy młodych, na wzrost jej religijności.

Równie niepokoić musi fakt, iż zaledwie 23 proc. absolwentów szkół podstawowych kieruje się do liceów ogólnokształcących. A z 77 proc. młodzieży kontynuującej naukę w szkołach zawodowych, tylko ok. 20 proc. wybiera technika. Maleje niebezpiecznie zainteresowanie nauką.

Do wielu innych problemów dyskutowanych na plenum jeszcze powrócimy.

KAROL JÓZEF STRYJSKI

# Sejm: rozgrzewka przed sezonem

Proszę wybaczyć tę sportową terminologię, ale pierwsze posiedzenie plenarne Sejmu PRL w trakcie jesiennej sesji doprawdy przypominało nieco trening, zważywszy na ogrom zadań, stojących przed posłami — w kolejce czekają projekty fundamentalnych aktów prawnych, a przede wszystkim praca nad przygotowaniem i uchwaleniem nowej ordynacji wyborczej do Sejmu, jeżeli obecna sesja ma być przedostatnią w tej kadencji, o czym wspominał Marszałek Sejmu Stanisław Gucwa w niedawnym wywiadzie dla „Rzeczypospolitej".

W czasie pierwszego posiedzenia plenarnego Sejm wysłuchał sprawozdania ministra sprawiedliwości z wykonania ustawy o amnestii. Do 15 września skorzystało z niej dokładnie 321.829 osób, w tym ponad 34,5 tysiąca opuściło zakłady karne i areszty. 1569 osób korzystających z amnestii to sprawcy tzw. przestępstw politycznych — 630 wypuszczono z więzień. Ci, którzy nadal w nich pozostali to 20 skazanych także za przestępstwa kryminalne i dwaj aresztowani pod zarzutem zdrady, więc czynu amnestią nie objętego.

Minister sprawiedliwości stwierdził, że cele amnestii zostały spełnione, a ona sama dobrze służy porozumieniu narodowemu.

Nie ulega wątpliwości, że jest tak w rzeczywistości. Uchwalenie i wykonanie amnestii w sposób wyraźnie dostrzegalny poprawiło klimat polityczny w kraju, zbliżyło kolejne rzesze sceptyków i wyczekujących do idei porozumienia. Ważniejsze jest jednak co innego — amnestia, w której realność powątpiewano, udowodniła, że osiągnęliśmy pewien poziom stabilizacji wewnętrznej, dający podstawy do dobrych rokowań w kwestii uspokojenia emocji i nastrojów politycznych w społeczeństwie; amnestia udowodniła też, że władza jest silna i zdeterminowana, by żadnej z realnych szans porozumienia narodowego nie tracić. To cenny sygnał dla wszystkich Polaków.

Drugim przedmiotem obrad była sytuacja drobnej wytwórczości i projekt ustawy w tej kwestii. Drobna wytwórczość ma dziś pełnić rolę amortyzatora trudności gospodarczych. W świecie zdominowanym przez wielkie organizmy przemysłowo-handlowe ów „amortyzator" wytwarza zaledwie ponad 8 proc. wartości całej produkcji. Wszyscy wyczuwamy, że to mało, choć nikt dowodnie nie obliczył jaki udział byłby optymalny. Z drugiej zaś strony liczne przeszłe i obecne nieprawidłowości w funkcjonowaniu owego sektora, zawinione zarówno przez dysponentów gospodarczych jak i samych jego uczestników, decydująco wpływają nie tylko na jego obraz w społecznej świadomości, lecz przede wszystkim na jego — wielokrotnie przyhamowywane i ponownie rozkręcane — możliwości rozwojowe.

Projekt ustawy, skierowany po pierwszym czytaniu do komisji, ma stać się skuteczną, bo zawierającą trwałe rozwiązania systemowe, barierą przeciw destrukcyjnemu wpływowi akcyjności w podejściu do drobnej wytwórczości, przeciw wszelkim „zielonym światłom" itp. I przeciw poglądowi, że jest ona, zarówno państwowa, spółdzielcza, jak i prywatna, strukturą obcą socjalizmowi...

Podczas debaty Sejm uchwalił też dwie nowe ustawy — o Sądzie Najwyższym i o ubezpieczeniach. Z treści tej ostatniej wynika, że firma PZU — przezorny zawsze ubezpieczony — przestanie być (choć zapewne w odległej przyszłości) monopolistą na rynku ubezpieczeń. Być może konkurencja w tej dziedzinie nowych firm państwowych, spółdzielczych i spółek akcyjnych, których swobodne zakładanie w myśl przepisów nowej ustawy jest teraz możliwe, zmieni drastycznie złą sytuację klienta ubezpieczeniowego — może status proszalnego dziada zniknie na rzecz uczciwych, partnerskich stosunków...

**T. S.**

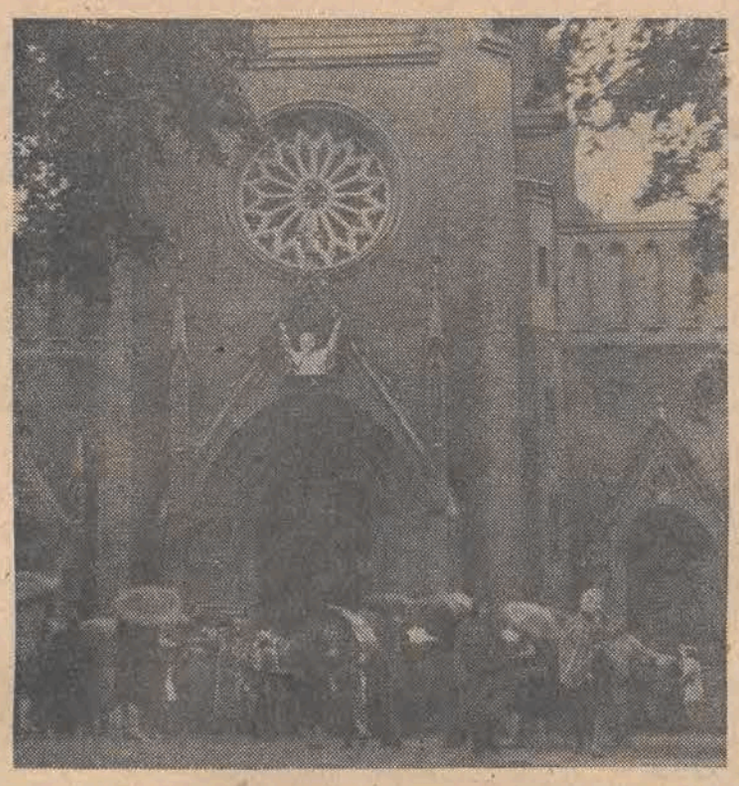

Foto: G. Gałasiński

# Czy jesteśmy narodem religijnym?

**EDMUND LEWANDOWSKI**

W wysoko rozwiniętych państwach Europy kościoły chrześcijańskie przeżywają poważny kryzys. Postęp cywilizacyjny — a w szczególności industrializacja i urbanizacja — oraz pluralizm światopoglądowy powodują osłabienie wiary i zanikanie praktyk religijnych. Najwybitniejszy teolog współczesny Karl Rahner, mówił niedawno z niepokojem: „*Wystarcza zapytać, ile to dzieci nie otrzymuje już chrztu w naszych wielkich miastach, z jaką oczywistością przyjmuje się — także wśród katolików — rozwody, co sądzi się w ogóle na temat potrzeby zawierania małżeństwa w Kościele. Wystarczy też popatrzeć na opustoszałe domy zakonne, wyższe seminaria duchowne. Kościół, ogólnie biorąc, jest w defensywie*". Na tym tle Polska stanowi prawdziwy fenomen. U nas bowiem, podobnie jak w krajach Trzeciego Świata (Ameryce Południowej i niektórych państwach Afryki), Kościół trzyma się mocno i bujnie rozwija.

Struktura wyznaniowa społeczeństwa polskiego wygląda następująco: do Kościoła Rzymskokatolickiego należy około 90 proc. ogółu ludności, innowierców skupionych w ponad trzydziestu różnych kościołach mamy blisko 3 proc., a niewierzących prawie 7 procent. Na drugim miejscu pod względem liczby wiernych znajduje się Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny, mający 850 tysięcy członków, 226 duchownych i 223 parafie. Trzecim wyznaniem jest Kościół Ewangelicko-Augsburski w PRL, czyli luterański, który ma 100 tysięcy wiernych, 89 duchownych i 121 parafii. A dalej są: Świadkowie Jehowy z 50 tysiącami wyznawców, Kościół Polskokatolicki w PRL — 33 tysiące osób oraz 121 duchownych, Starokatolicki Kościół Mariawitów — ponad 20 tysięcy wiernych, i inne kościoły i grupy wyznaniowe, z których najmniejsze liczą poniżej 100 członków.

Zdecydowanie dominujący w Polsce Kościół Rzymskokatolicki dysponuje bardzo liczną i zdyscyplinowaną kadrą duchowieństwa. W 1983 roku miał 21.643 kapłanów, 10.570 zakonników i 27.627 zakonnic. Jest to dużo więcej niż przed wojną, gdyż w 1937 r. było 11.394 księży katolickich, 6.874 zakonników i 15.725 zakonnic. Na jednego kapłana przypadało wówczas około 1.900 wiernych, a obecnie zaś około 1.500. Najwyższe wskaźniki liczby księży na 10 tysięcy mieszkańców mają województwa południowo-wschodnie: tarnowskie (9,6), nowosądeckie (9,2), przemyskie (8,8), krakowskie (8,6), i krośnieńskie (8,0). Natomiast poniżej średniej krajowej (5,7) znajdują się województwa w części zachodniej i północnej.

W Polsce Ludowej, w latach 1945—1982, święcenia kapłańskie uzyskało 20.017 diakonów, co uznaje się za osiągnięcie imponujące. Większość tych księży, bo aż ok. 60 procent, pochodzi ze wsi. Tradycyjnie już najmniej powołań jest w środowiskach wielkomiejskich, a najwięcej na wsi oraz w małych miasteczkach. Szczególnie często wstępują do seminariów duchownych synowie z chłopskich rodzin wielodzietnych. Przewaga osób pochodzenia chłopskiego wśród stanu duchownego zaznaczyła się już zresztą w drugiej połowie XIX wieku i trwa do dziś. Na wsi od dawna już znano przysłowie, że „kto ma księdza w rodzie, tego bieda nie pobodzie". Pewien nauczyciel, urodzony w 1888 r. na Rzeszowszczyźnie, pisze w pamiętniku: „*Ciężka praca na roli, stałe niedostatki, brak nadziei na lepszą przyszłość skłoniły ojca do myślenia o tym, jak pokierować losem syna, by miał lżejsze życie. W sukurs przyszła mu miejscowa nauczycielka, Felicja Hanulówna, opowiadając ojcu o moich zdolnościach, pilności, zapale do nauki. Zachęcała, aby ojciec posłał mnie do szkoły w mieście, a potem kształcił na księdza lub nauczyciela*". Tu trzeba dodać, że także zawód nauczycielski był popularnym wśród młodzieży wiejskiej kanałem awansu — w końcu ubiegłego stulecia nazywano seminarium nauczycielskie „chłopską akademią".

W ostatnich kilku latach notuje się wzrost powołań kapłańskich. W 1983 roku w seminariach duchownych uczyło się 7.681 alumnów oraz wyświęcono 731 nowych księży. Dla porównania w 1971 r. było 4.088 seminarzystów i wyświęcono 480 kapłanów. Rekrutacja do seminariów najlepiej przebiega na terenach południowo-wschodnich. Poziom intelektualny i moralny wstępujących jest zróżnicowany — blisko połowę stanowią uczniowie przeciętnie zdolni, lecz większość wyróżnia się dużą pobożnością. W powojennych dziejach seminarium łódzkiego rzadko trafiali się uczniowie z bardzo dobrą maturą i nie tak często też z dobrą. Natomiast pod względem moralnym — jak pisze ksiądz dr Zygmunt Skowroński — „*jest wielu kandydatów dobrych, ale znaczny procent ma poważne braki (materializm, lenistwo, samolubstwo itp.)*".

Według danych ilościowych społeczeństwo nasze należy do najbardziej religijnych w świecie, ale przy dokładniejszej analizie okazuje się, że przeszło dwie trzecie wierzących dość formalnie i powierzchownie związanych jest z Kościołem. Bardzo ciekawą charakterystykę religijności polskiej przedstawił niedawno („Kierunki" 1984, nr 20) socjolog z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, ksiądz prof. dr Władysław Piwowarski. Jego zdaniem motywacje ludzi uczestniczących w masowych praktykach są „*bardziej społeczno-patriotyczne niż ściśle religijne*". Wynika to z faktu reprezentowania przez nasz Kościół pewnej opozycji moralnej i kulturalnej.

Ksiądz Piwowarski wyróżnia dwie płaszczyzny funkcjonowania religii: ogólnonarodową oraz życia codziennego. W pierwszej płaszczyźnie wskazuje na cztery cechy religijności polskiej. Po pierwsze — religia traktowana jest głównie jako wartość ogólna, składnik tradycji (wiara ojców) i znak tożsamości narodowej, a w niewielkim stopniu jako wartość osobista i element życia codziennego. Po drugie — identyfikacja z Kościołem odbywa się poprzez praktyki, a mniej poprzez wartości. Po trzecie — religia obecna jest w życiu publicznym (emblematy, stroje duchowne, uroczystości), co na Zachodzie już prawie nie ma miejsca. I wreszcie — społeczeństwo nasze jest bardzo ofiarne na rzecz Kościoła, spontanicznie wspiera go finansowo.

Między tą imponującą religijnością globalną, a religią w życiu codziennym istnieje jednak bardzo duża rozbieżność, szczególnie w dużych miastach. Na przykład w Warszawie — jak cenia Władysław Piwowarski — około 90 proc. deklaruje się jako wierzący, lecz zaledwie kilka procent aktywnie akceptuje normy moralności chrześcijańskiej. Innymi słowy: katolicyzm polski silnie manifestuje się w deklaracjach i masowych praktykach, ale nie ma to wszystko wpływu na postępowanie ludzi w codziennym życiu. Jeśli nawet spada religijność tradycyjna, to najczęściej zastępuje ją tzw. religijność selektywna. „Selektywność ta — czytamy — *jest obecnie wiodącą i główną tendencją przemian religijności w Polsce. Polega ona na tym, że nie przyjmuje się już, jak dawniej, całej doktryny religijnej w oparciu o autorytet tradycji i autorytet Kościoła, tylko przyjmuje się niektóre zasady moralne i niektóre dogmaty wiary, zaś inne odrzuca się. Rozluźnia się następnie więź z Kościołem przez zaniedbywanie praktyk religijnych, które jeśli są spełniane, to w sposób wybiórczy i niesystematyczny*". Przeciętny Polak-katolik wierzy w to, co mu odpowiada i praktykuje to, co jest najwygodniejsze. Niektóre dogmaty kwestionuje i niektóre praktyki opuszcza. Rzadko wierzy we wszystko, co Kościół głosi. Ludzie nie rozumieją, że konsekwentnie powinni uznawać wszystkie prawdy wiary, gdyż inaczej stają się „nieświadomymi heretykami". Ksiądz Piwowarski szacuje z ubolewaniem, że ortodoksyjnych (prawdziwych) katolików jest najwyżej ok. jednej trzeciej wierzących, natomiast ok. dwie trzecie stanowią owi „nieświadomi heretycy".

Jeszcze gorzej od wiary w dogmaty wygląda kwestia moralności chrześcijańskiej. Zgodnie z ustaleniami naukowymi, ks. prof. dr W. Piwowarski skłonny jest sądzić, że moralność nie tyle zależy od wierzeń i instytucji religijnych, co od pewnych wartości i wzorów kulturowych. Wbrew potocznym mniemaniom religia w minimalnym stopniu wpływa na postępowanie moralne ludzi, a niektórzy uczeni są zdania, że w ogóle nie ma związku między obu sferami życia społecznego. W Polsce katolicy najbardziej przestrzegają moralności „kościelnej", polegającej na udziale w praktykach, a mniej moralności „naturalnej", związanej z dziesięciorgiem przykazań, oraz moralności ściśle chrześcijańskiej, która wynika z nauk ewangelicznych.

Władysław Piwowarski nie podziela opinii, że w Polsce nastąpiło generalne odrodzenie religijne. Twierdzi zaś, że ostatnio mieliśmy do czynienia z wyrazem religii w szczególnych sytuacjach zagrożenia. Byłoby to więc coś przejściowego i odświętnego, co ujawniło się tylko w owych nadzwyczajnych okolicznościach i z czasem wróci do stanu poprzedniego. „*Aktualne badania* — powiada ksiądz socjolog — *nie potwierdzają niestety większych zmian w sferze religijności życia codziennego*". Przyznaje on też, że w skali masowej obserwuje się, iż młodzież oczekuje od Kościoła przede wszystkim polityki, a nie religii, choć rośnie grupa młodzieży autentycznie i głęboko wierzącej.

Na temat religijności młodzieży warto tutaj przytoczyć ciekawą opinię pewnego duszpasterza akademickiego. W miesięczniku „Młodzież Katolicka" z października 1983 r. stwierdza on, że znaczną część młodzieży można określić jako „religijną, ale niewierzącą". Ich hierarchia wartości i postawy w życiu prywatnym są podobne lub takie same jak u osób niewierzących i ateistów.

Zdaniem ks. Piwowarskiego w Kościele polskim panuje klerykalizm, który stanowi wielką przeszkodę dla wzrostu aktywności katolików świeckich. „*Nie jest to wprawdzie klerykalizm polityczny* — podkreśla — *gdyż takiego klerykalizmu ja w Polsce nie dostrzegam, ale prawdziwy klerykalizm widzę w tym, że nie przyznaje się u nas wystarczającej autonomii i samodzielności ludziom świeckim w Kościele. Wciąż jeszcze dominuje traktowanie świeckich jak bierne masy, którym nie przyznaje się żadnej inicjatywy. Jest to prawdziwy klerykalizm; większy po wojnie niż był przed wojną*". Autor postuluje istotną zmianę polskiej religijności. Chodzi mu o to, żeby powstała świadoma religijność z wyboru, a nie z urodzenia i rutyny obyczajowej. Przyszłość Kościoła w Polsce uzależnia od zwycięstwa ruchu wspólnotowego (m.in. oazowego), który przekształci tradycyjny katolicyzm masowy w mniejsze, lecz żywe wspólnoty.

A jak profesor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego widzi problem aktywności politycznej ludzi wierzących? Jego zdaniem katolicy świeccy mogą działać jedynie na własną odpowiedzialność, autonomicznie, czyli bez wykorzystywania mandatu lub autorytetu Kościoła. W swej działalności powinni oni prezentować postawy chrześcijańskie. Natomiast Kościół jako całość nie powinien angażować się politycznie, nie powinien identyfikować się z żadnym ugrupowaniem, ponieważ jego posłannictwo ma powszechny charakter.

Przedstawiona wyżej charakterystyka religijności polskiej jest bardzo kompetentna, obiektywna i rzeczowa. Ksiądz prof. Władysław Piwowarski ma wśród socjologów znakomitą pod tym względem opinię. Podobny wprawdzie obraz religijności rysuje się na podstawie innych badań, lecz świadectwo uczonego księdza ma w tym przypadku niezwykle doniosłe znaczenie.

Myślącym czytelnikom niniejszego artykułu nasunie się pewnie pytanie: jaki pożytek ma nasz kraj z przodującej w Europie pobożności, jeśli jest ona tak pozorna i zupełnie nieefektywna moralnie. Można tylko zakładać, że zaspokaja indywidualne potrzeby psychiczne. Znamienna jest przecież etymologia słowa „religia". Pochodzi ono od „religare", co pierwotnie w kulturze pogańskiej oznaczało „świadomą i troskliwą opiekę nad kimś". Człowiekowi dobrze jest wierzyć i mieć nadzieję, że ma oparcie w kimś tak potężnym jak Bóg. A Kościół Rzymskokatolicki głosi, że Matka Boska jest „dana narodowi polskiemu ku obronie". Wynikałoby z tego, że jesteśmy drugim, obok Żydów, narodem wybranym. Z dziejów Izraela wynika jednak, że na wybrany naród spadają same klęski...

Pisałem już kiedyś, że jeśli chcemy doścignąć cywilizacyjne kraje wysoko rozwinięte, to powinniśmy liczyć na siebie samych, a nie na interwencję czynników nadprzyrodzonych. Oczekiwanie zaś, że modlitwami spowodujemy pożądane zmiany w rzeczywistości dowodzi istnienia dość naiwnej wiary. Niestety, Kościół nasz umacnia ten typ religijności, który sprzyja pewnemu infantylizmowi. Krytykował za to katolicyzm polski Witold Gombrowicz. W swoim „Dzienniku" z lat 1953—56 pisał on: „*Katolicyzm taki, jaki urobił się historycznie w Polsce, rozumiem jako przerzucenie na kogoś innego — Boga — ciężarów ponad siły. Jest to zupełnie stosunek dzieci do ojca. Ma go słuchać, szanować i kochać. Wypełniać jego przykazania. Więc dziecko może pozostać dzieckiem, ponieważ wszystka ostateczność przekazana jest Bogu — Ojcu i jego ziemskiej ambasadzie, Kościołowi*". Kilka lat później pisarz podkreślił, że nie jest wrogiem religii katolickiej, lecz funkcji, jaką ona spełnia w kulturze Polski.

Trzeba jednak przyznać, że w porównaniu z okresem międzywojennym także w Kościele dokonał się duży postęp. Poza tym duchowieństwo ma znacznie mniejszy wpływ na życie społeczne i polityczne. Przed wojną, oburzony akcjami Kościoła, Tadeusz Żeleński (Boy) napisał w 1931 roku artykuł pod symptomatycznym tytułem — „Nasi okupanci", w którym czytamy: „*Tak więc, o cokolwiek chodzi, o szkolnictwo czy kodeks karny, czy wreszcie o nową ustawę małżeńską, wszędzie ci nowi wielmoże przeciwstawiają się jakiejkolwiek zbawczej i koniecznej reformie, wszędzie nieubłaganie ścigają własne mocarstwowe cele, obce społeczeństwu, w którym żyją*". Boy ubolewał, że nie ma odważnych, którzy poddaliby krytyce konserwatyzm i wewnętrzny ekspansjonizm Kościoła. W następnych artykułach donosił, że okupacja postępuje i gdyby osiągnęła swoje ideały, to wtedy absolutnie wszystko znalazłoby się we władzy kleru. Zarzucał Kościołowi, że uczy masy pogardy dla państwa, które ludzie dopiero nauczyli się znać i szanować. Ponadto, zwalczając przeciwnika, nie waha się przed żadnym kłamstwem i wmawianiem każdej bredni swoim wiernym. Komunikaty Katolickiej Agencji Prasowej często zawierają ohydne kłamstwa i potwarze obliczone na odbiorców o najniższym poziomie.

W 1932 roku ukazała się książka Boya pt. „Nasi okupanci", w której zebrał omówione artykuły. W posłowiu autor pisał: „*Bo powiedzmy sobie: każdy rząd w Polsce, chce czy nie chce, będzie się uginał pod naciskiem kleru, dopóki ciemnota lub bierność ogółu będzie czyniła ten kler realną czy fikcyjną potęgą*". Za fakt pocieszający uznał, że niektórzy — jak „Dwutygodnik Literacki" — podjęli walkę z władcami «Klechistanu» (wyrażenie pochodzące z owego czasopisma). Książka Boya kończyła się następującym zdaniem: „*Są bakterie, które zabija się światłem*".

Antyklerykalne teksty Boya wydają nam się dziś przesadzone i jakby podyktowane nienawiścią. Można je wszak zrozumieć, kiedy zapoznamy się z ówczesną sytuacją. Przedwojenne duchowieństwo i tzw. „Polacy—katolicy" ujawniali przy rozmaitych okazjach wyjątkowo reakcyjne postawy i totalitarne zapędy. Pod groźbą bolszewizmu tępiono każdy przejaw myśli i działalności postępowej. Nawet Wincenty Witos był szykanowany i miał kłopoty z uzyskaniem odpuszczenia grzechów.

Obecnie mamy bardziej wykształcone społeczeństwo i duchowieństwo oraz inny system polityczny, dlatego skrajnie reakcyjne elementy w Kościele nie mogą liczyć na powodzenie. Niemniej jednak pojawiają się próby organizowania żenujących akcji religijnych, jak np. niedawna „wojna krzyżowa".

Kościelne działania „rewindykacyjne" najmniej poparcia mają wśród wysoko wykształconej młodzieży. Z moich badań przeprowadzonych pod koniec 1983 roku wynika, że za przywróceniem nauki religii w szkołach przez osoby duchowne jest 37 proc. studentów oraz 40 proc. uczniów klas maturalnych (31 proc. w liceach, a 45 proc. w technikach). Choć młodzież ta jest w ok. 80 proc. religijna, to zdecydowana większość akceptuje rozdział Kościoła od państwa i nie podziela zdania, że prawdziwy Polak — patriota powinien być katolikiem. Na uwagę zasługuje fakt, że nie było zależności między postawami wobec religii i Kościoła a poglądami politycznymi. Stwierdzono natomiast taką korelację w reprezentatywnych badaniach całego społeczeństwa — niewierzący częściej niż wierzący prezentowali postawy propartyjne.

Badania moje pokazują, że religijność młodzieży ostatnio wzrosła nie tylko „wszerz", lecz także „w głąb", ale wciąż jest mało refleksyjna i słabo związana z życiem codziennym. Jest to religijność: selektywna, a nie integralna; odświętna, a nie powszednia; grupowa, a nie indywidualna; rytualna, a nie moralna. Proszę sobie wyobrazić, że ok. 80 proc. wierzy i praktykuje, ale zaledwie 13 proc. studentów i 22 proc. maturzystów wybrało „zbawienie duszy" w trzech najważniejszych dla siebie wartościach spośród oferowanych w ankiecie dwunastu. A przecież, jeśli ktoś jest naprawdę chrześcijaninem, to na zbawieniu duszy powinno mu zależeć przede wszystkim.

Religijność młodego pokolenia jest, niestety, w takim samym stopniu powierzchowna i bezmyślna jak ludzi starszych. W całym naszym społeczeństwie dominuje religijność typu chłopskiego. A dla chłopa najważniejszy jest obyczaj, obraz i teatr, a nie kwestie teologiczno-moralne. Kiedy umrze mu ktoś bliski, to myśli głównie o koniecznych obrzędach kościelnych i stypie, a nie o losie duszy w życiu pozagrobowym. W pewnym sensie mamy religijność pogańską — bardzo odległą od tej (jeśli nie przeciwstawną), którą propagował Jezus Chrystus. Możemy tu mówić o chrześcijaństwie, lecz nie o chrystianizmie.

II wojna światowa była największym i najkrwawszym kataklizmem, jaki przeżyła ludzkość w swym historycznym rozwoju. Rozpętały ją zbrodnicze siły faszyzmu i militaryzmu, wyrosłe na gruncie dążeń do panowania nad światem. Trwała pełne 6 lat (1.IX.1939 — — 2.IX.1945) od chwili napaści III Rzeszy na Polskę, do momentu podpisania bezwarunkowej kapitulacji przez Japonię.

W wir działań wojennych pośrednio lub bezpośrednio były wciągnięte wszystkie kontynenty kuli ziemskiej, ponad 60 państw (na ówczesnej mapie znajdowało się znacznie mniej państw samodzielnych, gdyż istniały jeszcze imperia kolonialne), około miliarda siedmiuset milionów ludzi. Pożoga wojenna ogarnęła tereny ponad 40 państw, a liczba zmobilizowanych do wojska przekroczyła 100 milionów obywateli.

Jeśli chodzi o koszty prowadzenia wojny, to są one szacowane na astronomiczną sumę ponad 3 bilionów dolarów, a straty ludzkie ocenia się na przeszło 50 milionów poległych, zamordowanych i zamęczonych w obozach koncentracyjnych. Do tego dochodzi liczba co najmniej 35 milionów rannych i inwalidów. Zniszczenia materialne, tylko w krajach europejskich, szacuje się na blisko 300 miliardów dolarów. Straty moralne, niestety nie dadzą się wyrazić w liczbach i przerastają one skalę ludzkiej wyobraźni.

Statystyki okresu wojny nie mogą być ścisłe. W grę wchodzą dane szacunkowe i różne mierniki stosowane przez obliczających. W niniejszym artykule przyjmuję dane ustalone przez Wojskowy Instytut Historyczny im. Wandy Wasilewskiej w Warszawie. Tymi liczbami będę posługiwać się także w dalszym ciągu artykułu.

* * *

Dla narodu polskiego II wojna światowa rozpoczęła się najwcześniej. Chociaż plan rozgromienia Polski (Fall Weiss) wyznaczył godzinę natarcia na godz. 4.45, nadgorliwi dowódcy niektórych pododdziałów Wehrmachtu wcześniej przystąpili do akcji. Walki o most w Tczewie zawiązały się już o godzinie 4.20, w pasie obrony 10 dywizji piechoty (armia „Łódź") o 4.00 żołnierze musieli podjąć obronę terenu.

Pierwszy piracki nalot na otwarte nadgraniczne miasto Wieluń miał miejsce o godzinie 4.30, a więc także przed oficjalnym terminem uderzenia na Polskę. 15-tysięczny Wieluń nie był centrum komunikacyjnym, ani miastem przemysłowym, nie miał garnizonu wojskowego, nie posiadał żadnych walorów strategicznych, a jednak... stał się pierwszym miastem otwartym zbombardowanym u progu II wojny światowej.

Zburzono śródmieście, szpital, szkoły, zabytkową kolegiatę, domy mieszkalne, a w ich gruzach znalazło śmierć około 1200 osób. W momencie zajmowania miasta przez Wehrmacht (2.IX) wg danych niemieckich pozostawało na peryferiach zaledwie około 200 osób.

I wojnę światową rozpoczynali Niemcy na Froncie Wschodnim od zbombardowania przez artylerię Kalisza (zniszczono zabytkowe śródmieście) i rozstrzeliwania zakładników w Kaliszu, Będzinie i Częstochowie.

II wojnę światową zaznaczyli zbombardowaniem Wielunia i egzekucją 10 zastraszonych jego mieszkańców oskarżonych o „sabotaż".

Bombardowanie skupisk ludności cywilnej stało się we wrześniu 1939 r. taktycznym chwytem Luftwaffe. Celem było wzniecenie paniki. Realizowano ten cel poprzez zrzucanie bomb na gęsto zabudowane, centralne dzielnice miast i miasteczek, ostrzeliwanie z lotu koszącego uciekinierów na drogach, atakowanie pasącego się z dala od frontu bydła, a nawet „nacieranie" na kondukty pogrzebowe. Szczególną nienawiścią darzono budynki oznakowane flagą z czerwonym krzyżem.

Wojsko polskie podejmowało walkę w warunkach jeszcze nie dokończonej mobilizacji i koncentracji. Kiedy wróg już niszczył (a często zniszczył) szlaki komunikacyjne, trzeba było przeprowadzić mobilizację jednostek rezerwowych, przerzucać z głębi kraju uzupełnienia, odsyłać na tyły zgłaszających się rezerwistów.

Przed Wehrmachtem stało zadanie — wprowadzić do walki i rozwinąć w terenie stojące nad granicą korpusy. Strona polska musiała niedostatecznymi siłami powstrzymywać albo przynajmniej osłabiać impet pierwszego uderzenia, a na bliskim zapleczu tworzyć nowe linie oporu.

Do działań przeciwko Polsce III Rzesza miała skoncentrowanych 50 dywizji piechoty, 8 dywizji zmechanizowanych, 7 dywizji pancernych, 1 brygadę kawalerii oraz oddziały policji i żandarmerii, przeznaczone do pełnienia funkcji administracyjnych w okupowanym kraju.

Tej nawale Polska przeciwstawiła 30 dywizji piechoty, 11 brygad kawalerii, jedną sformowaną i drugą w stanie organizacji brygadę zmechanizowaną. Już w trakcie wojny wystawiliśmy kilka dalszych wielkich jednostek — brygad i dywizji, jednakże niedostatecznie uzbrojonych i słabo nasyconych oficerami i podoficerami zawodowymi.

Jeśli chodzi o tzw. bronie techniczne, to stosunek sił był nader niekorzystny dla strony polskiej i wyrażał się jak 4,5:1 w broni pancernej, 5:1 w lotnictwie, 7,5:1 w artylerii przeciwpancernej. Pod względem motoryzacji proporcje były kompromitująco niekorzystne dla nas.

Pomijając posiadanie całkowicie zmotoryzowanych dywizji pancernych, lekkich i zmechanizowanych, cała niemiecka artyleria ciężka i przeciwlotnicza posiadała ciągniki motorowe, a nadto w dyspozycji dywizji piechoty działały kolumny samochodowe dla przewozu ludzi i sprzętu.

Jednostki piechoty Wehrmachtu górowały nad polskimi siłą ognia, gdyż dywizja niemiecka miała prawie dwukrotną przewagę w artylerii (86 dział na 46 polskich), trzykrotną w moździerzach (53 na 18 polskich) i prawie dwukrotną w broni maszynowej.

Już chociażby podane niepełne zestawienie sił przeciwników sygnalizuje, że wojna zostanie rozstrzygnięta na naszą niekorzyść, chyba że do działań wkroczą sprzymierzeńcy. Zdecydowanej przewadze niemieckiej mogliśmy przeciwstawić jedynie upór, determinację i walkę do wyczerpania posiadanych, szczupłych zasobów amunicji i paliwa obliczonych na 40 dni walki.

Dowództwo niemieckie, świadome swojej przewagi i ogniowej, i liczebnej, stosowało niemal jednakową taktykę na różnych odcinkach frontu. Chodziło o szybkie wklinowywanie się w ugrupowanie polskie i otaczanie ugrupowań operacyjnych. Podczas gdy piechota wspierana nawałą artyleryjską likwidowała odizolowane jednostki, związki zmotoryzowane i pancerne wgłębiały się w dalsze obszary polskie.

Wojsko polskie musiało więc stoczyć walki obronne i opóźniające w warunkach miażdżącej przewagi lotnictwa wroga, które uniemożliwiało ruchy w ciągu dnia, zaś z zapadnięciem nocy przemęczone walką oddziały musiały podejmować uciążliwe marsze, przebijanie się z okrążenia, improwizowanie nowych stanowisk i linii obronnych.

Wszędzie tam, gdzie dochodziło do bezpośredniej konfrontacji taktycznej, polskie pułki, bataliony i szwadrony skutecznie przeciwstawiały się wojskom niemieckim. Z chwilą, kiedy na skrzydła rozciągniętych w terenie pułków i batalionów wdzierały się nieprzyjacielskie oddziały szybkie, obrona traciła sens i pozostawało jedynie wycofanie się na kolejną rubież.

Te powtarzające się z dnia na dzień ruchy odwrotowe wykonywano przy zwiększającym się przemęczeniu wojsk, rosnących brakach amunicji i zmniejszającej się sile własnego ognia (straty w działach i ciężkiej broni maszynowej w toku walk) przerodziły się w wyścig między polską piechotą a niemieckimi formacjami pancernymi i zmotoryzowanymi.

Na tym tle, zręcznie podmalowywanym przez goebelsowską propagandę utrwalał się na zachodzie mit o osiemnastodniowym zwycięskim marszu Wehrmachtu przez ziemie polskie. W istocie Niemcy musieli łamać bohaterski, podejmowany w tragicznej sytuacji opór jednostek polskich.

Przy sprzyjających warunkach, tam, gdzie nie można było rozwinąć działań czołgami, ani atakować z powietrza osłoniętych oddziałów polskich, tworzyły się trwałe węzły oporu. Tak było na Westerplatte na Helu, w rejonie Gdyni (Kępa Oksywska), w Wiźnie. Zamiast wejścia z marszu musieli Niemcy oblegać Warszawę i Modlin.

Wykorzystali Polacy jedyną dogodną dla nas sytuację operacyjną, rozgrywając między 9 a 20 września bitwę nad Bzurą. Wycofujące się z Wielkopolski i Pomorza ku Warszawie armie „Poznań" i „Pomorze" wykonały zwrot zaczepny na południe w rejon Łęczycy i Strykowa (armia „Poznań") oraz na Łowicz i w kierunku Skierniewic (armia „Pomorze").

**Osiągnięto sukcesy taktyczne.** Rozbita została jedna dywizja piechoty Wehrmachtu, a drugą nadwerężono. Niemcy jednakże szybko, dzięki posiadaniu jednostek zmotoryzowanych, zmienili stosunek sił, kierując nad Bzurę dywizje zmotoryzowane oraz zawrócone z marszu na Warszawę dwie dywizje pancerne.

D-ca armii „Poznań" gen. Kutrzeba, któremu podporządkował się gen. Władysław Bortnowski (d-ca armii „Pomorze") postanowił 12.IX przerwać natarcie w kierunku Skierniewic i po przegrupowaniu sił otworzyć sobie drogę na Warszawę, zablokowaną już przez jednostki niemieckie głównie z 8 armii.

W trakcie wstępnej fazy realizacji tego planu przez stronę polską 16 września lądowe wojska niemieckie przy wsparciu silnych ugrupowań lotnictwa rozpoczęły koncentryczne natarcia na okrążone oddziały dwu armii.

W trakcie zaciętych walk przez Puszczę Kampinoską przebiła się do Warszawy część czołowego rzutu armii „Poznań" z gen. Kutrzebą. Reszta wojsk uległa nieprzyjacielowi w nierównej walce. Do niewoli dostał się dowódca armii „Pomorze" gen. Władysław Bortnowski.

Nie udało się Niemcom zająć z marszu Warszawy 8 i 9 września zostały odparte próby opanowania stolicy. Zgrupowania Wehrmachtu zdążające na Warszawę zostały bowiem uwikłane w bitwę nad Bzurą, a w międzyczasie do obrony Warszawy wykorzystano wycofujące się, w znacznej mierze zdezorganizowane pododdziały armii „Łódź" i „Prusy", a następnie wyrywające się z okrążenia większe i mniejsze grupy z armii „Poznań" oraz „Pomorze", jak również cofające się na południe pododdziały armii „Modlin".

15 września Warszawa została okrążona także od wschodu. Niemcy prowadzili intensywne ataki z powietrza oraz ciągły ostrzał artyleryjski, a po zakończeniu walk nad Bzurą przystąpili do szturmu miasta. Natarcia sił lądowych nie miały powodzenia, ale dowództwo obrony (generałowie: Czuma, Rommel, Kutrzeba oraz prezydent miasta Starzyński) wobec tragicznego położenia ludności cywilnej — braku wody, żywności i amunicji zdecydowało się na przerwanie walki. 28.IX. podpisano układ kapitulacyjny, a dzień później (29.IX) zaprzestał oporu Modlin.

Od połowy września nie ma już mowy o jednolitym kierowaniu działaniami polskimi. Po opuszczeniu Warszawy marszałek Rydz-Śmigły utracił kontakt z wojskami, natomiast dowódcy zgrupowań nadal prowadzili walkę bez jakichkolwiek szans na zmianę ogólnej sytuacji. Zachodni sprzymierzeńcy ograniczali swe działania do lotów rozpoznawczych i wysyłania patroli na przedpola linii Maginota. Polacy samotnie stawiali opór, aż do wyczerpania możliwości walczenia i bez widoków na powodzenie wysiłków.

Odosobniona obrona wybrzeża do 19 września utrzymała się na Kępie Oksywskiej, a do 2 października broniła się załoga Helu. Najdłużej walczono na Lubelszczyźnie. Tu walczyły resztki armii „Kraków", część improwizowanej armii „Lublin" i pododdziały napływające z północy i północnego wschodu. Wreszcie grupa „Polesie" maszerująca zza Bugu ku Wiśle pod dowództwem gen. Franciszka Kleeberga stoczyła ciężkie boje pod Kockiem z niemieckimi 13 i 29 dywizjami zmotoryzowanymi. Wobec wyczerpania amunicji grupa „Polesie" musiała zaprzestać oporu. Była to zarazem ostatnia walka stoczona przez regularne oddziały polskie.

* * *

Bitwy polskiego września wykazały wysoki stan moralny i wolę walki żołnierza polskiego, który ulegał wielokrotnej przewadze liczebnej i ogniowej przeciwnika.

Biorąc pod uwagę możliwości bojowe zadaliśmy stosunkowo znaczne straty nieprzyjacielowi, zmuszając go do dużego zużycia amunicji. Okazuje się, że w Polsce zużycie amunicji we wrześniu 1939 r. było większe aniżeli we Francji w czasie działań 1940 roku.

Wg danych niemieckich moździerze 81 mm w 1939 r. oddały w Polsce 490 000 strzałów, gdy we Francji tylko 459 000, haubice polowe 105 mm zużyły podobnie jak i we Francji około półtora miliona pocisków, natomiast działa 150 mm rozchodowały blisko po 100 000 pocisków, głównie przy działaniach typu oblegania miast i węzłów obrony.

Chociaż straty Wehrmachtu w ludziach w stosunku do użytych sił nie były duże i szacuje się je na 40 000, w tym około 16 500 zabitych, tym niemniej straty w sprzęcie, zużycie amunicji, paliwa były dotkliwe dla armii niemieckiej. Np. czołgów i samochodów pancernych zniszczono i uszkodzono 993 sztuki, czyli 30 proc. całego parku pancernego rzuconego na Polskę. Samochodów ciężarowych zniszczono 4000 szt., a samochodów osobowych i motocykli ponad 7000 szt. (niektóre źródła wymieniają nawet 8500 szt.). Dopiero na tle strat niemieckiej techniki bojowej uwidacznia się zaciętość wrześniowych walk i siła polskiego oporu.

Straty Wojska Polskiego były olbrzymie w liczbach bezwzględnych. Wynosiły bowiem około 70 000 poległych i zmarłych z ran. Liczbę rannych szacowano na ponad 150 000, a więcej niż 400 000 żołnierzy, podoficerów i oficerów dostało się do niewoli. Zginął prawie cały majątek wojskowy. W czasie działań duże straty ponosiła ludność cywilna w oblężonej Warszawie, podczas artyleryjskiego ostrzału miast i osiedli, terrorystycznych nalotów na linie komunikacyjne i wszelkie, nawet przypadkowe skupiska ludności cywilnej.

Oddziały frontowe Wehrmachtu wykonały w czasie działań ponad 2500 samosądów nad rzekomymi „bandytami" i „sabotażystami", w istocie zaś nad cywilami ukrywającymi się przed nalotami i ostrzałem.

Siły III Rzeszy złamały opór armii, okupowały kraj, ale nie zlikwidowały woli walki. Pomimo poniesionej klęski niemal bezpośrednio po kampanii zaczyna się rozwijać ruch oporu. Klęska wrześniowa wskazała społeczeństwu polskiemu potrzebę innego modelu stosunków społeczno-gospodarczych i innego układu sojuszy. Jak wykazały późniejsze wydarzenia, obóz polskiej lewicy wyciągnął słuszne wnioski z gorzkich doświadczeń wojny obronnej.

JERZY GŁUSZEK
ppor. art. 6 DAK — Armia „Poznań"

# Echo

Las się jesiennym słońcem czesze,
Dziki bobrują pod dębami —
A krótką salwą minął wrzesień.
I błysnął światu bagnetami.

Zając przycupnął pod wykrotem,
Klucz dzikich gęsi wzbił się chmurą —
Szwadron do szarży biegł galopem,
Pułki do szturmu szły nad Bzurą.

Kryją się rżyska w skibach czarnych,
Szczękiem granatów zaorane —
Tulą się drżące, leśne sarny,
Kock — przestał strzelać dziś nad ranem.

Zniknęły echa kanonady
Od Westerplatte do Modlina —
Zamarła śmierć i gwałt zagłady,
Groby okryła już darnina.

Choć życie płynie zakrętami,
Nowych pokoleń rosną dzieci —
Wrześniowe echo będzie z nami
W dźwięku idących wprzód stuleci.

wrzesień 1984

# Bilans Września

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

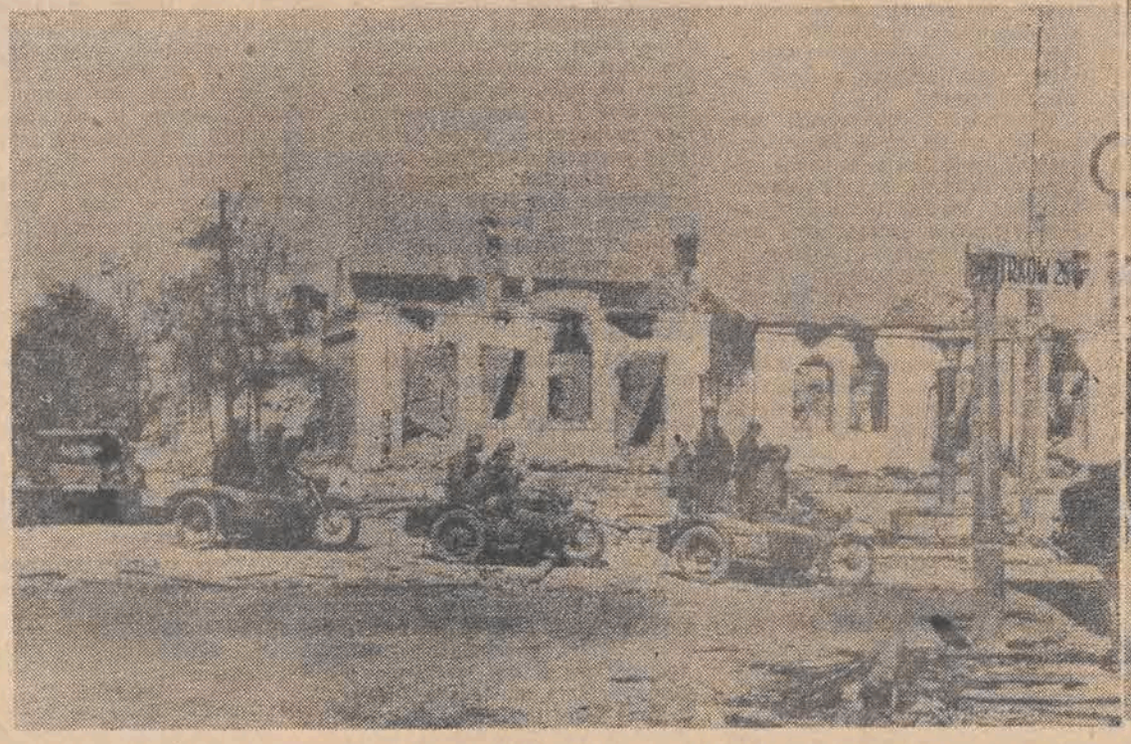

Foto: G. Gałastński

# Futra mają nieodparty urok

EUGENIUSZ IWANICKI

Kolejny już raz na łamach „Odgłosów" zabieram się do pisania o złodziejach. Nie o jakichś tam drobnych rybkach, a wręcz o rekinach tej, starej jak ludzkość, branży. Ludzie, o których piszę nie posiadają ani uroku Arsena Lupin ani jego inteligencji. I choć zgarniają towary o milionowej wartości, przecież nie bogacą się, nie korzystają z tzw. uroków życia na miarę wspomnianego wyżej włamywacza ani nie starają się pomnożyć zdobytego nielegalnie kapitału. Ot, łatwo przyszło, jeszcze łatwiej rozpływa się w alkoholu w pijackich melinach.

Tym razem rzecz będzie zupełnie świeża, choć jej historia zaczęła się dwa lata temu. Będzie o futrach, lisich skórkach i temu podobnych towarach, które mają tak nieodparty urok nie tylko dla pań, ale, jak się niebawem przekonamy, także dla niektórych panów.

## NA GORĄCYM UCZYNKU

Noc, nawet nie tak chłodna, choć to październik. Trzej panowie niczym cienie przenikają przez bramę na Piotrkowskiej pod nr 38. Jest cicho, gdzieś warczy przepalający się neon w reklamie nad sklepem. Klatki schodowe są puste. Każdy, nawet najmniejszy szmer, rozlega się ostrym echem. Mimo to nikt się nie pojawia, więc wyważanie drzwi idzie sprawnie. Mężczyźni wiedzą, że tam, po drugiej stronie, są pomieszczenia Zakładu Futrzarskiego „Kuśnierz".

Oddajmy jednak głos dokumentom. Oto notatka służbowa sporządzona przez funkcjonariuszy milicji z Komendy Dzielnicowej Łódź-Śródmieście:

„W dniu 12.10.1982 około godziny 3.10 otrzymaliśmy informację od KW MO, iż na ul. Piotrkowskiej 36 lub 38 weszło do bramy czterech mężczyzn i mieli ze sobą duże wypchane torby turystyczne (informacja była o tyle nieścisła, że mężczyzn było trzech — dop. E. I.).

Po przybyciu na miejsce i penetracji klatek schodowych zatrzymaliśmy w jednej klatce schodowej na ul. Piotrkowskiej 36 młodego osobnika, który porzucił torby na I piętrze, a sam zbiegł na ostatnie piętro i tam też został zatrzymany. Osobnikiem tym okazał się Ob. Adam H. syn Zbigniewa i Krystyny, ur. 5.12.1965 r. w Łodzi...

Po odwiezieniu go do KD MO Łódź-Śródmieście okazało się, iż w torbach tych znajdują się następujące przedmioty:

1. Kożuch męski krótki, jasny brąz z ciemnym kołnierzem.
2. Kożuch męski brązowy z ciemnym kołnierzem.
3. Kurtki damskie ze skór lisa srebrzystego — sztuk 3.
4. Kurtka damska ze skór lisa koloru jasnego."

Znalezisko było imponujące, a tym bardziej, że zatrzymany osobnik wcale nie wyglądał na takiego, co to nie wie jak postąpić z nadmiarem gotówki. Przede wszystkim był młodziutki, właściwie chłopiec a nie mężczyzna, można powiedzieć gołowąs nie mający jeszcze pojęcia do czego dorosłemu mężczyźnie służy aparat do golenia. I choć z dowodu osobistego wynikało, iż ma już 17 lat, milicjanci jakoś sceptycznie potraktowali ten jego wiek.

Skoro jednak taki szczyl i gołowąs targa po nocy torby, wypełnione kożuchami, sprawa jest bardziej niż poważna. Aparat ścigania natychmiast rozpoczyna swoją zwyczajową działalność. Nie ulega wątpliwości, że dokonano włamania. Rozlegają się rozkazy, samochody ruszają w miasto. Zatrzymany Adam H. dostaje się w tzw. krzyżowy ogień pytań.

Notatka urzędowa: „W dniu dzisiejszym o *godzinie 3.30 przeprowadziłem rozmowę z zatrzymanym Adamem H. zam. w Łodzi..., który to w rozmowie przyznał się, że wspólnie z Wiesławem K. zam. Wieś Bronisin, gm. Rzgów — przebywa w Hotelu Mazowieckim w pokoju nr 225 — i Krzysztofem W. zam. w Łodzi dokonali włamania do Zakładu Futrzarskiego w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej nr 38. Jak oświadczył, do zakładu wszedł Wiesław K. a on i Krzysztof W. stali na lipku. W czasie rozmowy tutejsza komenda poprzez operatora WSK otrzymała informację od n.n. taksówkarza, który odwiózł mężczyznę z postoju przy „Magdzie" na ul. Mickiewicza 59, a ponieważ nie posiadał pieniędzy spisał go z dowodu osobistego i podał, że nazywa się Krzysztof W. zam. j.w.*

*Wspólnie z prac. II ref. udałem się na ul. Mickiewicza 59, gdzie dokonałem przeszukania lecz z wynikiem negatywnym...*

*Następnie udałem się do Hotelu Mazowieckiego gdzie zastano znajomą Wiesława K. zam. w Krakowie, którą to wraz z wszystkimi przedmiotami znajdującymi się w pokoju przewieziono do KD MO Łódź-Śródmieście. W pokoju tym jest zameldowany także K., który wg oświadczenia w.w. wyjechał do żony. Po powrocie do KD MO Łódź-Śródmieście w rozmowie z Adamem H. ustaliłem, że Ewa W. była wtajemniczona we włamanie przez K... W toku przesłuchania osoby znaleziono pistolet „Start", który to należy do K. jak oświadczyła W."*

## WYJAŚNIENIE ADAMA H. I BILANS STRAT

*„... oświadczam, że Krzysztofa W... zapoznałem około 3 miesięcy temu na chali targowej Plac Niepodległości jak sprzedawał koszulki znadrukiem i odtej pory przyjeżdżałem do niego do domu poprzez Krzyśka W. zapoznałem Wieśka K. zamieszkały Bronisin Wieś 33 gmina Rzgów. W dniu 11-10-1982 o godzinie 13.00 był umnie w mieszkaniu Krzysiek W. i powiedział abym przyszedł do niego było to wobecności mojej mamy. Około godziny 14.00 pojechałem do mieszkania Krzyśka tam zastałem Krzyśka W., Wieśka K., Krzyśka rzone Lucyne brat Krzyśka oimieniu Sławek lat 27 Krzysiek jak i K. powiedzieli mi że pujde znimi na włamanie. O godzinie 24.00 wyszliśmy z mieszkania razem i udaliśmy się na Piotrkowską 38 narzendzia do włamania były już uprzednio zakopane na podwurku tej posesj jak łyżka do opon, piłka do cięcia metalu, kombinerki, śrubokrent i drut do robienia swetrów. Tymi narzendziami wyłamał drzwi K. Wiesław do pracowni kuśnierskiej ja stałem na klatce schodowej uwarzałem rzeby dać znać jak ktoś byszedł z lokatorów. A Krzysiek stał nadole nadmieniam rze idąc na włamanie Krzysiek zabrał swój neseser koloru Niebieskiego. Po wyłamaniu drzwi od pracowni Wiesiek K. Pakował Korzuchy lisy i futra do przyniesionego nesesera".* (Ortografia i składnia jak w oryginale — E. I.)

Kiedy już byli spakowani i wynosili łup, nadjechał radiowóz milicyjny. Tego się nie spodziewali. Przecież robota była pewna i miało nie być żadnych niespodzianek. Wsypa? Szybko spojrzeli na siebie, ale każdy tylko wzruszył ramionami: zawodowcy nie popełniają takich głupstw. A może ktoś z sąsiadów? Może widział jak wchodzili? Może słyszał wyważanie drzwi? Torby zostawili na piętrze, a sami rzucili się na ulicę. Nie, tak nie można, przecież może milicja wcale nie po nich, a jedynie tak, w ramach patrolowania dzielnicy. Adam H. decyduje się na powrót, do toreb, do łupu. Wiesław K. i Krzysiek W. pędzą w stronę ulicy Jaracza, z nadzieją, że złapią taksówkę. Adam H. chroni się na III piętrze. Słyszy, jak milicjanci zatrzymują się obok toreb, jak jeden z nich zaczyna wspinać się za nim. Wówczas rezygnuje i postanawia sam zejść.

Taki był początek działalności futrzarskiego gangu, który już u progu działalności, poniósł klęskę. Inni być może załamaliby się definitywnie i ostatecznie, skoro tak pechowo wystartowali. Ale nie oni.

## MISTYFIKACJA WYCHODZI NA JAW

Z zeznań Dariusza S.: *„...we wrześniu br. (chodzi o 1982 r.) brałem udział, gdy Krzysztof W. i Wiesław K. dokonali włamania do internatu dla głuchoniemych na Dąbrowie, skąd zabrali 5 maszyn. Wiesław K. dokonał włamania — wszedł przez okna na parterze. Okno było uchylone i zabezpieczone łańcuchem. Zdarzenie miało miejsce w środę, w połowie września, w nocy. Krzysztof W. stał na rogu ulicy na tzw. lipku, a ja stałem pod drzewem. Wcześniej nie wiedziałem, że oni dokonują przestępstw i dopiero na miejscu powiedzieli mi o tym. Wiesław K. wyniósł 5 owerloków, które spakowaliśmy do nesesera i worka. Ja też pakowałem maszyny. Maszyny zabraliśmy ze sobą. Jedną ja wspólnie z Krzysztofem W. następnego dnia sprzedaliśmy w zakładzie krawieckim na ul. Nawrot 100 za 110 tys. zł... Ja nie byłem w zakładzie krawieckim, stałem na ulicy. Maszynę sprzedał Krzysztof W. z kolegą Sławkiem lat ok. 27. Ja tego mężczyzny nie znam...*

*Pozostałe maszyny Krzysztof W. sprzedał nie wiem komu. Jedną sprzedał za 75 tysięcy, drugą za 80 tys. Wiem, że maszyny te przechowywał Sławomir W., gdyż bezpośrednio po dokonaniu przestępstwa zawieźliśmy je do miejsca jego zamieszkania...*

*Mieszkaliśmy w Hotelu Orbis. Stracili 70 tys. zł. W dniu 11.X.82 o godz. 14.00 przyszedłem do Krzysztofa W., który powiedział mi, że ma w nocy wspólnie z Wiesławem K. i ze mną dokonać włamania do spółdzielni „Kuśnierz" na Piotrkowskiej 38. Ewa — narzeczona Wiesława K. była przy tej rozmowie i wiedziała, że mamy dokonać przestępstwa.*

*W połowie sierpnia 1982 r. przy pomocy pilnika do paznokci dokonałem włamania do mieszkania ciotki, skąd zabrałem zegarek automatyczny i obrączkę, i 1000 złotych. Krzysztofowi W. sprzedałem zegarek i obrączkę za 1000 zł, a 1000 zł zabrane ciotce przeznaczyłem na własne potrzeby. Żadnych innych przestępstw nie dokonałem".*

Zaraz, zaraz, więc jak to jest w końcu z tymi włamywaczami do „Kuśnierza" na Piotrkowskiej 38? Ilu ich było: trzech czy czterech? Milicjanci w nocy 12 października spłoszyli trzech: Adama H oraz dwóch, których nie udało się ująć. Teraz okazuje się, że niejaki Dariusz S. także przyznaje się, iż uczestniczył w tym włamaniu. A więc czterech? Też nie, bowiem zarówno Adam H. jak i Dariusz S. twierdzą, że było ich „na robocie" trzech.

Ale posłuchajmy dalszych wyjaśnień Dariusza S.

*„... Od miesiąca sierpnia 1982 r. przebywam na ucieczce z domu... Podawałem celowo fałszywe personalia odnośnie mojej osoby, gdyż bałem się iść do zakładu poprawczego. Nie jestem w stanie dojść do porozumienia z innymi bywalcami zakładu, gdyż oficjalnie nazywali mnie „Cjelem". Byłem bity w zakładzie przez osoby tam przebywające. Robili mi też rowerek...*

*Tylko z tego powodu tak mówiłem, że ukończyłem 17 lat aby uniknąć nawiązywania stosunków ponownie z „git ludźmi", z zakładu wychowawczego. Wiem, że nie powinienem tak mówić, jest to tylko moja wina i bardzo tego żałuję...*

*Odnośnie gobelinów z Muzeum Włókiennictwa: włamania dokonali Krzysiek i jego brat Paweł. Dowiedziałem się od Krzyśka, że weszli oni przez okno od strony wejścia, które znajduje się z boku budynku po uprzednim wejściu na dach. Następnie z dachu dostali się do okna, które było zakratowane i kratę usunęli przy pomocy lewarka samochodowego...*

*Z tego co mi mówił Krzysiek zabrali stamtąd gobeliny, dywany, wzmacniacz i aparat ruchomy filmowy".*

Teraz sprawa zaczyna się wyjaśniać: Adam H. i Dariusz S. to jedna i ta sama osoba. Uciekinier z domu, mieszkaniec poprawczaka lgnący do świata przestępczego. Za każdym razem, kiedy składał zeznania, nie mówił prawdy. W protokołach z jego przesłuchań trudno się zorientować, co jest prawdą, a co fantazją. Wreszcie, widząc, że milicjanci nie są naiwni, powie: *„w dniu 11.10.1982 r. Krzysztof W. około godziny 18.00 od Adama H. kupił za 1000 złotych dowód tożsamości i mi go wręczył, bym miał się czym okazać w razie legitymowania".* A tak naprawdę, to nazywa się Dariusz S.

## WŁAMANIE NA UL. JARACZA 12

Z notatki służbowej wynika co następuje: „Na miejscu ustaliłem, że w okresie od dnia 26 do 28.11.83 n.n sprawcy dokonali wybicia otworu w suficie budynku frontowego dostając się w ten sposób do jednego z pomieszczeń w.w. zakładu — pracowni kuśnierskiej. Otwór został wykonany po uprzednim wyjęciu cegieł z sufitu, wyrwaniu deski o grubości 3 cm i wybiciu dwóch płyt paździerzowych o łącznej grubości 4 cm...

...skradli z nutrii wyroby gotowe w postaci co najmniej 3 kurtek, skóry z lisów, z nutrii i baranie, a nadto najprawdopodobniej skradli przerabiane kurtki z różnych futer".

Zatrzymany pod koniec czerwca br. Krzysztof W. tak o tym opowiedział:

*„Nadmieniam ponadto, że dokonałem włamania razem z Wieśkiem do Spółdzielni Pracy „Kuśnierz" przy ul. Jaracza. Włamania tego dokonaliśmy tą samą metodą, co potem przy ul. Narutowicza 12, poprzez wyłom w suficie...*

*Pamiętam, że byliśmy tam w dniu 27 listopada 1983 r., gdzie poszliśmy w godzinach wieczorowo-nocnych...*

*Do wnętrza tego zakładu wszedł K., ja natomiast stałem w piwnicy i odbierałem futra z lisów, skóry z nutrii i baranie. Rzeczy te pakowałem we worki papierowe, które kupiliśmy wcześniej na rynku...*

*Skradziony łup zawieźliśmy do bramy na ul. Wschodniej, gdzie go ukryliśmy...*

*Tego dnia, tj. 28 listopada 1982 r. do mojego mieszkania przyjechał Wiesiek i miał ze sobą 250.000 zł, resztę miał wypłacić ten mężczyzna później. Chodziło o całą sumę 500.000 zł. Nie wiem, może K. otrzymał całą sumę, a mnie tylko powiedział, że dostał 250.000. Z tej sumy podzieliliśmy się z Wieśkiem po połowie, otrzymałem od niego 125.000 zł. Pieniądze te przeznaczyłem na jedzenie oraz ubranie, część pieniędzy przeznaczyłem na zakup różnych przedmiotów, którymi następnie handlowałem na rynku".*

## WŁAMANIE NA UL. NARUTOWICZA 12

Zeznaje Krzysztof W.: *Pamiętam, że na około dwa tygodnie przed tym włamaniem umówiłem się z Wiesławem K. w moim mieszkaniu przy ul. Mickiewicza 59, prostuję, spotkaliśmy się na rynku Górniaka. Pamiętam, że gdy się spotkaliśmy, Wiesiek zaproponował skok na zakład futrzarski. Powiedział, że dokonamy włamania do sklepu futrzarskiego przy ulicy Narutowicza 12...*

*Włamanie to zaplanowaliśmy z dnia 10 na 11 czerwca 1984 r. Był to dzień przed niedzielą...*

*Pomysł z sufitem podpowiedział Wiesiek. Tego dnia zgodnie z umową poszedłem około godz. 22.00 pod bramę ul. Narutowicza 12. Wiesiek czekał na mnie już w bramie. Wcześniej ja nie oglądałem miejsca włamania i którędy mogliśmy przejść, zrobił to Wiesiek i oświadczył, że najłatwiej będzie się dostać przez piwnicę.*

*Razem poszliśmy do piwnicy, która znajdowała się pod sklepem...*

*Razem z Wieśkiem przystąpiłem do wybijania otworu w suficie. Do tego celu służył nam lewarek samochodowy oraz metalowa rura dł. 2,5 m gruba ok. 10 cm. Rurę tę postawiliśmy na lewarek i poprzez naciskanie na pedał lewarka rura unosiła się do góry. Kilkakrotnie w kilku miejscach dostawialiśmy otwór rury, aby powstał większy otwór. Po wybiciu tego otworu Wiesiek stanął mi na plecy i wszedł do wnętrza sklepu. Jak się okazało był to magazyn...*

*Po chwili Wiesiek ukazał się w otworze i zaczął rzucać towar, były to futra, lisy, skóry koloru czarnego. Podał mi około 8 sztuk futer, lisów około 60 sztuk...*

*Zapakowane lisy i futra przejściówkami zanieśliśmy do mieszkania Pawła B. przy ul. Sienkiewicza 37...*

*Okazyjnie na następny dzień sprzedaliśmy 10 sztuk lisów osobom przygodnie poznanym. Za każdego lisa braliśmy po 10 tys. zł."*

Krzysztof W. nie powiedział, że np. jednego lisa ofiarował swojej przyjaciółce z Ostrowca, która studiowała na jednej z wyższych uczelni w Łodzi. Nie powiedział także, że często kradzione futra czy lisie skóry sprzedawali za bezcen, że pieniądze przepijali, że żyli z dnia na dzień bez celu...

## REMANENTY (WYKAZ SKRADZIONYCH TOWARÓW)

*Sklep przy Piotrkowskiej 38:*

1. Trzy kurtki z lisów srebrnych
2. Kurtka reklamowana z lisów
3. Dwa kożuchy męskie
4. Kurtka z nutrii
5. Dwa futra z nutrii
6. Jedno futro z nutrii (krótkie)
7. Skórka z lisa srebrnego, 4 kołnierze, cyklistówka z nutrii, beret z nutrii, czapka z norek.

Suma strat — 1.308.130 zł. Wartość odzyskanego mienia zaledwie 846.309 zł.

*Sklep przy ul. Jaracza 12*

1. skór z nutrii — 290 sztuk
2. skór z lisa — 25 sztuk
3. skór karakułowych — 8 sztuk
4. kurtka z nutrii
5. futro z nutrii

Suma strat: 1.439.567 zł.

*Sklep przy ul. Narutowicza 12*

1. Kurtki z lisa niebieskiego — 4 szt.
2. Futro z piżmaka
3. Kurtki z piżmaka — 4 szt.

Suma strat: 6.509.000 zł.

Remanentu dokonano także w Wojewódzkim Urzędzie Spraw Wewnętrznych w Łodzi. Wyszło im, że właściwie wszystko się zgadza, nie ma ani manka, ani superaty: cały gang znalazł się pod troskliwą opieką wymiaru sprawiedliwości. Jest także jeszcze jedna pewność: każdy z nich dostanie według zasług, to mają zagwarantowane. Za 9,5 mln zł, bowiem na taką sumę dokonało kradzieży owych 7 wspaniałych złodziei i paserów.

# Wólczańska 49

(1)

*Dokończenie ze strony 1*

tymczasem na ogłoszeniowej tablicy w pośredniaku wiszą gęsto powtykane, pożółkłe już rzędy druków z materialnymi zachętami. Ten i ów chętnie „kupi": blacharza — spawacza za 25 tys. zł, murarza — tynkarza za 22 tys. zł, tokarza i betoniarza za 20 tys. zł, elektryka za 18, cieślę za 18, dekarza za 17, stolarza za 16, hydraulika, malarza, tkaczkę za 15 oraz robotników niewykwalifikowanych za 14—16 tys. zł (na początek), a nawet „zamiatacza sal produkcyjnych" za 11 tys. zł i „gotowacza napoi" za 9 tys. zł.

No i stało się! Mało kto przystaje przed ogłoszeniową tablicą i czyta te nieatrakcyjne oferty. Raczej są one obiektem kpin rozkapryszonych „bezrobotnych".

— Zobacz, szukają jelenia do targania bawełny za trzy piątki. Murzyna niech se sprowadzą...

— Co, dwie dychy dla murarza?! — Chyba na tydzień...

Ogłoszenia żółkną więc jeszcze bardziej, przybywa nowych, które na pewno podzielą ich los, bo jest w czym przebierać, wybierać, a czasu sporo...

Od godziny ósmej zaczyna się ceremonia kuszenia robotnika w wykonaniu specjalnie w tym celu delegowanych przedstawicieli zakładowych komórek zatrudnienia — wypielęgnowanych urzędniczek i brzuchatych urzędasów. I chociaż szanse kadrowców na pochwycenie roboczej siły są raczej mizerne, to trzeba im przyznać, że potrafią poruszać się w sfrustrowanym gronie. Krótka ocena sytuacji, rzut oka na twarze i pani z kajecikiem podchodzi grupkę najmłodszych poszukiwaczy pracy. Pani z kajecikiem grzecznie przedstawia się upatrzonej młodzieży, po czym jednym tchem relacjonuje jakie to w jej zakładzie czekają etaty, jakie premie, jakie stołówki, bony deputatowe, możliwości pracy za granicą etc., etc. Lecz zanim jeden z chłopców niegrzecznie przerwał referentce, zanim postawił suche, acz konkretne pytanie: „za ile?", zanim to nastąpiło, ktoś z boku, jakiś bardziej doświadczony kolega przestrzegł:

— Do Anilany nie chodźta. Tam jest smród i zapierdol na trzy zmiany. Nie takie byczki jak wy dały stamtąd nogę...

W tym momencie pertraktacje zostały definitywnie zerwane. Następny był urzędnik z teczuszką pod pachą. Nawet nie zdążył przestąpić progu poczekalni, gdy tubalny głos powitał go wydając nieodwołany wyrok:

— Idź pan sobie. Nie ma głupich do roboty za friko. Badylarz daje więcej na godzinę, niż u was mają dniówki.

Potem nadciągali inni kadrowcy — ci znani już i ci nowi. Nowi mają pewne przywileje. Nowym wolno dojść do słowa, a nawet wianuszek ciekawskich otacza niektórych z nich. Nowi i starzy mają przy sobie gotowe druczki i formularze — żeby już, od ręki załatwić niezbędne formalności.

Nowi nie wiedzą jeszcze, że gdyby ich obietnice choć w części nie odpowiadały rzeczywistości, to zwerbowani poczują się oszukani — wrócą na Wólczańską, a wtedy niefortunni naganiacze przepadli z kretesem, bo zła opinia w mig dociera do wszystkich zainteresowanych. „Spalonego" kadrowca witają w te słowa:

— Te, a dyrektora nie potrzebujeta?...

Na dziedzińcu przed wejściem do poczekalni „przyjmują" deficytowi fachowcy — budowlani, ślusarze, spawacze, tokarze. Od trzydziestu wzwyż — czyli rokowania prowadzone są jedynie w przypadkach ustnej deklaracji pracodawców, że miesięczna płaca nie będzie niższa niż 30 tys. zł.

— Za 28 nie pójdę! Przedtem miałem 32 i rzuciłem robotę. Muszę mieć więcej albo nie mamy o czym gadać...

— Panowie, ja nie mogę dać więcej — kadrowiec osaczył dwóch budowlanych. — Szukam panów i szukam. Może dojdziemy do porozumienia? Są jeszcze dodatki, będą specjalne fundusze. Gdyby to ode mnie zależało...

Właśnie, gdyby to od nich zależało. Gdyby to zależało od kadrowców, gdyby wysokość płacy ustalali ci urzędnicy, ile by zapłacili za luksus zatrudnienia robotników pilnie poszukiwanych? Ale czy tak zupełnie od nich nie zależy...

Wólczańska 49 — rynek pracy. Popyt na siłę roboczą ciągle nie zaspokojony. 11,5 tys. wolnych miejsc pracy w łódzkich zakładach. Podaż siły roboczej, co nietrudno zauważyć, duża — przeważnie w pierwszym gatunku, ale na liście poszukujących pracy zapisano tylko nieco ponad 180 nazwisk. Ceny: urzędowe, regulowane, umowne i bardzo umowne. Te ostatnie są wyjątkowo elastyczne. Umowę o pracę zawiera się z pominięciem papierkowych formalności. Wypłata z rączki do rączki po fajerancie...

Jak dotąd tylko prywatna inicjatywa i firmy polonijne podchwyciły reguły gry i mimo innych barier nie narzekają na brak rąk do pracy. W efekcie określenia: „prywaciarz" i „firma polonijna", stały się na Wólczańskiej atutami przetargowymi, punktami odniesienia, do których przymierza się wszelkie inne propozycje, by po krótkim namyśle odrzucić te inne jako mało intratne. Póki co, pan robotnik z Wólczańskiej dobrze czuje się w centralnej roli tej groteski. Tylko patrzeć, jak przyślą lektyki po panów fachowców, albo rozwiną dywany na drodze z pośredniaka do pracy...

Jakże marnie w tym świetle rysuje się teraźniejszość i wątpliwa przyszłość „utytułowanych". Na pierwszym piętrze pośredniaka spotykają się absolwenci szkół wyższych i średnich. Dla magistrów, dla inżynierów i techników ofert pracy jest niewiele, a i te, które wiszą na tablicy nie napawają optymizmem. Najatrakcyjniejsze z nich to: referent do spraw zaopatrzenia z płacą miesięczną 7—8 tys. zł, specjalista do spraw surowców — 8600—9000 zł, księgowa — 6—8 tys. zł, główna księgowa — 12—15 tys. zł, specjalista do spraw transportu z ośmioletnim stażem pracy — 8200—8800 zł, specjalista do spraw rewizji zakładowej z pięcioletnim stażem pracy — 8500 zł. Inne oferty oscylują wokół socjalnego minimum.

Podstawowym wymogiem pracodawcy jest odpowiednio długi staż pracy na kierowniczym stanowisku. Adeptów prawie nikt nie potrzebuje. I jak tu wykazać się stażem pracy, skoro poszukiwani są tylko ludzie z branży — zamknięty krąg doświadczonych urzędników? Co zrobić z długą „ławką rezerwowych" referentów?

Łatwo też zauważyć, że szczególne „wzięcie" mają księgowe. Małe zakładziki i renomowane kolosy zgłaszają zapotrzebowanie na osoby biegłe w tym fachu. Skąd tak gwałtowny wzrost rangi zawodu? Wytłumaczenie jest proste: obrotna księgowa to szansa całkiem legalnego wzrostu płac, a co za tym idzie, zatrzymania u siebie deficytowego robotnika. Sprytna księgowa powinna opanować sztukę „wyczarowywania" czternastych i następnych pensji, dodatków i funduszu do podziału. Mieć taką księgową — marzenie każdego dyrektora. Poszukiwanie talentów trwa....

Innym „umysłowym" nikt nie nadskakuje. Kadrowcy zaglądają tu z rzadka. Nie muszą fatygować się na Wólczańską, bo podaż urzędników bije na głowę popyt, więc potencjalni referenci sami kolędują po biurowcach.

W poczekalni nastroje raczej minorowe. Jakiś inteligent w pierwszym pokoleniu zwierza się towarzyszowi niedoli:

— Jeśli dzisiaj nic nie wskóram, to dam za wygraną i pokajam się przed ojcem. Ojciec teraz triumfuje, bo pukał się w czoło kiedy zdawałem na studia. Pamiętam dobrze co wtedy mówił. Powiedział tak: „będziesz tylko magistrem, chudopachołkiem, a ja zawsze będę panem majstrem. Do mnie, nie do ciebie przybiegną z plikiem forsy, żeby im postawić chałupę..."

Rozmawiają dwaj świeżo upieczeni absolwenci uniwersytetu:

— Przeglądałeś oferty u pełnomocnika?

— Tak. Kutno, Suwałki albo inna Kozia Wólka. Hotel pracowniczy, a po siedmiu latach mieszkanie. Sześć dwieście na starcie.

— A w Łodzi?

— W Łodzi tylko szkoła podstawowa...

Na tym samym piętrze jest poczekalnia i pokój przyjęć dla półetatowców. W poczekalni nie ma żywej duszy. Potrzeba na pół etatu: sprzątaczek, portierów-rewidentów (trzy zmiany), za 3000—3400 zł, babci klozetowej (oficjalna nazwa: obsługa szaletów) za 4000 zł, piekarzy, dozorców, przewijaczki... Wymagane kwalifikacje — wykształcenie podstawowe.

Największy ruch jest w poniedziałek. Kto wcześnie wstaje ...ten w kolejce staje. Wstają wcześnie. Już o piątej zjawiają się pierwsi stali bywalcy. Siadają na krawężniku albo na stalowej barierce pod płotem. Czekają. Kiedy pada deszcz szukają schronienia w sąsiednich kamienicach — w bramach i na schodowych klatkach. Zimnym miekiem z bezpańskich kontenerów przed spożywczakiem gaszą ogień poniedziałkowego kaca — wspomnienia po wczorajszej imprezie. Czasem rozbudzeni lokatorzy kamienicy próbują uciszyć głośne towarzystwo. Częściej po prostu uprzątają porzucone butelki po mleku, stołowej, kryształku. Zmiatają rozdeptane pety i modlą się o ciepłe poranki.

Zimą okupują schody aż do pierwszego piętra. Czekają. Ogrzewają zmarznięte dłonie ciepłem płonących gazet. Czekają, póki stojący na „lipku" nie gwizdnie przeciągle. To znak, że przyjechał pierwszy prywaciarz, że przyjechała robota. Wychodzą wtedy na ulicę i sprawdzają czy warto. Potem podjeżdżają następni, a potem to już jest przed siódmą, więc czas najwyższy stanąć przed bramą. Stoją. Czekają.

O siódmej otwierają drzwi pośredniaka. Ci, którzy muszą się rejestrować ruszają do ataku. Reszta stoi i czeka. Szturm załamuje się na wąskim wejściu do pawilonu. Padają „mięsiste" słowa, szczere „życzenia". Oj, mają uciechę emeryci z najwyższych pięter okolicznych domów. Wstają wcześniej niż zwykle, zawieszają brody na okiennych parapetach i oglądają szarżujący tłum. Mają tu swoich starych znajomych. Tych mężczyzn widują od dobrych kilku lat. Stoją i czekają. Kiedy złapią swoją fuchę, nie ma ich przez tydzień, dwa. Ale zawsze wracają na Wólczańską. Znowu stoją, czekają. I tak w każdy poniedziałek, w każdą środę, w każdy piątek.

Od czasu do czasu w perspektywie ulicy zamajaczy kształt milicyjnej nyski. Ważne jest czy radiowóz jedzie wolno, czy też gna ostro. Jeśli wolno — znaczy patrol, a patrol, to niepotrzebne kłopoty. „Chłopaki" z Wólczańskiej „pryskają" w przechodnie podwórka. Ale patrole zaglądają tu rzadko — bo i po co. Ludzie przyszli do pracy — nie trzeba ludziom przeszkadzać. Dlaczego umykają na widok munduru?

— Teraz panie poprzebierali w mundury takich szczawików, małolatów, co to im wąs jeszcze nie sypnął. Tacy panie zaczepiają wszystkich. Mogą dowalić się do spokojnego człowieka. Władza im do głowy uderza...

Jedzie milicyjna nyska. Na Wólczańskiej nie ma już tłumu „bezrobotnych". Nyska znika za rogiem. Na Wólczańskiej jest tłum „bezrobotnych".

W te trzy nieparzyste dni tygodnia — poniedziałki, środy, piątki, budzi się Wólczańska szybciej niż inne łódzkie ulice. Budzi się i tętni życiem aż do południa. W południe emeryci zamykają okna. W południe „chłopcy" z Wólczańskiej żegnają się: „Cześć, przyjdziemy pojutrze".

ROMAN KUBIAK

**P. S.** Pojedzie pięciu wybranych. Pojedziemy daleko za miasto do „królestwa" naszego jednodniowego szefa. Będziemy wywozić ziemię z wielkiej jak hala sportowa szklarni. Zobaczymy nastoletnią córeczkę bossa jak wyjeżdża na spacer białą ładą i spogląda na nas ze współczuciem i litością...

O tych, którzy potrzebują sezonowych robotników i o sezonowych robotnikach, którzy potrzebują zarobić, w drugiej części reportażu „Wólczańska 49".

R. K.

# Pomyłki, które mogą kosztować życie

*Dokończenie ze strony 1*

przełożono do dowodu, nikt na niego nie zwrócił uwagi, nawet lekarz..

Z pisma Józefa Barańskiego do Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej w Łodzi 24 stycznia 1984 r.

*„Skarga na czynności chirurga traumatologa, jako lekarza pogotowia ratunkowego (...) Według zapisu w protokole izby wytrzeźwień p. Marek Halkiewicz twierdził, że jestem mocno pijany i bardzo czuć ode mnie alkoholem, co stwierdził na piśmie w swoim rozpoznaniu.*

*(...) Zwracam się z prośbą do Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej w Łodzi o przeprowadzenie w tej sprawie dochodzenia i po wyjaśnieniu wszystkich okoliczności wyciągnięcie konsekwencji w stosunku do lekarza (...) Chciałbym jeszcze zaznaczyć, że w szpitalu pobrano mi natychmiast krew do badania i absolutnie nie stwierdzono zawartości alkoholu".*

Faktycznie, wynik nr 110/84 z dnia 5 stycznia 1984 wydany przez laboratorium Katedry Medycyny Sądowej Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi brzmi 0,01 promille. Mówi o tym także epikryza w karcie informacyjnej I Kliniki Chorób Wewnętrznych AM szpitala im. Jonschera: Pacjent lat 69, przyjęty do szpitala z powodu utraty świadomości — obniżenie poziomu cukru 30-20 mg procent W chwili przyjęcia nie stwierdzono cech świadczących o spożyciu alkoholu w ciągu ostatnich kilku godzin.

*Dr Marek Halkiewicz:*

— Jestem zbyt doświadczonym lekarzem (?), abym nieprzytomnego zawiózł do Izby Wytrzeźwień. Dziesięć lat tam dyżurowałem! Pijaka odróżniam z daleka. Według mojej opinii nie wymagał hospitalizacji. Zresztą został również zakwalifikowany przez tamtejszego lekarza. Był w kontakcie, przecież bełkotał. Cukrzyk z miejsca krzyczy — „jestem chory na cukrzycę". Ten nie powiedział nic. Jako lekarz i jako człowiek mam czyste sumienie! Pozostawiłem go pod dobrą opieką! A w ogóle myślę, że pisanie o tym wypadku przyniesie dużo szkody. Teraz każdy nietrzeźwy wieziony do izby wytrzeźwień będzie się awanturował, że jego zdrowie, życie naraża się na szwank. Społecznie taki tekst nie ma żadnego uzasadnienia!

Czyżby? Chyba najwięcej pretensji mieć będą sami lekarze i słusznie! Zwłaszcza tacy, co „nie rozpoznają pijaka z daleka".

*Dr Andrzej Frontczak, dyr naczelny ZOZ Łódź-Górna:*

— Dla mnie człowiek w upojeniu alkoholowym, to także pacjent. Trzeba go przebadać dokładnie, zwłaszcza, jeśli jest nieprzytomny. Musimy być ostrożni, pijacy też chorują i to poważnie. Nas nie powinno interesować jak pacjent wygląda, brudny czy czysty...

A Józef Barański leżał na zabłoconej podłodze w tramwaju, umazany, rozbita twarz krwawiła. Chyba właśnie wygląd pacjenta i ta dziesięcioletnia praktyka w izbie wytrzeźwień zrobiły swoje.

Rutyna? Poza tym czy bełkot, nawet pijanego można nazwać kontaktem? Kontakt powinien być logiczny...

Prawdą jest, że tekst ten, być może, poderwie zaufanie zarówno do tych lekarzy, którzy w pełni na nie zasługują. Ale ja traktuję go przede wszystkim jako ostrzeżenie i piszę w imieniu przyszłych pacjentów, bo żaden nie chce paść ofiarą podobnej pomyłki. Mało brakowało, a sprawa J. Barańskiego nie wyszłaby nigdy na światło dzienne. Tym bardziej gdyby przytrafiło się większe nieszczęście. Sekcja, ustalenie przyczyny zgonu? Nikt by się o prawdę nie upomniał, rodzina nie doszłaby żadnych racji, tak jak obecnie nie może ich dojść poszkodowany. Kwestia błędu w sztuce lekarskiej? Zawsze możliwa, a popełniający omyłkę ma prawo się bronić..

Lekarz Marek Halkiewicz do Dyrekcji Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Łodzi.

*— (...) W Izbie Wytrzeźwień Józef Barański nie był, jak twierdzi, pozbawiony opieki, ponieważ przez cały czas pobytu znajdował się pod opieką lekarza dyżurnego. Zwracam uwagę na brak w zebranej dokumentacji historii choroby z Izby Wytrzeźwień, jak również w karcie informacyjnej ze szpitala im. Jonschera badania krwi na zawartość alkoholu (..) O godzinie 16.50 zespół „R" wysłany do Izby Wytrzeźwień rozpoznał „Podejrzenie wylewu krwi do mózgu" Ostatecznie przywieziony do szpitala Jonschera. Fakt rozpoznania hipoalicemii przemawia za użyciem alkoholu".*

Doktor Halkiewicz twierdzi także, że *„na decyzję lekarza dyżurnego izby wytrzeźwień nie miał żadnego wpływu"*. Dokumentacja zaś mówi co innego. To on postawił diagnozę — „pijany" i kategorycznie zażądał pozostawienia tutaj pacjenta. I gdyby nie dociekliwość następnego lekarza, który kolejno obejmował dyżur w Izbie Wytrzeźwień i po dokładnych oględzinach podopiecznych, wezwał zespół reanimacyjny, prawdopodobnie teraz nie byłoby sprawy...

*Konsultant d/s kardiologii dr med. Andrzej Żebrowski:*

*„Objawy niedocukrzenia mogą superować upojenie alkoholowe. Mając na uwadze powyższy fakt oraz warunki badania chorego (podłoga tramwaju) można usprawiedliwić błędną diagnozę lekarza Marka Halkiewicza. Niezrozumiałym jednak jest fakt wyczuwania przez niego zapachu alkoholu z ust badanego."*

Dalej konsultant wnioskuje, że:

1. Brak danych dla stwierdzenia nieprawidłowości w postępowaniu lekarza karetki Pogotowia Ratunkowego — w przypadku podejrzenia upojenia alkoholowego miał prawo przewieźć chorego do Izby Wytrzeźwień w celu konsultacji.

2. Izba Wytrzeźwień powinna dysponować możliwością bardziej precyzyjnej diagnostyki (np. oznaczenia alkoholu we krwi).

*Doc. dr hab med Maria Krzemińska-Pakułowa, kierownik I Kliniki Chorób Wewnętrznych AM w szpitalu im. Jonschera.*

— Dokładne, sumienne badanie wyklucza możliwość tak kardynalnej pomyłki, zwłaszcza gdy dokonuje go lekarz z ogromnym doświadczeniem, wysoką specjalizacją. Pacjenta przywieziono w stanie krytycznym. Poziom cukru we krwi miał bardzo niski. Wartości takie uznaje się wręcz za niebezpieczne dla życia. Trafił do nas prawie w ostatniej chwili. Miał ogromne szczęście...

Dyrekcja Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Łodzi przeprosiła Józefa Barańskiego na piśmie *„za pomyłkę lekarza i doznanie z tego powodu przykrości"*, obarczając winą izbę wytrzeźwień, która nie zastosowała *„właściwych kryteriów diagnostycznych"*. Zaś w rzeczywistości dla niej absolutnie nieistotne jest, iż życie pacjenta było poważnie zagrożone, ale fakt, że w łódzkim pogotowiu jeżdżą specjaliści wysokiej klasy.

*Dr Jerzy Okińczyc, dyrektor Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Łodzi:*

— Kwalifikacje zawodowe dr Halkiewicza oceniam bardzo wysoko! Obecnie doktor Marek Halkiewicz po zdaniu, pięknie

(?), egzaminu z anestezjologii jeździ w zespole reanimacyjnym. To już specjalista najwyższej klasy! Konsekwencji oczywiście nie poniósł żadnych. Nasz konsultant do spraw kardiologii dr Andrzej Żebrowski stwierdził, iż miał prawo się pomylić... Natomiast są z nim kłopoty zupełnie innej natury. Jest konfliktowy, często postępuje impulsywnie. Nie tylko współpracownicy się skarżą, ale pacjenci. Oczywiście nie należy do tajemnic, że ostatnio znów dostał naganę z wpisaniem do akt, zupełnie z innego powodu...

*Dr Wiesław Galanciak z-ca dyr. Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego:*

— W sytuacji Józefa Barańskiego należało szczególnie ostrożnie podejść do pacjenta. Lekarzy mamy takich, jakich mamy — kadrowe bolączki są coraz większe. Teraz, latem, naprawdę nie wiem kto ma jeździć. Np. pediatrów brakuje na okrągło...

Skarg na pogotowie, w ogóle na traktowanie pacjentów, błędy w sztuce lekarskiej jest niewiele. Ludzie po prostu nie wierzą w skuteczność jakichkolwiek interwencji. Jest dużo prawdy w narzekaniu — „Z lekarzami jeszcze nikt nie wygrał". Czy jednak pomyłka pomyłce równa? Jaką ma gwarancję pacjent Józef Barański, iż brudny, zakrwawiony, leżący w styczniowym błocku na podłodze publicznego pojazdu był lepiej potraktowany przez doktora Halkiewicza, niż inni chorzy, od skarg których aż się roi w aktach personalnych tegoż lekarza. Być może stan jego zdrowia został oceniony na oko, na podstawie wyglądu zewnętrznego. I dlatego nawet dla konsultanta d/s kardiologii, który w konsekwencji dopuścił możliwość pomyłki „niezrozumiałym wydaje się fakt wyczuwania przez lekarza zapachu alkoholu z ust badanego". Tym bardziej, że jak potwierdziły to miarodajne badania i personel szpitala nieprzytomny człowiek nie mógł być pijany.

W tym miejscu należy wyjaśnić, że milicja, która najczęściej ma do czynienia z ludźmi pijanymi, tych z utratą świadomości obowiązkowo wozi na badania szpitalne i dopiero potem, na ewentualne polecenie lekarza, do izby wytrzeźwień.

Dla ludzi, dla społeczeństwa, świadomość, że zawsze w krytycznej sytuacji można liczyć na szybką i skuteczną pomoc jest bardzo ważna, stanowi swego rodzaju komfort psychiczny. Tymczasem pogotowie szwankuje, nie tylko w Łodzi, ale i wszędzie. Istotną przyczyną są braki kadrowe, pogłębiane nieprzemyślanymi posunięciami. Np zarządzenie ministra zdrowia i opieki społecznej z dnia 16 listopada 1983 r. w sprawie dodatku za pracę na nocnej zmianie nie dotyczy... personelu średniego pomocy doraźnej. Inne, KU-321/k/83 z dnia 14 listopada 1983 zaliczające emerytów, rencistów: lekarzy, lekarzy dentystów, położne, pielęgniarki, salowe do deficytowych stanowisk roboczych pominęło także pracowników pogotowia. Skutkiem tego, przykładowo, w łódzkiej stacji, w drugim półroczu z powodu uzyskania górnego pułapu zarobków, zmuszonych było do zawieszenia działalności zawodowej ponad trzydziestu pracowników!

Te sprawy należy zmienić, w stosunku do innych placówek służby zdrowia pomoc doraźna pod żadnym względem nie powinna być upośledzona. I bez tego problemów jest dość. Czy jednak zawsze są widziane z należytą ostrością?

Łódzka Stacja Pogotowia Ratunkowego w grudniu br. obchodzi 85 lat swego istnienia. Ostatnio jubileusze obchodzi się tutaj co pięć lat. Chyba najwyższa pora, aby przestać wynajdywać okazje do prawienia sobie komplementów, skończyć z pseudonaukowymi konferencjami i realnie spojrzeć prawdzie w oczy. Nie czarować siebie, innych. Tak jak miało to miejsce niedawno, gdy goszczono pogotowiarzy ze Szwecji, którzy wynieśli najlepsze wrażenia i życzenie, aby taką pomoc doraźną mieć u siebie, w kraju! Co zobaczyli? Chyba nie życie codzienne tutejszego pogotowia — ogromne kłopoty kadrowe, niewydolność karetek specjalistycznych, co nie zdążają na czas do nagłych wypadków w odległych dzielnicach miasta. Oczywiście pokazano zespoły oczekujące na wezwania w podstacjach dzielnicowych, Szkołę Ratownictwa, która przy swoich niewątpliwych osiągnięciach, istnieje tylko dzięki garstce zapaleńców, lekarzy—społeczników, co nakładem własnego czasu służą swoją wiedzą innym... To są sukcesy, a reszta — reszta wymaga dopracowania, rozkręcenia, chociaż wszystko to można oczywiście pokazać z najlepszej strony, zwłaszcza, kiedy nadarza się niecodzienna okazja do zaprezentowania walorów. Tym bardziej, że pierwszym etapem reorganizacji łódzkiego pogotowia można się naprawdę pochwalić — skrócono czas wyczekiwania na karetkę, rozmieszczono zespoły ogólnochorobowe i pediatryczne w dzielnicach. Dzisiaj czas na następny. Podstacje zajmują funkcjonalne pomieszczenia, mogą przyjąć znacznie więcej zespołów wyjazdowych, także „R" i „K", przewozowych. Konieczna jest tzw. specjalistyka także w Zgierzu, Pabianicach. W ogóle wszystkie zespoły wyjazdowe oraz przewozy miejscowe winny być przekazane do dzielnic. Wojewódzka Stacja Pogotowia spełniałaby rolę centralnej dyspozytorni, pozostałyby w niej wyłącznie przewozy krajowe, lotnicze.

Ale plany są zupełnie inne. Uważa się, że jedynym słusznym rozwiązaniem jest rozbudowa stacji pogotowia. Ma powstać cały kompleks, dwa oddziały szpitalne, urazowy i obserwacyjny, zaplecze ambulatoryjne, specjalistyczne — okulistyka, laryngologia, ginekologia, pediatria. Obecny budynek pogotowia stanowiłby tylko jedną czwartą 3-4 kondygnacyjnego obiektu. Sam koszt opracowania projektu wynosi obecnie cztery miliony złotych, a budowa przy dzisiejszych cenach — pół miliarda. Jaki pożytek? Planowana ponownie centralizacja wydłuży bardziej drogę pacjenta do lekarza, pomoc w nagłych przypadkach będzie nadal skutecznie opóźniana. Przecież powstają ogromne dzielnice — Widzew-Wschód, Retkinia, Teofilów, Julianów, Chojny-Zatorze — miasta w mieście. Jak w niedalekiej przyszłości dla nich będzie wyglądała pomoc doraźna. Dla kogo to olbrzymie zaplecze diagnostyczne? Kto z pacjentów będzie się ciągnął przez całe miasto np. nocą do laryngologa w pogotowiu. Trzeba rozbudować owszem, ale podstacje. Przy ZOZ od dawna funkcjonuje już nocna pomoc lekarska, dyżurują szpitale... A karetki w pogotowiu przy ul. Sienkiewicza stoją bezużyteczne, bez lekarzy, lub wozi się nimi chorych do stacji, tylko po to, aby lekarz dał skierowanie do szpitala. Kosztowny przerost biurokracji! Często zespół ogólnochorobowy wzywa reanimacyjny, bo sam nie jest w stanie udzielić pomocy, a w konsekwencji chorzy i tak trafiają do szpitalnych specjalistów. Skąd tylu lekarzy do obsady pogotowia-giganta. Już dzisiaj ich brakuje. ZOZ-y lepiej dają sobie z tym radę, podstacje obsadzone, komplet będzie zupełny, jeśli podstacje będą ich placówkami.

Dyr WSPR, Jerzy Okińczyc dość dziwnie motywuje system rozbudowy pogotowia. Dla niego głównym argumentem jest fakt, że dzisiaj, gdy dyspozytor ze stacji wojewódzkiej, żąda od podstacji dzielnicowych wysłania zespołu w sąsiedni teren tamte odmawiają, tłumaczą się, że wszystkie karetki są w akcji. Dyrektor obawia się, że tak samo będą postępować dysponując zespołami „R", „K"... Pozostawiam to bez komentarza, nadmieniam jedynie, iż zawsze istnieje możliwość sprawdzenia co dany zespół robił w określonym czasie. Pozostaje kwestia oddziału szpitalnego przy pogotowiu. O tyle ma rację bytu, że zwiększa ilość deficytowych łóżek dla miasta, poza tym nie pełni żadnej specjalnej funkcji — wystarczy przejrzeć historie chorób pacjentów — z powodzeniem mógłby istnieć przy każdym szpitalu. Jest zwykłym rejonowym oddziałem internistycznym dla śródmieścia.

Zanim więc wydamy niemałe państwowe pieniądze na rozbudowę pogotowia, zastanówmy się. Jego naczelnym zadaniem jest właśnie dobra służba ludziom, trzeba je wydać najrozsądniej z największym pożytkiem, aby w przyszłości inwestycja nie była oceniona, jako chybiona.

EDWARD BRYL

PAWEŁ TOMASZEWSKI

# W puszczy szkoła

W sobotę, pierwszego września mała Basia Mądrawska pojechała do szkoły z mamą, komarkiem. W poniedziałek i następne dni — już normalnie, budą, czyli przyczepą typu „Osinobus" ciągniętą przez traktor. Pieszo nie dałaby rady — 5 kilometrów leśną, wyboistą drogą...

Traktor wyrusza z Piłki za kwadrans siódma i najpierw jedzie do Kwiejc Nowych, potem — do Zieleńca, a nawet jeszcze dalej — do Dębowca, skąd zabiera w sumie 34 dzieci. Około ósmej jest z nimi z powrotem w Piłce, ale lekcje nie zaczynają się, bo trzeba jeszcze przywieźć i te 12 z Marylina. Jednym kursem załatwić tego się nie da, bo to w zupełnie innym kierunku, tyle że już trochę bliżej. Po południu buda pokonuje tę samą drogę co rano, jednak w odwrotnej kolejności. I tak każdego dnia, pięć razy w tygodniu...

Buda jest szkolna, traktor należy do SKR w Drawsku. Za korzystanie z niego szkoła gminna w Piłce płaci miesięcznie prawie sto tysięcy złotych. Można by te pieniądze przeznaczyć pewno na inne cele, ale szkoła nie ma wyjścia: dzieci z głębi puszczy trzeba dowieźć jakoś na lekcje. Nie będą przecież maszerowały same codziennie dziesięć i więcej kilometrów przez leśne pustkowia, często w deszcz, śnieg, zawieruchę... A komunikacji w puszczy nie ma żadnej.

Sto tysięcy to niezły kawałek grosza. Dawniej było taniej, ale i tak bardzo drogo, więc szkoła chciała trochę zaoszczędzić. Dwa lata temu zaproponowała, żeby dzieci z Kwiejc Nowych same dochodziły do Zieleńca i dopiero tam wsiadały do budy. Na skróty, ścieżką obok jeziora miałyby niecały kilometr, a drogą traktor musi robić trzy, niepotrzebnie spala ropę. Ale mieszkańcy Kwiejc nie chcieli się na to zgodzić i nie było sposobu, żeby ich przekonać. Kiedy sprawa stanęła zaś wreszcie na ostrzu noża, po prostu przestali posyłać dzieci do Piłki i w końcu szkoła musiała ustąpić. Zostało po staremu.

Chociaż nie, po staremu było tak, że szkoła znajdowała się również w Zieleńcu (Basia Mądrawska miałaby do niej około półtora kilometra), typowa wiejska szkółka, gdzie w jednej izbie uczą się jednocześnie dzieci z różnych klas. Dopiero potem, jak przyszła reforma, cała okolica zaczęła uczyć się w Piłce. Warunki tam dużo lepsze, więcej dzieci, więcej nauczycieli, a i problemów... Nie, chyba jednak wcale nie mniej, gdyż wciąż pojawiają się nowe.

* * *

Basia Mądrawska ma siedem lat i w tym roku poszła do pierwszej klasy. Cały ubiegły jeździła budą do zerówki, więc kontakt ze szkołą już miała, ale dopiero teraz zacznie się prawdziwa nauka. Nie wiadomo jednak, czy Basia da sobie w szkole radę. I szkoła, i rodzice dziewczynki mają poważne, uzasadnione obawy, czemu trudno się dziwić, skoro Basia, uczennica klasy pierwszej mówi: „Maa, kopciułam lowel chatom", czy „Sku, dej fleba gzikiem". Przy czym mówi tak tylko w domu, bo w szkole, przez całą zerówkę nie odezwała się ani jednym słowem. Zacięła się w sobie i już.

Matka jeździła z Basią do lekarzy, teraz chce się wybrać do psychologa, bo coś z tym Basi mówieniem trzeba przecież zrobić. Ale czy psycholog będzie jej w stanie pomóc? Rzecz w tym, że dziewczynka nie jest wcale nienormalna, czy opóźniona w rozwoju. Po prostu na co dzień, oprócz młodszego braciszka Adasia, nie ma kontaktu z innymi dziećmi, a i dorosłych nie widuje zbyt wielu. Osada, w której mieszka, to w rzeczywistości jedno jedyne gospodarstwo, dawna leśniczówka w samym środku puszczy. W dodatku rodzice, zajęci pracą w polu, lesie i domu, jak to często na wsi, nie poświęcali edukacji dzieci zbyt dużo czasu i uwagi. Sami zresztą mówią bardzo niepoprawnie i niewyraźnie, a i z nauką mieli zawsze kłopoty. Ledwo skończyli podstawówkę. Więc choć może nawet chcieliby, jak mogą teraz pomóc Basi? Oczekują, że ktoś ich w tym wyręczy — może psycholog? Naprawdę, trudna i przykra sprawa...

Co gorsza, w swojej klasie Basia nie jest, niestety, wyjątkiem. Na 19 dzieci kilka dziewczynek i chłopców powinno właściwie powtarzać zerówkę. Szkoła doskonale zdaje sobie z tego sprawę, ale co może zrobić? Chyba tylko przymknąć oko, mając nadzieję, że z czasem będzie lepiej. No i z konieczności przymyka, bo to szkołę rozliczają ze stanu oświaty i wychowania w puszczy. Wszyscy mówią, że to szkoła jest odpowiedzialna. Rodzice — prawie nigdy. Więc i oni chętnie pokazują palcem na szkołę.

W puszczy ludziom nie zależy tak bardzo na wykształceniu, jak w mieście. Dlaczego by zresztą miało zależeć? Do pracy w polu — mówią — szkoła nie jest potrzebna. Dawniej czytać i pisać nie umieli a jakoś żyli, to i teraz... Biur ani fabryk tu nie ma, a jak młody pójdzie robić do boru, to i tak lepiej zarobi od każdego urzędnika, bo i trzydzieści nieraz na miesiąc weźmie. Więc czy warto tyle się uczyć. Czy warto godzinami siedzieć w książkach i tylko psuć sobie oczy?

Kiedyś jeden z uczniów powiedział wprost nauczycielce historii, że on zadanej lektury nie przeczyta.

— A dlaczego?

— Bo tam są same pierdoły.

— Kto ci tak powiedział?

— Dziadek.

— A dziadek czytał tę książkę?

— A po co miał czytać, proszę pani, jeśli tam są same pierdoły?

Puszcza i szkoła to jakby dwa różne światy. Przenikają się wzajemnie, ale i są też przeciwko sobie. Nie, żeby tak otwarcie i na co dzień, kiedy jednak pojawiają się problemy lub szkoła chce czegoś nowego... Tak było z dowożeniem dzieci w Kwiejcach, tak było i z przedszkolem.

Piłka już od dawna potrzebowała przedszkola. Oczywiście prawie wszyscy byli za, ale gdy przychodziło do konkretów, zdania coraz bardziej były podzielone. Przede wszystkim brakowało odpowiedniego budynku. To znaczy był taki, na górce, ale puszcza nie chciała widzieć w nim przedszkola. Nazywano go szumnie ośrodkiem zdrowia i rzeczywiście, kiedyś przyjmował w nim nawet lekarz — jednego dnia w tygodniu, od 1981 roku nikt jednak lekarza w nim już nie widział. Ośrodek zdewastowano i rozgrabiono tak, że w miejscu podłóg wyrosły zielska na metr wysokie. Wtedy szkoła zaproponowała, żeby w dawnym ośrodku urządzić przedszkole, zaś lekarz żeby przyjmował w domu, gdzie mieszka jej dyrektor. Władze gminne zaakceptowały propozycję, znalazły się środki na zrobienie remontu, ale puszcza wolała — jak zwykle — po staremu.

Ludzie mówili, że budynek trzeba, rzecz jasna, wyremontować, po co jednak zmieniać to, co było? Przedszkole można umieścić po prostu w szkole, w korytarzu, a lekarz niech nadal przyjeżdża na górkę, bo w domu dyrektora to oni leczyć się nie będą. Tym razem szkoła postawiła w końcu na swoim, no i ludzie jakoś się do nowego przyzwyczaili. Ale ile było gadania...

Teraz w Piłce przyjmuje dwóch lekarzy. Gabinety są w domu, gdzie mieszka dyrektor szkoły, ale przecież nie w jego mieszkaniu. Wchodzi się z drugiej strony. Jest też wreszcie przedszkole. Mieści trzy sale dla dzieci, kuchnię, sanitariaty, a także i dwa nauczycielskie mieszkania, co dla szkoły nie było bez znaczenia. Do przedszkola przyjęto już nawet 27 dzieci, tyle że tylko tych starszych, bo młodszymi nie ma się jeszcze kto zająć. Zatrudnieni są bowiem: sprzątaczka, kucharka i... dyrektor przedszkola. Resztę kadry trzeba dopiero skompletować, a to w puszczy nie jest takie proste.

* * *

Dawniej szkoła podstawowa w Piłce mieściła się w trzech starych budynkach, w trzech różnych końcach wsi. Od 1972 roku, gdy ukończono budowę nowego, choć niezbyt funkcjonalnego — jak tu się mówi — pawilonu, już tylko w dwóch i to na szczęście ze sobą sąsiadujących. Pod okiem 9 nauczycieli uczy się w nich obecnie 121 dzieci.

Dyrektor, Kazimierz Chalasz, uważa, że nie ma powodów do narzekań — szkoła funkcjonuje normalnie, chociaż... oczywiście mogłoby być znacznie lepiej. Nauczyciel a nauczyciel, to jednak przecież nie zawsze to samo.

Z młodzieżą w mieście pracuje się lepiej. Jest bardziej lotna, chłonna, wyrobiona. Ale tym bardziej na wsi nie powinno brakować pedagogów z dyplomem i doświadczeniem. Jest akurat odwrotnie: w dużych miastach absolwenci wyższych uczelni bezskutecznie poszukują pracy w szkolnictwie, on zaś musi zatrudniać... dziewczyny po ogólniaku. Ma teraz dwie takie. Obie uczą matematyki, a jednocześnie dokształcają się na rocznym kursie nauczycielskim w Bydgoszczy.

Naturalnie dyrektor Chalasz bez większego trudu znalazłby pewno nauczycielki po studiach, bo — jako się rzekło — szukających pracy w zawodzie nie brakuje. Wie jednak dobrze, że nikt taki do Piłki nie przyjdzie, dopóki szkoła oprócz etatu, nie da mu również mieszkania. A mieszkań w Piłce, niestety, nie ma i prawdopodobnie nie będzie. Póki co, uczą więc tacy nauczyciele, którzy są pod ręką, nawet jeśli nie mają wymaganych kwalifikacji. Po prostu szkoła nie ma innego wyjścia. I tak dwie nauczycielki muszą codziennie dojeżdżać z Pęckowa (5 kilometrów) i Drawskiego Młyna (9 kilometrów). Do niedawna nie było z tym większego kłopotu — wsiadały w autobus i jechały jak w mieście, jak z Teofilowa na Dąbrowę. Ale akurat od pierwszego września PKS zawiesił kursy na trasie Krzyż — Piłka i teraz wieś jest praktycznie odcięta od świata.

Z tymi autobusami do puszczy to szykowało się już od paru ładnych lat. PKS od dawna groził wycofaniem swego taboru ze względu na fatalny stan drogi Drawski Młyn — Pęckowo — Piłka, Urząd Gminy w Drawsku obiecywał zająć się sprawą i... było tak jak było. Jedyną drogą bitą łączącą Piłkę ze światem nie miał się kto zająć.

Decyzja PKS wywołała w puszczy wielkie oburzenie. Ludzie klęli jak szewcy. Pytali ze złością, jak można było ją podjąć? Kto do tego dopuścił? Kto za to odpowiada? Skandal! Po prostu — skandal!

W Piłce jest jeden jedyny sklep — spożywczo-przemysłowy, bar „Sarenka" i poczta. Najbliższa apteka — w Drawsku, 8 kilometrów. Jak kupić lekarstwa, gdy ktoś zachoruje, jeśli teraz nie ma już żadnej komunikacji? Jak dostać się do najbliższej stacji kolejowej, do Drawskiego Młyna? Nie wszyscy przecież mają motocykle, motorowery czy — tym bardziej — samochody. Zresztą komu dziś wystarczy benzyny z kartek — zwłaszcza w puszczy, gdzie odległości duże, a po każdy niemal drobiazg jeździć trzeba do miasta? Nawet ołówka czy zeszytu dla dziecka tu często nie kupi. Dobrze przynajmniej, że dyrektor Chalasz, nauczony doświadczeniem, sam kupił zeszyty i bloki rysunkowe na rachunek spółdzielni uczniowskiej, przywiózł swoją prywatną „warszawą" do szkoły i rozdzielił między uczniów. No, ale już po każdą książkę trzeba co najmniej do Krzyża, a czym tu teraz jechać, jak pekaes skasowali?

* * *

To puste miejsce na mapie Polski w widłach Warty i Noteci to właśnie Puszcza Notecka. Sto kilometrów długości, 20 do 40 szerokości i najmniejsza liczba ludzi w kraju przypadająca na jeden kilometr kwadratowy. Las, las i jeszcze raz — las.

Dawniej ten las w wielu miejscach tętnił życiem. Po wojnie coraz bardziej się wyludnia. Bronice, Kobusz, Smolarnia — to nazwy wsi, które dziś już nie istnieją.

Leżąca w głębi puszczy wieś Piłka to najdalsze w całej okolicy miejsce, gdzie można było dojechać autobusem po, choć bardzo dziurawym, to jednak — asfalcie. Dalej, w kierunku Wronek i Sierakowa wiodą już tylko drogi gruntowe. Samochód jakoś nawet przebije się przez piaski, ale trzeba dobrze znać puszczę, aby nie zabłądzić w tym pustkowiu. Zdarzało się nieraz, że wezwana do ciężko chorego karetka pogotowia ratunkowego z Krzyża jeździła godzinami, szukając nocą zagubionego w leśnych ostępach domostwa.

Do 1939 roku przez puszczę biegła granica państwowa z Rzeszą, a wśród mieszkańców, jak to w pasie przygranicznym, nie brakowało też Niemców. Po wojnie cała puszcza znów stała się polska i tylko polski rozbrzmiewa w niej znowu język. Ale gdy dobrze wsłuchać się w tę puszczańską polszczyznę, nietrudno zauważyć, że różni się ona znacznie od dialektu wielkopolskiego i bliższa jest raczej mowie Kurpiów czy Mazurów. Przypadek? Nie, kryje się za tym pomysł właściciela dóbr wieleńskich Pawła Sapiehy, który w XVIII wieku sprowadził na te tereny właśnie Mazurów, ci zaś przez całe dziesięciolecia bronili się przed asymilacją, przed naporem Niemców, ale i Wielkopolan. Dlatego puszcza pozostała inna, zamknięta jakby w sobie i ciągle nieufna, nawet dziś, choć coraz więcej w niej ludności napływowej: z Kaszub, Poznania, Śląska...

Kiedy 9 lat temu Kazimierz Chalasz pierwszy raz znalazł się w Piłce, nie przyjmowano go tu z otwartymi ramionami. Miły człowiek, a jakże, ale — nie swój przecież, obcy. Z początku czuł to na każdym kroku. Może dlatego nie wrósł cały w puszczę, nie przesiąkł nią do końca, choć poznał dobrze i polubił, choć zamierza tu już zostać.

Urodził się w Grodzisku Wielkopolskim, tam zdobył wykształcenie i przez 12 lat uczył w tamtejszej szkole. Nie mając widoku na samodzielne mieszkanie, przeniósł się potem na dwa lata do Konina, gdzie obiecywano mu własny kąt. Był dyspozytorem w elektrowni, zaopatrzeniowcem, spał w hotelu robotniczym, a do żony i dzieci jeździł tylko na niedzielę. I wtedy właśnie dowiedział się, że we wsi Piłka zwalnia się stanowisko dyrektora szkoły, że będzie też mieszkanie — duże, ładne, z ogrodem... Nie czekali z żoną ani chwili. Ciągnęło go do ukochanego zawodu. Poza tym propozycja była tak kusząca... Zaczął więc znów uczyć dzieci fizyki, ukończył wreszcie zaoczne studia w Poznaniu, żona, Danuta, jak zwykle wprowadzała dzieci w historię. Teraz pracują w szkole we trójkę, gdyż starszy syn Chalaszów, Bernard, poszedł w ślady rodziców, a młodszy, Krzysztof, też marzy o zawodzie nauczycielskim. Na razie jest uczniem drugiej klasy liceum ogólnokształcącego w Krzyżu, gra w szkolnej orkiestrze i mówi, że w przyszłości zajmie się nauczaniem muzyki, bo w Piłce nauczyciela tego przedmiotu nie było i nadal nie ma, więc na pewno się przyda. Może kiedyś obejmie stanowisko po ojcu? W każdym razie bardzo mu się tu, w puszczy podoba.

* * *

Najwięcej można dowiedzieć się w barze, u pani Bednarzowej. Dobrze zna ludzi z puszczy i ich problemy. U niej przecież zalewają robaka, kłócą się, wypłakują swe żale. Niektórzy jak przyjdą w niedzielę zaraz po sumie, to piją aż do samej nocy, a potem wsiadają na swe rącze wueski, komary, romety i rowery i gnają do domu na złamanie karku, co się już paru takim, niestety, zdarzyło.

W pierwszych dniach września 1984 roku głównym tematem barowych rozmów jest oczywiście autobus, który do Piłki już nie przyjeżdża. Ludzie mają rację, mówi pani Bednarzowa, że są źli na pekaes i na naczelnika gminy, bo sprawę drogi wałkuje się już całe lata, ale gdyby każdy nie patrzył tylko na swoje...

Jest kilka minut po trzynastej. Do baru wchodzi gromadka dzieci z tornistrami — znudzonych, zasmarkanych. Kupują jakieś ciastka, oranżadę. Niedawno skończyli ostatnią lekcję i do odjazdu budy, która powiezie ich do Kwiejc Nowych, Zieleńca, Dębowca, zostało jeszcze sporo czasu. Teoretycznie powinny być w tym czasie w świetlicy, ale świetlica nieczynna, bo dyrektor (od pierwszego września — inspektor) Zbiorczej Szkoły Gminnej w Drawskim Młynie, któremu podlega między innymi placówka w Piłce, zwolnił właśnie z pracy świetlicową ze względu na brak przygotowania pedagogicznego.

To prawda, mówi pani Bednarzowa, że wykształcenia to ona nie miała, ale dzieci ją lubiły i w końcu lepsza taka świetlicowa jak żadna, prawa? Co się mają dzieciaki wałęsać po wsi bez opieki. A niech się któremu co stanie... Ale słyszałam, że znowu mają ją przyjąć, jak się zobowiąże, że ukończy specjalny kurs. Mówię panu, tu się dzieje...

# Wirydarz poetycki

*Barbara Blanek*

## Gwiazda

Nocą kołysze się gwiazda,
zatopiona błyszczy na dnie słonego morza.
ryby omijają ją z daleka
i odpoczywają porażone blaskiem
w błotnistym, ciemnym mule snu.
Ryby przepływają jak moje myśli
i czekają aż przypływ zabierze gwiazdę.
Rano pod oknem nieruchome sprzęty,
wśród zgiełku zegarów
słyszę pulsowanie krwi.

## Przebudzenie

Ziemia mknie na oślep
Otwierają się wrota
przestworzy.
Za bramą
ptaki drapieżne czekają
pod cieniem chłodnych gwiazd.
Ściętych mrozem
w długie sople.
Okrwawione słońce wynurza się powoli
z mgły.
Na ziemi oceany występują z brzegów
i zatapiają mały stateczek
w którym Noe wyruszył
na spotkanie swego losu.

*Zygmunt Marczewski*

## Tędy i w tamtą stronę

Tak odpoczywam biegnąc nieustannie
gdzie kres trwa w rozświetleniu —

gdzie malin dojrzałe owoce
w same usta nieba pracowita ręka
podaje mierząc słodycz sprawiedliwie
pośród tych prawych i tych co w niebycie
ustanawiają prawo interekonomii
i rozsypują w papierowe tytki
łzy jak kryształy z nie zamkniętych oczu
tych co przepadli w epoce rozboju.

Tak klnę pełzając poprzez ziemię ojców
w poszukiwaniu strawy i dobroci
babrząc się w bagnie moich współrodaków
i mimowiednie kaleczę swój rozum

o sercu wspomnieć wstyd mi przed bliźnimi
krzykną romantyk albo schizofrenik
więc kładę serce w przydrożnej kapliczce
w nadziei żyjąc że komuś się przyda

i tak pracuje ażeby coś ze mnie
wyciekło strużką na zgorzałą drogę.
Ci którzy za mną będą iść w tę stronę
po śladzie potu po kroplach nadziei
pokrzepią myśli że przed nimi byli —
i tędy przeszli i tędy błądzili.

## Samotność niepełna

Zabawne to być samotnym
jakby złożonym między stronicami gazet
pachnących jeszcze świeżym drukiem

Błąkać się między kosmosem a chodnikiem
poszukiwać wciąż odnajdując to samo
gubić każdy dzień jak groszaki
strzec kartek mięsnych i na papierosy
wspinać się tylko do tramwaju

Zabawne to o śmierci myśleć o weselu marzyć
jak o rosole z dużymi okami
strzepywać popiół i odganiać muchy
i wszystkojednym żyć aż coś się zdarzy —

A gdyby stąpnąć na płytkę jesieni
jak na posadzkę z chińskiej porcelany
albo wystrugać najprostszą przyczynę
siusiając pod drzwi fałszywej przyjaźni
z miłości ołtarz zbudować na strychu
by wśród pajęczyn przetrwał muzealny

I rozgrzać myśli patrząc w cudze okna
i widzieć dzianie się: pieszczoty kwiatów
wspartych o siebie główkami, taniec firanek
i bliskie krzątanie, aż nierzeczywiste —

Potem czyjeś oczy, kobiece, kasztanie —
sfrunęły w śmiechu ciśniętym kryształem

Zabawne tak być, w powszechnym letargu
iskrą się rodzić między zapałkami
ułożonymi główkami do przodu —

# Pochwała mitu

**TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI**

„Autopsja czyli dziennik kryzysu" Jacka Krakowskiego przypomina w pierwszych zdaniach aforyzm Nietzschego: piękno jest ratunkiem przed prawdą. — A co jest ratunkiem przed rzeczywistością? — pyta narrator. I usiłuje znaleźć odpowiedź na owo fascynujące pytanie, prowadząc luźne notatki na marginesie rzeczywistości lat 1980—1982. Jednoznacznie z nich wynika, że na tak sformułowany problem nie można odpowiedzieć wprost. Nie pomoże tu Wittgenstein i Miłosz, nie pomogą odniesienia do życia codziennego w starożytnym Rzymie, w Babilonii i w Asyrii. Nie pomaga alkohol, mocna herbata, nawet — traktowany jako używka — seks.

Narrator prawi uczenie: — „Rzeczywistość jest zanurzona w bycie człowieka poprzez jej rozumienie, jakie by ono nie było, a nie odwrotnie, bowiem zanurzenie człowieka w jakimkolwiek otoczeniu, bez zrozumienia przez niego tego otoczenia, nie stanowi o zrozumieniu sytuacji, w jakiej się znalazł"... Co powiedziawszy zanurza się — jak nurek — w dostępnym mu otoczeniu w celach nade wszystko poznawczych. Notuje więc niemal wszystko, co zapisać się daje: od szczegółowej kroniki swego na poły z rozmysłu, na poły zaś z konieczności po cygańsku wiedzionego żywota, poprzez wyrywkowe studium sytuacji gospodarczo-społeczno-politycznej aż po wyrafinowane intelektualnie polemiki z „kulturalnymi" kulturystami i sztukmistrzami. W rezultacie mamy do czynienia z bardzo zręczną i udaną imitacją pamiętnika, którego zamierzony (bo mający przecież w jakiejś mierze naśladować rzeczywistość) chaos, wzmożony równie nieuporządkowanym i przez to właśnie ciekawym) notatnikiem przeczytanych, przetrawionych czy tylko przekartkowanych lektur ma do spełnienia całkiem istotne zadanie: dać złudzenie refleksji wszechogarniającej. I na ogół to się udaje.

Założywszy, iż w literaturze istotny jest wyłącznie fakt literacki, czyli inaczej mówiąc — mit, nie zaś antynomia prawdy i kłamstwa, narrator konsekwentnie zmierza do jednego: chce za wszelką cenę stworzyć pastisz rzeczywistości. Nie zależy mu na kompromitacji rzeczywistości, bo to zbyt łatwe i odbywa się niejako mimochodem, jako że rzeczywistość przedstawiona w powieści Jacka Krakowskiego kompromituje się po prostu samoczynnie.

Tak więc w trakcie lektury nasuwa się myśl, że literatura współczesna mogłaby być nieledwie samograjem: wystarczy sięgnąć po pióro czy maszynę do pisania... Nasuwa się też podejrzenie, czy autotematyczne refleksje nie są zwykłą kokieterią? Jak na przykład ta: „Często zastanawiałem się, jak powinna wyglądać współczesna powieść o współczesności, aby zadowolić krytyków, czytelników i piszącego. Czy jest ona w ogóle możliwa, czy przystająca do rzeczywistości w takiej mierze, w jakiej ona — rzeczywistość — skłania pisarza do zajmowania się tym tematem... I znowu pewno nie udało mi się odpowiedzieć na lamenty i narzekania na prozę współczesną: że taka, że owaka, że nic nie mówi, że omija, że nie potrafi, że nie chce podejmować, że ponura, że płaska że... I nie wiem teraz, czy instrument niestrojny, czy się muzyk myli... A może w ogóle jest to muzyka przyszłości, od której (na razie) puchną nasze uszy?" Rzecz w tym wszakże, że narrator „Autopsji czyli dziennika kryzysu" nie postępuje inaczej niż większość tych, którzy przebojem usiłują wkroczyć do literatury, poprzez aktualne realia pragnie dać swoistą wersję sporu o uniwersalia. Zwierzenia intymne i plotki, anegdoty i dowcipy sytuacyjne, jadłospisy i cenniki, wszechpotężna tandeta i przemożna potrzeba głębokich przeżyć, kultura masowa i tęsknota za wyrafinowaniem elity, komiksy i apokalipsa. I tak dalej, i tak dalej. Przeciwstawne realia, krańcowe sytuacje. Trochę marzenia, trochę metafizyki. I niczym nie zastąpiona potrzeba legendy.

Przypomnienie legendy starej jak świat: „Mefisto, Faust i Helena to jedna osoba — postać bezsilnie działająca przeciwko sobie. Cierpienie człowieka jest mitem, któremu dajemy wiarę przed wytłumaczeniem. Wystarczy siła legendy, aby pokonane zostały wszystkie pewniki tej rzeczywistości".

Nie można narratorowi odmówić racji: siła legendy, siła mitu — to po prostu siła literatury. Realia grają zwykle rolę dalszoplanową. Bo bez mitu nie ma literatury. Bez mitu pastisz rzeczywistości nie może się udać.

Mądrość narratora „Autopsji czyli dziennika kryzysu" wyraża się nie trafnością spostrzeżeń codziennych realiów — zasadza się ona na wciąż ponawianych próbach znalezienia w śródziemnomorskiej skarbnicy odpowiedniego do danej sytuacji mitu. Przeczytajmy tę niezłą powieść.

Jacek Krakowski: „Autopsja czyli dziennik kryzysu", Wydawnictwo Łódzkie. Łódź 1984, str. 143, nakład 19 650 + 350 egz., cena zł 50.—

*Rys. Janusz Szymański-Glanc*

**LIST Z WYBRZEŻA**

# Misterium narodowe

Przedstawienie to było niespodzianką dla wielu widzów, uczęszczających do Teatru Muzycznego w Gdyni. Zwykle przecież wystawiano tam operetki, musicale i komedie muzyczne, tak, jak w większości tego typu teatrów w kraju. Tymczasem Jerzy Gruza postanowił złamać tę zasadę, wprowadzając na afisz gdyńskiego teatru narodową kantatę Stanisława Moniuszki pt. „Widma", napisaną do tekstu II części „Dziadów" Adama Mickiewicza.

Było to posunięcie nie tylko ambitne, ale także bardzo ryzykowne. „Widma" przecież stawiają przed wykonawcami wysokie wymagania wokalne. Z drugiej strony pomysł, by na podstawie „Widm" Moniuszki stworzyć spektakl teatralny wydawał się także ryzykowny. Misterium Moniuszki — Mickiewicza, dotąd prezentowano najczęściej na estradzie, uznając, że utwór ten stwarza nikłe możliwości teatralizacji.

W Gdyni okazało się, że niesłuszne były te przekonania. Ryszard Peryt, autor inscenizacji „Widm" w Teatrze Muzycznym, potrafił stworzyć widowisko nie tylko wyraziste w swoim kształcie plastycznym, ale również sugestywne artystycznie.

Nie wszystkie pomysły reżyserskie budzą uznanie. Nie bardzo rozumiem, dlaczego spektakl rozpoczyna młody człowiek, który wjeżdża na scenę na rowerze, by naśladując akcent wileński, wyrecytować fragment wstępu Mickiewicza do „Dziadów". Później, na szczęście, Ryszard Peryt buduje przekonujące obrazy sceniczne.

Wielka, niemal pusta scena. Ukazuje się na niej blisko pięćdziesięcioosobowa grupa ludzi, którzy prowadzeni przez Guślarza (gościnnie gra tę rolę solista Opery Bałtyckiej Kazimierz Sergiel), przychodzą, by wziąć udział w obrzędzie „Dziadów". I właśnie ta gromada staje się głównym bohaterem przedstawienia. Dawno nie widziałem w wybrzeżowych teatrach, takiej dyscypliny zawodowej, wynikającej z autentycznego skupienia.

Trzeba podkreślić, że ów chór w „Widmach" grają głównie słuchacze Studium Wokalno-Aktorskiego przy Teatrze Muzycznym. Oglądamy więc adeptów sztuki scenicznej, którzy dobrze wprowadzili się do zawodu. Nie jest to tylko moja opinia — podczas ostatnich Opolskich Konfrontacji Teatralnych młody gdyński zespół otrzymał specjalną nagrodę jury. Jest to dobry prognostyk na przyszłość. Wiemy przecież, że wybitne przedstawienia powstawały tam, gdzie właśnie drugi plan był nasycony treścią aktorską. Tak było w przedstawieniach Konrada Swinarskiego w Starym Teatrze w Krakowie, podobnie rzecz się miała w najlepszych latach Teatru Wybrzeże.

Wśród solistów zdecydowanie wyróżnia się Kazimierz Sergiel, który prezentuje nie tylko wysokie umiejętności wokalne, lecz także tworzy wyrazistą postać sceniczną, co znowu nie jest tak częste u śpiewaków. Istotne, że Sergiel nie działa w próżni, gdyż inni wykonawcy starają się w rzetelny sposób wykonywać swoje zadania sceniczne. I czynią to z powodzeniem.

Ważny udział w sukcesie gdyńskich „Widm" ma choreografia Kazimierza Wrzoska, doskonale znanego łodzianom z występów w Teatrze Wielkim. Wrzosek zbudował pomysłowe etiudy taneczne, wykorzystując klasyczne elementy baletowe. Te upiorne tańce ptaków dają przedstawieniu nastrój i jednocześnie budują jego dramaturgię. Scenografię przygotował Andrzej Sadowski, który, jak mało kto, potrafi operować światłem na scenie. Dzięki temu poszczególne obrazy, zakomponowane przez Peryta, zostały właściwie wyeksponowane.

Zachęcam naszych czytelników, by będąc w Trójmieście wybrali się do Teatru Dramatycznego w Gdyni. Tam, za sprawą Jerzego Gruzy, powstaje nowy model teatru muzycznego, który wykorzystując dawne doświadczenia i korzystając ze współczesnego repertuaru, pragnie ująć w ramy obrazu scenicznego nasz czas z wszystkimi jego przemianami. Ów model teatru został wyprowadzony z naszej tradycji kulturalnej. Ma więc swoje korzenie.

Gruza rozpoczął dopiero swoją przygodę dyrektorską w Gdyni. Teraz już jednak widać, że w jego osobie wybrzeżowa kultura zyskała godnego spadkobiercę dzieła Danuty Baduszkowej, która przez dwadzieścia lat prowadziła Teatr Muzyczny.

**WIESŁAW NOWICKI**

# Z półki recenzenta

**TYRAN**

Ta opowieść zyska zapewne powodzenie u czytelników, bowiem jej akcja rozgrywa się za czasów tyrana Lucjusza Korneliusza Sulli. A więc jest tu wszystko: i wielka miłość, i krwawe rozprawy Sulli z przeciwnikami politycznymi, i łamanie prawa, deptanie obyczajów, i cały klimat tamtych odległych czasów.

A wszystko dzieje się zaledwie w ciągu trzech lat, od 81 do 79 r. p.n.e. i kończy się wejściem na scenę polityczną najgłośniejszego władcy Gajusza Juliusza Cezara.

Władysław Strumski: Tyran. Wyd. Lub. 1984. Str. 286. Cena 135 zł.

**OBRONA KĘPY OKSYWSKIEJ**

Kolejna pozycja z serii „Biblioteki pamięci pokoleń" to „Obrona Kępy Oksywskiej". Wiemy z naszej najnowszej historii, że właśnie tu trwały najzaciętsze i najkrwawsze wydarzenia, jakie rozegrały się na polskim Wybrzeżu we wrześniu 1939 roku. Broniło tego skrawka ziemi 7.500 żołnierzy, marynarzy i robotników odpierając ataki wielotysięcznej armii lądowej, marynarki i lotnictwa hitlerowskich Niemiec. I co najistotniejsze — nie kapitulowali, a szli do niewoli jedynie wówczas, kiedy skończyły się pociski i granaty.

Książka Edmunda Kosiarza jest świetnie udokumentowanym zapisem historycznym, przybliżającym nam, uwikłanym w sprawy codzienności, tamte bohaterskie i tragiczne dni.

Edmund Kosiarz. Obrona Kępy Oksywskiej. KiW 1984. Str. 258. Cena 100 zł.

**WINNICA**

Macedończyk Blaże Koneski jest pierwszym Jugosłowianinem tworzącym w swoim etnicznym języku. Prezentowany tom, wydany w „Bibliotece Jugosłowiańskiej" przez Wydawnictwo Łódzkie zawiera krótkie opowiadania oraz wiersze powstałe na gruncie przekazów i tradycji ludowych, a przecież są one nowoczesne, wzbogacone doświadczeniami kultury ogólnoeuropejskiej i głębokimi przemyśleniami samego autora.

Przekład Bożeny i Stanisława Gogolewskich.

Blaże Koneski: Winnica. Wyd. Łódzkie 1984, Str. 216. Cena 80 zł.

**ŻYCIE NA MISSISIPI**

Marka Twaina nie ma potrzeby przedstawiać, ale o jego książce „Życie na Missisipi" należy parę słów powiedzieć naszym Czytelnikom. Otóż jest to opowieść napisana z autopsji, bowiem Twain był na tej rzece pomocnikiem pilota i przez kilka lat obserwował życie marynarzy, które później opisał z właściwym sobie humorem i kpiną. Cała książka roi się od niezwykłych ludzi, od dziwnych przygód, od zdarzeń śmiesznych i zaskakujących.

Przekład Zofii Siwickiej.

Mark Twain: Życie na Missisipi. Czyt. 1984. Str. 342. Cena 200 zł.

**POWIEŚĆ ALBAŃSKA**

Właściwie jest to wydarzenie, gdyż od dawna nie spotykaliśmy na naszym rynku księgarskim powieści albańskiej. I oto mamy „Generała martwej armii", powieść napisaną przez Ismaila Kadaré, która to powieść zdobyła u nas, na długo przed ukazaniem się drukiem, spory rozgłos.

Treścią książki są poszukiwania przez włoskiego generała prochów swoich podwładnych, poległych w bitwach podczas ostatniej wojny i przekazanie tych prochów ich rodzinom. Ale jest to pretekst, gdyż chodzi właściwie o pokazanie Albanii dzisiejszej, ludzi, obyczajów i tradycji towarzyszącej ich życiu.

Przekład Marii i Cezarego Gawrysiów.

Ismail Kadaré: Generał martwej armii. PIW 1984. Str. 234. Cena 150 zł.

**OPISANIE PRZYGODY**

Na jachcie „Pogoria", który wywołał na początku lat osiemdziesiątych tyle kontrowersji i sensacyjnych plotek, Zdzisław Szczepaniak odbył rejs na Antarktydę, dotarł do Ameryki Południowej. A wszystko co widział i przeżył opisał z talentem i wielką wrażliwością podróżnika w książce wydanej przez łódzki oddział Krajowej Agencji Wydawniczej, a noszącej tytuł „Przygodzie na imię „Pogoria".

Walorem tej interesującej książki są fotografie wykonane przez autora, a także ciekawa szata graficzna.

Zdzisław Szczepaniak: Przygodzie na imię „Pogoria". KAW Oddz. w Łodzi. Str. 256. Cena 80 zł.

## 1 — pewnego wieczoru...

WASYL KOCZNOW

# Po zaproszeniu na jarzębiak

W ubiegłym roku w nr 46 „Odgłosów" opublikowano mój reportaż pt. „Zapraszam na jarzębiak". W redakcji zostawiłem swój iwanowski adres. Czytelnik może sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdy pewnego wieczoru prawie po roku w moim przedpokoju rozległ się dzwonek, a za drzwiami usłyszałem polską mowę — głosy kobiece i męskie. Po pierwszym dzwonku wstałem od biurka, dość rozkojarzony i machinalnie rzuciłem zwykłe: „Obożdite", lecz kiedy usłyszałem polski język gorączkowo krzyknąłem: „Chwileczkę" i pobiegłem otworzyć.

Za progiem stali młodzi ludzie, których od razu na pierwszy rzut oka można było określić jako studentów. „Pewnie rusycyści, przyjechali do naszego uniwersytetu na praktykę językową", — pomyślałem witając się z nimi i już zacząłem wymieniać nazwiska wykładowców łódzkiej rusycystyki prosząc o przekazanie ukłonów, gdy nagle zauważyłem, że moi goście kwitują uśmiechem te słowa. Zaintrygowali mnie jeszcze bardziej.

— My nie z Uniwersytetu, a z Politechniki Łódzkiej. Pracujemy tu na budowie. Jak jechaliśmy do Iwanowa, ktoś z nas przypomniał sobie pana artykuł w „Odgłosach" i stąd nasza wizyta. Pan przecież zapraszał łodzian na jarzębiak?

Byłem głęboko wzruszony. Nie oczekiwałem, że ktokolwiek zada sobie trud odszukania mnie tutaj. Mieszkam na obrzeżu miasta w nowym osiedlu, porównując do Łodzi jest to mniej więcej Widzew — Wschód. Bez przysłowiowej nici Ariadny w pajęczej sieci osiedlowych uliczek, gdzie na każdym rogu czytasz: „ul. Chlebnikowa", znaleźć mój blok nie jest łatwo. Patron mojej ulicy — to nie poeta Chlebnikow, znany w Polsce, lecz generał z czasów wojny domowej, walczący w legendarnej dywizji Czapajewa. Ulica Chlebnikowa pojawiła się już za mojej pamięci. Przyjąłem to nawet trochę mistycznie, jako dowód prześladującego mnie pecha, który zaciera za mną ślad istnienia. Ulice, do których zdążyłem się przyzwyczaić, zmieniły nazwę: w Iwanowie z 8 Południowej na Chlebnikowa, a w Łodzi z Wrześnieńskiej, na której mieszkałem 20 lat, na Powstańców Wielkopolskich. Przez całe życie przekraczam jakieś skrzyżowania i nim zdążę pojąć, że w wyborze kierunku popełniłem błąd już idę nie tam, gdzie trzeba. „Pana życie podobne jest do ulicy, na której pan teraz mieszka", — powiedzieli mi moi łódzcy goście, którzy czytali „Zaproszenie na jarzębiak" i zdążyli co nieco dowiedzieć się o mnie w Iwanowie. Bloki na Chlebnikowa ustawiono jak pionki na szachownicy. Z którejkolwiek strony nie wejdziesz do tej części osiedla, wszędzie na tabliczkach czytasz: „ul. Chlebnikowa". Długie, jak koszary, bloki stoją pod różnym kątem do siebie, a na frontonie każdego tabliczka: „ul. Chlebnikowa", dopiero na ścianie bocznej znaleźć można tablicę z numerem. Żeby nie zabłądzić, trzeba posiadać duży zmysł przestrzenny. Nie daj boże znaleźć się tutaj w nocy, gdy okna są nie oświetlone, a rozłożyste korony drzew wokół domów dodatkowo zagęszczają mrok. A do tego jeszcze te harcujące w ciemności psy. Sam długo przyzwyczajałem się do tej ulicy. Z początku chodziłem do domu drogą okrężną trzymając się prostej arterii prowadzącej na kombinat czesankowy, a dopiero później znalazłem krótszą drogę od przystanku trolejbusowego — na skróty koło kawiarenki „Młodzieżowej" wprost na starą wieżę pożarnicza, zbudowaną w czasach, gdy była tu jeszcze wieś. Teraz znam już ją na pamięć i nawet w nocy wiem, gdzie trzeba przeciąć prostokąt przestrzeni między domami, wyminąć garaże, place zabaw czy śmietniki, by dojść do swojej klatki schodowej. Lecz jak znaleźli mnie studenci Politechniki Łódzkiej, którzy dopiero od paru dni przebywali tutaj — nie wiem. Pod wieczór słońce od razu osiąda za domami i cienie pod drzewami gęstnieją w mrok.

— A jednak tu bardzo długo jest widno — zauważają goście.

— Tak. W czerwcu jeszcze o 11 wieczorem mogę czytać na balkonie i obserwować z góry zachód słońca oraz mrówczą krzątaninę ludzi w ogrodach po drugiej stronie ulicy. (po tamtej stronie ciągnie się drewniany archipelag domków, będący kiedyś podmiejską osadą rzemieślniczą). W czerwcu mamy tu prawie białe noce, to przecież północ.

Czwórka łodzian przyszła zapoznać się ze mną i trochę pokłócić, gdyż nie wszystko w moim reportażu było dla nich do zaakceptowania, choć starali się być obiektywni. Co prawda, obiecanego jarzębiaku już o tej porze nie miałem, a świeży dopiero dojrzewał na leśnych jarzębinach i musiał poczekać na swoją kolej, by utonąć w butelce, ale znalazła się butelka szampana i półlitrówka czystej, którą piliśmy z porzeczkowym sokiem. Posadziłem gości na kanapie, a sam usiadłem naprzeciw, by widzieć wszystkich razem. Sprzątnąłem ze stolika książki i papiery, ustawiłem talerzyki, a zakąskę pomogły przygotować Danuta i Dorota.

Danuta Nisiewicz uporczywie wpatrywała się we mnie, a w oczach miała zdziwienie i gniew, gdy spytała mnie, co spowodowało mój wyjazd z Polski i po co przyjechałem tak daleko „gdzie pieprz nie rośnie" i jak długo można w moim wieku mieszkać w oderwaniu od rodziny, pokonywać trudy samotniczego życia? Czy nie odczuwam strachu przed czasem i przestrzenią? Długo opowiadałem, ale czułem, że tego problemu i „z wódką nie rozbierzesz", jeśli mimo to z taką pasią rozdyskutowali się na mój temat Stanisław Błasiak i Lech Klimczak, których życie moje jakoś bardzo głęboko obeszło.

Postanowiliśmy spotkać się jeszcze raz w Łodzi, gdy przyjadę jesienią do rodziny, a w uczelniach zacznie się nowy rok akademicki. Zaproponowano mi wieczór literacki w klubie studenckim Przyjąłem to zaproszenie z radością.

Tylko Dorota Słota — „Niepogoda" uśmiechała się przez cały wieczór i nie brała udziału w naszym sporze. Dlaczego nazywa się „Niepogoda", jeśli zawsze jest wesoła i uśmiechnięta? Dorota wcale na takie przezwisko nie zasługuje — nigdy się nie chmurzy, jest pogodna nawet w największą niepogodę. Także i tu w Iwanowie, gdy nasza dyskusja przeciągnęła się do północy i musiałem swoich gości wyprowadzać w deszczu z labiryntu ul. Chlebnikowa na postój taksówek.

Mocne wrażenie wywarł na moich łodzianach wspomniany archipelag drewnianych domków widoczny z mojego balkonu — chałupek schowanych za wysokimi drewnianymi płotami, obrośniętych przybudówkami i wielkimi sągami drewna opałowego. Rozłożyste drzewa w przydomowych sadach nie są w stanie przesłonić tego nagromadzenia dachów i daszków. Wszyscy wyrażali chęć obejrzenia takiego domku od wewnątrz, zapoznania się z kimś, kto na co dzień przebywa we wnętrzach z malutkimi oknami, do których zaglądają bujnie rosnące na grządkach kwiaty. Tym kimś okazał się majster z brygady betoniarzy, który zaprosił Stanisława Błasiaka i jego przyjaciół do siebie. Zdziwili się, gdy zobaczyli, że sam budowlaniec mieszka w skromnym drewnianym domku i nie ma zamiaru przenosić się do bloków, choć mu to nieraz proponowano. Dla innych buduje z betonu, sam zaś woli drewno. Żółte, jakby woskowe, ściany izb promieniują ciepłem i światłem. Można się w nich nie bać nawet 40-stopniowych mrozów. Przed zimowymi wichurami chronią wysokie zaspy. Śnieżne zamiecie tańczą po dachach, a w domku cicho, piec dyszy żarem, drewniana podłoga przykryta chodnikami jest ciepła i przyjemnie chodzić po niej boso, powietrze suche przesycone zapachem brzozy i sosny, służącej za opał. Zima taki dom — to jak sanatorium. Łodzianie interesowali się tu wszystkim. Zobaczyli, że taki drewniak wymaga innych mebli niż mieszkania w blokach. Meblościanka byłaby tu nie na miejscu. Po co? Przecież cały dom — to jak wielka szafa z oknami. Wzdłuż ścian wieszaki do ubrań, półki, obrazy, fotografie. Stół, zwykle pośrodku pokoju, pod ścianą łóżka z kilkoma warstwami poduszek. Prawdopodobnie trzeba się nie tylko urodzić w takim drewniaku, ale i wychować w nim, zaakceptować cały jego świat i uwierzyć weń, żeby poczuć się szczęśliwym i nie mieć kompleksu prowincji. Moje mieszkanie na Chlebnikowa urządzone jest tak, jak u nikogo w Iwanowie, a odwiedzający mnie Polacy z ciekawością oglądają, jak mieszka ten iwanowski łodzianin. Mieszkanie przypomina rosyjsko-polskie pogranicze. Na ścianach — stare prawosławne ikony, obok akwarele mojego brata z pejzażami Litwy i jeszcze biały orzeł na amarantowym tle, polski kalendarz ze skarbami Wawelu, portret córki w harcerskim mundurku i łowickie makaty. Książki na półkach polskie i rosyjskie, czasopisma na stoliku też w obu językach. Nawet skromny plakat obwieszczający mój występ w klubie budowlanych uzupełnia to pogranicze, gdyż tytuł prelekcji brzmi: „Związki literackie Rosji i Polski". Miejscowe są tylko rośliny, które lubię hodować, gęste, wysokie jak drzewa.

Chciałem zadzwonić do sąsiadów i przedstawić im swoich gości, a jednocześnie pokazać, jak mieszkają rdzenni iwanowcy, lecz łodzianie uważali, że byłby to nietakt, więc zrezygnowałem.

Trochę ich zadziwiła moja mistyczna wiara, że jestem w tym samym czasie obecny i tu, w Iwanowie i w Łodzi. To oczywiście tylko metafora. Mimo widocznej stabilizacji w Iwanowie i w Łodzi, cały czas jestem właściwie w drodze — tam i z powrotem. Mówi się, że każdy jest kowalem swego losu, lecz niełatwo jest być dobrym kowalem, ja zaś znalazłem się między młotem a kowadłem i mój los — to droga, kawałek papieru i długopis. Zapisuję wrażenia, przemyślenia i na razie jeszcze się tym zajęciem nie znudziłem. Nowe wrażenia wymagają ruchu, obojętnie w jakim kierunku, byle nie siedzieć na jednym miejscu, nie obrastać ślepymi ścianami i tymi samymi ulicami, nie pogrążać się w starości. Jestem jak rzeka — płynę. Ruch — to dobry środek do zrozumienia siebie i świata. Każda rzeka musi mieć brzegi i kąt nachylenia bez nich nie byłoby rzeki, nie byłoby nurtu. Mój „kąt nachylenia" — to Polska, gdzie jest mój dom i rodzina. W rozmowie z każdym człowiekiem staram się określić ten jego „kąt nachylenia". Jaki on jest u moich gości? Wsłuchuję się w ich słowa, staram się zrozumieć ich myśli, ich pasje życiowe, chce wiedzieć, co czytają, ale przeszkadza mi w tym moje własne gadulstwo. Mówię ze wschodnim zaśniewem, jak mówią Polacy z byłych kresów i tak, jak oni, mówię dużo. Nostalgicznie odczuwam głód polszczyzny. Łodzianie to zauważyli, podtrzymali. O czym zwykle mówi człowiek zraniony długą rozłąką? O sobie samym, o języku, który stał się także ojczystym, o ludziach, o kulturze. Lecz mam już taką naturę, że bez kontrowersji, bez sporów żyć nie mogę. Zauważono to również na tutejszym uniwersytecie, gdzie pracuję jako starszy wykładowca na filologii rosyjskiej. Przed wyjazdem pracowałem na UŁ, znam więc młodzież studencką w obydwu krajach. Ma ona wiele cech wspólnych, mimo sporych różnic w sposobie wychowania. To, co wspólne, to przede wszystkim — pytania. Moi łódzcy goście również zapytali mnie, gdzie studenci są lepsi — w Polsce czy w ZSRR. Na to pytanie trudno odpowiedzieć. Powiedziałem więc, że takie pytanie zadano mi już w 1980 roku, gdy zaczynałem pracować na Iwanowskim Uniwersytecie. Wtedy odpowiedziałem tak:

— Wy, jak widzę, koniecznie chcecie usłyszeć, że studenci lepsi są tu, w Iwanowie?

— Tak — naiwnie przyznał pytający.

— No więc po co pytać? Wkrótce przyjadą do was z wizytą łódzcy studenci. Zaprzyjaźnicie się i sami sobie odpowiecie na to pytanie.

— Ale przecież są różnice? — dociekał „mój" student.

— Oczywiście, są. Polacy, na przykład, bardziej garną się do nauki języków obcych. A po drugie, nie myślą o sobie, że są najlepsi, choć starają się być takimi. Polscy studenci są o dwa lata starsi od was, przychodzą na uczelnię po 12 latach nauki, czasami nawet po 13, jeśli są absolwentami technikum. Zaś najważniejsze podobieństwo, jakie zauważyć może każdy, jest takie: i tu, i tam są dobrzy i źli studenci. Tacy, co przychodzą na uczelnię zdobyć wiedzę i tacy, co przychodzą tylko po dyplom. Ci pierwsi są najcenniejsi, choć zbyt często uważają, że ich specjalizacja jest najważniejsza w świecie, że bez niej ludzie zagubią się i zatracą. Przodują w tym dobrym i pożytecznym zarozumialstwie studenci nauk ścisłych uważający, że cała humanistyka — to puste i czcze gadulstwo. Kilka lat temu w całej prasie radzieckiej toczyła się publiczna dyskusja na temat „fizycy a lirycy". Nikt nikogo nie przekonał, bo zapomina się przy tym, że niektóre dziedziny humanistyki, to również nauki ścisłe. Na przykład filologia, która reprezentuje, to przede wszystkim nauka o języku, a język lubi dokładność, ścisłość, logikę.

C.D.N.

# Habent sua fata libelli...

...ale losy tej książki są osobliwie zawiłe. Napisano ją po raz pierwszy sto czterdzieści prawie lat temu. Tak się jednak ułożyły jej dzieje, że dopiero teraz — niemal jednocześnie, zważywszy długość cyklu wydawniczego — w 1981 i w 1984 roku dwie oficyny, opierając się na tym samym tekście rękopiśmiennicznym, niezależnie od siebie ogłosiły ją drukiem.

Czy jest to utwór tak błahy, że przez półtora wieku nie warto było zabierać się do publikacji? — Wręcz przeciwnie. To wielkie wartości artystyczne i ideowe sprawiły, że w ciągu półwiecza dzieło mogło być publikowane jedynie we fragmentach. Czy nie pora, by powiedzieć wreszcie, o jaki utwór chodzi? Proszę bardzo. Autor — Adam Mickiewicz. Tytuł — „Pan Tadeusz". Pierwsze wydanie wszystkich ksiąg poematu w tłumaczeniu na język białoruski.

Mickiewiczowski poemat był tłumaczony na wiele języków i wielokrotnie publikowany, ale historia przekładów białoruskich „Pana Tadeusza" jest szczególnie długa i skomplikowana. Próby ogłoszenia całości utworu w języku białoruskim były czynione nieraz i każdorazowo skutecznie torpedowane. Przyczyny tego miały naturę polityczną. Każda książka wydana w języku białoruskim miała znaczenie dla podnoszenia świadomości narodowej Białorusinów, podnoszenia poziomu kultury, rozwoju języka — nie leżało to na linii działania władz rosyjskich. Nie leżało w ich interesie zwłaszcza upowszechnianie patriotycznych utworów polskiego poety, których aktualność mogła liczyć na żywy oddźwięk wśród białoruskich czytelników, mogących znaleźć w nich nośne idee i wzorce postępowania. Nie należy zapominać, że związki kulturalne polsko-białoruskie były bardzo ścisłe, a filomaci z kręgu Mickiewicza liczą się dziś w kręgu twórców białoruskiej literatury. Należy przy tym właściwie ocenić charakter funkcjonowania dzieła autora takiego jak Mickiewicz — uwzględniając koegzystencję społeczności polskiej i białoruskiej — w środowisku w dużej części bilingwistycznym, nie zapominając o specyfice odbioru dzieła literackiego oryginalnego i jego translacji przez środowisko bilingwistyczne właśnie, przy tym w obrębie języków bliskopokrewnych, jak polski i białoruski.

• • •

Od czego więc zaczęła się historia białoruskich przekładów „Pana Tadeusza"?

Argumentując: żeby naród prosty i szlachta okoliczna poznały obyczaje swoich ojców, pisarz polsko-białoruski, białoruski działacz kulturalny, Wincenty Dunin-Marcinkiewicz, w 1857 roku jako pierwszy rozpoczął pracę nad przekładem. W 1859 roku w Petersburgu ukazały się dwie pierwsze Księgi. Drukowanie dalszych powstrzymał zakaz carskiej cenzury. Cały nakład został skonfiskowany. Zachował się podobno jeden tylko egzemplarz.

Jako drugi tłumacz sięgnął po „Pana Tadeusza" Aleksander Jelski („niech będzie «przekład — przyp. E.-K.N.» dowodem braterstwa dwóch języków i dwóch narodów, którym od Boga sądzone było żyć koło siebie"). Przypuszcza się, że Jelski przetłumaczył cały poemat, lecz z powodu ingerencji cenzury opublikowana została jedynie I Księga — we Lwowie, w 1892 roku.

Trzeci pod względem chronologii przekład (z przełomu lat 20 i 30 XX wieku) jest autorstwa Bronisława Taraszkiewicza.

Fragmenty poematu w tłumaczeniu Maksyma Tanka oraz Sciapana Dziarhaja ukazały się w Mickiewiczowskiej antologii w Mińsku w 1955 roku. (Podkreśla się bardzo dobry przekład Dziarhaja „Burzy").

Nieznana jest jeszcze czytelnikom całość tłumaczenia poematu Piotra Bitela (fragment I Księgi opublikowany był w „Dniu poezii" w Mińsku w 1965 roku).

• • •

I oto mamy pierwszą połowę lat osiemdziesiątych, minęło prawie sto czterdzieści lat od chwili, kiedy pierwszy z tłumaczy napisał po białorusku „Litwo! Ojczyzno moja!". W obiegu czytelniczym są dwie edycje „Pana Tadeusza" w tym języku. Obydwie w przekładzie Bronisława Taraszkiewicza. By rzecz uściślić: już po oddaniu przekładu do druku w wydawnictwie „Pojezierze"; w 1981 roku tenże przekład ukazał się w Mińsku (wydanie Białoruskiej Akademii Nauk). Obydwa wydania opierają się na tej samej rękopiśmiennicznej kopii tłumaczenia Taraszkiewicza, z tym że wydanie polskie — na odbitce kserograficznej kopii, ofiarowanej przez wdowę po białoruskim tłumaczu Katedrze Filologii Białoruskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Mowa wciąż o kopii rękopisu. Co się stało z oryginałem? Jakie były okoliczności powstania przekładu? Kim jest jego autor?

• • •

Bronisław Taraszkiewicz urodził się w 1892 roku w zaścianku Maciuliszki pod Wilnem w zasiedziałej na Wileńszczyźnie chłopskiej katolickiej rodzinie białoruskiej. Kształcił się w Wilnie i Petersburgu na wydziale historyczno-filologicznym, gdzie był potem wykładowcą. Należał do polskiej organizacji „Odrodzenie". Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości zamieszkał w Wilnie. Aktywnie działał na polu krzewienia kultury i oświaty wśród społeczeństwa białoruskiego. Stał się też działaczem społecznym i politycznym — jako poseł na Sejm z ramienia białoruskiej mniejszości narodowej i założyciel Hromady. Krytycznie oceniając politykę władz wobec ludności białoruskiej, przeszedł na stronę opozycji. Wstąpił do Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi i do Komunistycznej Partii Polski. Działalność komunistyczna Taraszkiewicza sprowadziła nań represje władz. Kilkakrotnie był aresztowany i sądzony. Ostatni wyrok — osiem lat więzienia. Właśnie w więzieniu — w latach 1927—28 we Wronkach i w latach 1931—32 w Grodnie — Bronisław Taraszkiewicz dokonał tłumaczenia „Pana Tadeusza" na język białoruski. Jako motywy podjęcia tej pracy wymienia się osobowość tłumacza jako białoruskiego działacza społeczno-politycznego, uznającego, że narodowi jego potrzebne są wzorce historyczne, budujące przykłady z dziejów innych narodów, dla których wolność, umiłowanie ojczyzny, patriotyzm są najwyższymi wartościami (podkreśla się w związku z tym, że Taraszkiewicz tłumaczył także „Iliadę").

W 1933 roku Taraszkiewiczowi umożliwiono wyjazd do ZSRR na zasadzie porozumienia między władzami obu państw o wymianie więźniów. Podejmując decyzję o wyjeździe do ZSRR nie przewidział jednak Taraszkiewicz, w jakim kierunku będzie ewoluowała sytuacja wewnętrzna w tym kraju. A zaczął się wkrótce okres czystek, rozwiązywania partii komunistycznych i represji wobec ich działaczy. W maju 1937 roku aresztowano go na podstawie fałszywych, oszczerczych zarzutów. Zmarł w listopadzie 1938 roku. Zrehabilitowano go po XX Zjeździe KPZR.

Przed wyjazdem do ZSRR zlecił wykonanie kopii przekładu. Zabrał ją ze sobą, rękopis natomiast zostawił w Polsce. Nieznane są losy rękopisu. Dużą sensacją było odnalezienie w r. 1957 w zbiorach prywatnych w Wilnie jego części — Księgi XI i XII. Tak więc po pięćdziesięciu latach od chwili powstania, na podstawie wspomnianej kopii, tłumaczenie Bronisława Taraszkiewicza zostało opublikowane jako pierwszy pełny przekład „Pana Tadeusza" na język białoruski.

• • •

Zatem batalia o białoruskiego „Pana Tadeusza", prowadzona przez kilka pokoleń tłumaczy i wydawców, została wygrana. Jest to wydarzenie kulturalne i literackie znaczące, tak ze względu na rolę, jaką Mickiewiczowskie dzieło odgrywa w dziejach naszej kultury narodowej, jak i na wieloletnie związki kultury i literatury polskiej i białoruskiej. Tak jak każde wybitne dzieło wzbogaca literaturę tego języka, na który jest tłumaczone, przekład Bronisława Taraszkiewicza staje przed tą szansą. Ostatecznym kryterium wartości przekładu jest zawsze miejsce, jakie zajmie w literaturze, do której jest wprowadzony.

Szacunku i uznania wymaga ogromny wkład pracy, podjętej — i doprowadzonej do końca — przez tłumacza. Nie można pominąć także wysiłku zespołu białorutenistów, którzy przygotowali edycję.

Szczególnej rangi nabiera data wydania dzieła, rok 1984: sto pięćdziesiąta rocznica pierwszego wydania „Pana Tadeusza".

EWA-KATARZYNA NOWAK

**Adam Mickiewicz. „Pan Tadeusz". Przekład na język białoruski Bronisław Taraszkiewicz. Opracowanie graficzne Krzysztof Racinowski. Redaktor naukowy Antonina Obrębska-Jabłońska. Zespół redakcyjny: Anna Bagrowska, Teresa Jasińska-Socha, Zofia Skibińska-Charyło, Elżbieta Smulkowa. Wydawnictwo Pojezierze, Olsztyn 1984.**

# Uczymy się na błędach...

## Rozmowa z dyrektorem Estrady Łódzkiej — JANUSZEM SIKORĄ.

**JANUSZ SIKORA** objął dyrekcję Estrady Łódzkiej w maju 1983 roku, pełniąc do tego czasu funkcję zastępcy dyrektora. Wcześniej pracował w łódzkiej Tv (główny specjalista d.s. realizacji i produkcji), wykładał w PWSFTviT (organizacja i produkcja widowisk i programów Tv), magister ekonomii, specjalista od rachunku ekonomicznego rządzącego bussinesem przedsiębiorstwa estradowego, doświadczony znawca rynku rozrywki w skali Łodzi i kraju.

U progu nowego sezonu artystycznego rozmawiamy z szefem Estrady Łódzkiej nie tylko o sukcesach przedsiębiorstwa i atrakcjach czekających nas w tym i przyszłym roku.

**— Czy w okresie, kiedy pełnił pan funkcję p.o. dyrektora Estrady Łódzkiej i nie wiadomo było czy dostanie pan nominację na szefa tego przedsiębiorstwa — nie obawiał się pan tego wszystkiego, co może go spotkać we wciąż nie zreformowanej Estradzie?**

— Wiedziałem co może mnie spotkać w przypadku realizacji wstępnych ustaleń ustawy o instytucjach artystycznych, która przecież od dwóch lat nie może wejść w życie, a która podobno w tym roku jednak wejdzie. W przypadku pierwszym mógł oczekiwać mnie bałagan przepisów, w przypadku drugim (wejście ustawy) również bałagan związany z wdrażaniem ustawy, bowiem ustawa o instytucjach artystycznych dotyczy przedsiębiorstw tak różnych, jak np. teatr i estrada i nie sądzę, żeby wypadkowa w zakresie przepisów mogła satysfakcjonować zarówno teatr, jak i estradę.

**— Czego nauczył się pan jako zastępca dyrektora Estrady Łódzkiej?**

— Nauczyłem się skromności, albowiem taki powinien być zastępca. Ze swoim szefem współpracowałem przez 10 lat w Tv, więc nie tyle może nauczyłem, ile ugruntowałem w przekonaniu, iż zaufanie w sprawach zawodowych i nie tylko przy współkierowaniu przedsiębiorstwem jest rzeczą najważniejszą. Ponadto nauczyłem się, że warto rezygnować z własnych ambicji w przypadkach słusznych, tzn. kiedy problem wyboru dotyczy ambicji własnej, która nie musi mieć pokrycia w interesie przedsiębiorstwa.

**— Obejmując dyrekcję Estrady Łódzkiej zrobił pan z niej w ciągu minionego roku jeszcze jedno przedsiębiorstwo dochodowe z tą różnicą, że handlujące żywym towarem. To wszystko dlatego, że z wykształcenia jest pan ekonomistą czy dlatego, że zmusiły go do tego warunki i słynne trzy „S"?**

— Zanim zostałem ekonomistą, przez 13 lat byłem muzykiem, a pierwszy dokument stwierdzający fakt wykonywania zawodu muzyka posiadam z roku 1963. Jest nim legitymacja nr 6 Polskiej Federacji Jazzowej. Wiele następnych lat poświęciłem pracy odtwórczej i dopiero w 1968 roku zająłem się organizacją ruchu artystycznego w pionie akademickim, rezygnując z czynnego uprawiania pracy muzyka. W związku z tym trzy „S" w momencie przejęcia przedsiębiorstwa nie ukierunkowały mnie tendencyjnie na skutek mojego ekonomicznego wykształcenia i myślę, że nie dopuszczę do sytuacji, w której przedsiębiorstwo przeze mnie kierowane można by traktować jako firmę wyłącznie produkcyjną, mającą na względzie jedynie zysk.

**— Jaki był ten zysk za miniony rok?**

**— Zysk był duży, bo aż 12 milionów złotych, a równocześnie za mały, żeby pokryć odpływy na Fundusz Aktywizacji Zawodowej, które pomniejszyły kwoty zysku o 4 mln.**

**— Wypracowaliście 12 mln zł zysku, a w swoich kasach nie macie nic dla siebie?**

— To drobna przesada, albowiem przedsiębiorstwo nasze dokonało szeregu świadczeń na rzecz instytucji i pracowników w ub. roku i już w roku br. Mielibyśmy tych pieniędzy więcej, gdyby nie prozaiczne zarządzenie w sprawie FAZ, stosowane w resorcie kultury i sztuki, będące przykładem niedorzeczności i absurdu. Wiadomo przecież, że jeden wykonawca za jedno honorarium nie może śpiewać jednocześnie dwóch koncertów. Czyli, im więcej zrealizujemy programów i im więcej sprzedamy na nie biletów, tym w sposób progresywny jesteśmy opodatkowani wyżej wymienionym tytułem. W przypadku naszego przedsiębiorstwa w ub. roku, od września, organizowane przez nas koncerty były po prostu nieopłacalne dla przedsiębiorstwa. Ale życie mówi nam, że przepisy sobie, a my mamy określone zadania, które w ub. roku zostały w sumie przekroczone o 80 procent.

**— Jak więc zarabiacie na siebie?**

— Pracą i metodami omijania przepisów, oczywiście w dopuszczalnych normach. Po prostu musimy wyprodukować tak dużo, aby i dla nas coś zostało. Po 1 kwietnia mamy 3 mln 200 tysięcy złotych zysku, bez dotacji Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi i zamierzamy w sposób znaczący przekraczać plany zysku przedsiębiorstwa za półrocze.

**— Jakie programy i wykonawcy byli nieopłacalni?**

— Najmniej opłacalna była „Chirurgia zakaźna" Bogdana Smolenia, bo poczyniła straty w wyniku odwołania koncertów sięgające setek tysięcy złotych, a przecież mogliśmy zarobić. Nazywam to błędem w sztuce planowania, a nie myślenia. Podobnie było z „Rewią z Tahiti", ale czy można było nie pokazać społeczeństwu tego miasta orientalnego folkloru z Tahiti, pokazywanego na estradzie w sposób atrakcyjny i oryginalny. Po występie „The Rewiwal Beatles" okazało się, że „odgrzewanie" znakomitej muzyki nie jest u nas najlepiej widziane, a przecież ta kilkutysięczna rzesza ludzi w Hali Sportowej była autentycznie zadowolona z koncertu. A poza tym istnieje coś — co nazywa się ryzykiem i w tych ciężkich czasach trudno jest wszystko przewidzieć.

**— Na jakich programach i wykonawcach zarobiliście wspomniane pieniądze?**

— Na muzyce rockowej i programach kabaretowych.

**— Jak się ta sprawa ma w przypadku głośnego programu Zenona Laskowika i Bogdana Smolenia „Przedszkole '83"?**

— „Przedszkole '83" przyniosło nam niewielkie korzyści finansowe i myślę, że w tym konkretnym przypadku nie najważniejszą rzeczą była korzyść materialna dla przedsiębiorstwa. Fakt obecności tego spektaklu w Łodzi był sprawą nadrzędną, a cena biletu wydaje mi się wyważona do możliwości finansowych naszego widza. W przypadku „Chirurgii zakaźnej" staraliśmy się pogodzić wspomniany argument ze strony komercyjnej i myśleliśmy o zyskach dla Estrady Łódzkiej.

**— Rodzimy „Kaczuch Land" mimo reklamy i zapowiedzi, że czegoś takiego jeszcze w Łodzi nie było, dość szybko umarł śmiercią naturalną?**

— Słusznie pan zauważył, śmierć była naturalna, albowiem wszystko co mierne w swych wartościach tak się niestety, kończy. Natomiast samo zjawisko zaistnienia tej sceny w Hotelu „Centrum" jest dla mnie sprawą bezsporną, albowiem najwyższa pora, ażeby w drugim co do wielkości mieście w kraju było miejsce, w którym w sposób systematyczny można byłoby oglądać różne prezentacje estradowe mniej lub bardziej wartościowe. I dlatego uważam, że w konsekwencji warto było wyprodukować „Kaczuch Land", albowiem uczymy się na błędach.

**— „Trzeci Oddech Kaczuchy" wyeksploatowaliście do granic możliwości, uważam, że z dużą krzywdą dla zespołu, a szczególnie Andrzeja Janeczki, co gorsza, nic nie zapowiada zmiany. Twórca kilku świetnych przebojów wypalił się na niezliczonych trasach koncertowych Estrady Łódzkiej?**

— Obym się mylił, gdyż oczekuję na nowe propozycje repertuarowe Andrzeja Janeczki od roku. W międzyczasie zaistniały w naszych programach nowości tego zespołu, ale czy można porównać przebojk „Miss Polonia" z przebojem „Wódz"? Stale mam nadzieję, że Andrzej Janeczko jako autor i wykonawca zrozumie, że zmieniły się nieco czasy w stosunku do lat 80—81 i że w tych samych warunkach, jeśli chce się być twórcą przez duże „T", to trzeba znaleźć dla siebie miejsce. Spełnienie nie tylko moich nadziei w tym przypadku, to po prostu odnalezienie się Andrzeja Janeczki jako twórcy. Przedsiębiorstwo nasze również jest zdania, że eksploatowanie starych, poniekąd znakomitych, ale nieaktualnych utworów Andrzeja Janeczki powinno zakończyć się jak najszybciej.

**— Kto więc odważy się przyjść do Was na etat?**

— Artystom estrady nie opłaca się być na etatach w Estradach, bo stawki wynikające z układu zbiorowego są o co najmniej 50 proc. niższe niż stawki wynikające z zarządzenia nr 34, które dotyczy pracowników na umowie-zleceniu.

**— Przygotowaliście nowy program w Hotelu „Centrum", który był jeszcze gorszy niż niewypał pn. „Kaczuch Land". Znalazł pan przyczyny tych artystycznych niepowodzeń?**

— Znalazłem kolejny błąd w sztuce. Po prostu zaufałem nowym twórcom tego programu i był to dla mnie przykład niezrozumienia miejsca spektaklu oraz widowni. Ponieważ odbył się tylko jeden spektakl, myślę, że ocena całokształtu widowiska zniekształcona przez warunki techniczne oraz tremę wykonawców pomimo ich profesjonalnego przygotowania wpłynęła w sposób decydujący na całość odbioru. Wyciągnęliśmy z tego wnioski i myślę, że będzie lepiej. Chciałbym zauważyć, że nasze możliwości dotyczące realizacji programów na scenie „Centrum", po dotychczasowych doświadczeniach są obwarowane dwoma zasadniczymi punktami: tzn. szansę powodzenia ma jedynie czysta forma rewii z dużym rozmachem albo markowy kabaret polityczny. Mariaż tych dwóch form rozrywki jak do tej pory się nie sprawdza.

**— Czego więc nie udało się Wam zrealizować, choć były plany, szanse, założenia i ambicje?**

— Niezręcznie jest mówić o nie zrealizowanych planach przedsiębiorstwa w związku ze zmianą kierownika artystycznego, bowiem nie chciałbym zrzucać winy na kogokolwiek. Natomiast jestem pewien, że nowy sezon artystyczny będzie nieporównywalny w dodatnim tego słowa znaczeniu.

**— Nie uważa pan, że lista własnych, firmowych programów i artystów z nazwiskami jest u Was niewielka i mało ciekawa?**

— Tak uważam, ale wiąże się to z naszymi propozycjami w zakresie programów własnych, ponieważ poza formami kabaretowymi nie mieliśmy własnych, atrakcyjnych programów, w związku z powyższym trudno o gwiazdy. Nie chciałbym się tu tłumaczyć, ale gwiazdy w minionym sezonie na skutek określonej sytuacji ekonomicznej sprzedawały się najchętniej same.

**— Ale gdybyście dobrze zapłacili, to... Renata Sas w artykule „Rockowy zawrót głowy" na łamach „Dziennika Łódzkiego" wykazała Wam wiele niemożności i nie zawsze trafnych posunięć. I tak np. że „tracicie wiele szans przy PSJ, które może płacić wykonawcom tyle, na ile umówi się z szefem zespołu"?**

— Pracownicy Estrady Łódzkiej zajmujący się organizacją imprez są zobowiązani do ścisłego przestrzegania obowiązujących przepisów finansowych. Nie chciałbym wypowiadać się na temat działań menagerskich PSJ, albowiem jest to konkurencja i mógłby ktoś zarzucić tendencyjność mojej wypowiedzi. Natomiast tajemnicą poliszynela jest, że swoboda działań w przestrzeganiu przepisów wszelkiego rodzaju stowarzyszeń ma pewne ramy interpretacji na skutek decyzji podejmowanych przez zarządy stowarzyszeń i związków twórczych. Nie wiem — czy tego rodzaju decyzje mogą zmieniać powszechnie obowiązujące przepisy. Niemniej faktem pozostaje, iż organizacje te płacą stawki do 100 procent wyższe od powszechnie stosowanych. A zatem jest to niewątpliwy bodziec w konkurencji naszej działalności.

**— Dlaczego nie wykorzystujecie popularnej, oryginalnej choć kontrowersyjnej gwiazdy rocka Gaygi i jej zespołu pozostających dość długo pod waszym patronatem?**

— Nie chciałbym winić kogokolwiek za nieudolność organizacyjną związaną z eksploatacją tej artystki jak i zespołu muzycznego. Myślę, że nie jest to sprawa jednoznaczna, w kampanii reklamowej zostały popełnione błędy zarówno ze strony przedsiębiorstwa, jak i samej gwiazdy. I niestety, mści się to do tej pory. Mam jednak nadzieję, że nowe wcielenie Gaygi występującej z nowym zespołem „DIN", przełamie tę nie najlepszą passę. A czy będzie to pod naszym patronatem czy innej instytucji jest jeszcze sprawą nie rozstrzygniętą. Osobiście mam nadzieję, że Gayga osiągnie również sukces rynkowy, na który niewątpliwie zasługuje.

**— Należałoby zacząć kształcić własną kadrę, wszakże planowano w Łodzi reaktywowanie Studia Estradowego?**

— Myśleliśmy o tym, bo odczuwamy brak dopływu nowych wykonawców i jesteśmy w trakcie organizacji dwuletniego Studium Estradowego o systemie stacjonarnym. Tego przedsięwzięcia nie jesteśmy w stanie udźwignąć sami. Studium miałoby charakter ogólnopolski, obejmowałoby grupę ok. 15 osób, którym władze miasta zabezpieczyłyby miejsca w akademikach, jak również miesięczne stypendium umożliwiające nieprzerwany cykl nauczania.

Niestety, w sierpniu otrzymaliśmy oficjalne pismo z Ministerstwa Kultury i Sztuki informujące nas, iż decyzję na ten temat muszą podjąć aż trzy ministerstwa razem, czyli Ministerstwo Kultury i Sztuki, Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego, Ministerstwo Pracy i Płac. W piśmie tym MKiS ma nadzieję, że do końca tego roku kalendarzowego dojdzie do takiego uzgodnienia, ale przecież rok akademicki 1984/85 stał się już nierealny. W związku z tym, my również mamy nadzieje itd.

**— Na co i na kogo teraz pan stawia?**

— Stawiam na nowy zespół młodzieżowy „Five", bo to co oni robią, jest przyszłością w muzyce młodego pokolenia. Stawiam na Kabaret „SSAK", „Kapota" i w ogóle na młodych ludzi, gdyż rozrywka „stara" bardzo się zestarzała, rozrywka „młodych" ciągle nie może się przebić.

**— Co pan zrobi, jeżeli kolejne programy firmowane przez Estradę Łódzką poniosą artystyczne fiasko?**

— Złożę rezygnację.

**— Łódzki odbiorca sztuki estradowej jest mało wybredny, czy też grymasi i nie wie czego chce?**

— Jest bardzo trudny, bo wydaje mu się, że wie czego chce, po czym jest rozczarowany. Przykładem może być kabaret.

**— Co więc przygotowaliście dla łodzian do końca tego roku?**

— Program jest bogaty i różnorodny, z uwzględnieniem widza w każdym wieku. Dla dzieci m. in. premiery nowych bajek w estradowej wersji i unikalny, dziecięcy kabaret „Bęcwalski show" Pawła Kruka i Eugeniusza Wałaszka. Z okazji 35-lecia TPD dwa koncerty w Hali Sportowej pn. „Giełda marzeń" w reż. Pawła Kruka, w którym wśród gwiazd estrady i telewizji wystąpi popularna grupa rockowa „KOMBI". Z myślą o młodzieży zaprosiliśmy zespół „POD BUDĄ", „Eurythmics", „Orchestra Manuel in the Darck" i raz jeszcze „Kombi". Dla starszych widzów show popularnego piosenkarza bułgarskiego Basira Kirowa, rewię brazylijską z Rio de Janeiro, nową premierę Kabaratu „Ssak" — „Przystanek Raj", nowy program z Alicją Majewską, Felicjanem Andrzejczakiem i „Aurą" oraz retrospektywny „40 lat minęło" prezentujący najpopularniejsze piosenki minionych lat, „Szopkę noworoczną" w wykonaniu lalek. Z wielkich imprez szczególnie atrakcyjnie zapowiada się „Kabaretowisko" czyli dwie noce w Teatrze „Rozmaitości" w towarzystwie czołowych gwiazd kabaretowych naszego kraju oraz koncert w Teatrze Wielkim „Na gwiazdkę z gwiazdami" z udziałem m.in. Zdzisławy Sośnickiej, Jurgena Marcusa, Ewy Bem, Andrzeja Rosiewicza, Zbigniewa Wodeckiego, Felicjana Andrzejczaka, Andrzeja Zauchy, Orkiestry PRiTv pod dyr. Henryka Debicha i prowadzących Piotra Fronczewskiego i Jerzego Stuhra. Prawdziwą niespodzianką i wydarzeniem artystycznym ma być widowisko muzyczno-baletowe pt. „Mówcy" w choreografii Ewy Wycichowskiej w wykonaniu zespołu rockowego „Republika" i solistów baletu Teatru Wielkiego w Łodzi. Z zakupów — nowy recital Ewy Demarczyk i nowy program Bogdana Smolenia.

**— A sięgając w tych planach jeszcze dalej?**

— Ciągłe poszukiwania, albowiem niepokój zawodowy powinien dotyczyć nie tylko twórców, ale i menagerów.

**Rozmawiał: BOHDAN GADOMSKI**

# Nie tylko „Susanna"

Tegoroczny letni sezon w muzyce rockowej upłynął pod znakiem wielu interesujących wydarzeń. Tradycyjnie dominowali wykonawcy z Wielkiej Brytanii i USA. Spośród nich największym zainteresowaniem słuchaczy i krytyków cieszyli się Michael Jackson, Bruce Springsteen i Prince.

Ukoronowaniem sukcesów twórcy „Thrillera" było wielkie tournée koncertowe połączone z promocją płyty „Victory". Michael Jackson był niewątpliwie postacią numer 1 minionego sezonu. Jego największe przeboje i informacje o nim docierały do najdalszych zakątków naszego globu. Złośliwi twierdzili, że to właśnie on pojawi się w bramie stadionu w Los Angeles niosąc płomień olimpijski i zapali znicz. Jednak inauguracja Olimpiady odbyła się bez „księcia muzyki pop", ale nikt chyba nie zdziwiłby się, gdyby było inaczej.

Gdy cały świat zachwycał się talentem Jacksona, na estrady i do studia nagrań po dwuletniej przerwie powrócił Bruce Springsteen. Jego album „Born in the USA" dotarł do czołowych pozycji list przebojów, a występy zgromadziły tysiące miłośników rocka. Z trójki wymienionych na wstępie piosenkarzy najmniej znany w Polsce jest Prince i jemu pragnę poświęcić nieco więcej miejsca.

Płyta „Purple Rain", z której pochodzi jeden z największych przebojów lata — piosenka „When Doves Cry" — jest jego szóstym dziełem. Prince przeważnie sam komponuje wykonywane przez siebie utwory i jest autorem większości partii instrumentalnych, które rejestruje metodą wielokrotnego nakładania dźwięku. Mając 17 lat odrzucił trzy kontrakty płytowe tylko dlatego, że nie pozwolono mu być producentem własnych nagrań. Uwierzyła w niego dopiero wytwórnia Warner Bros, dla której nagrywa do dziś. Zdaniem reportera tygodnika „Melody Maker" ten ciemnoskóry piosenkarz swoim wyglądem i sposobem poruszania się na estradzie przypomina Jimi'ego Hendrixa. Muzyka przez niego wykonywana różni się jednak znacznie od tej, jaką tworzył nieżyjący już wirtuoz gitary elektrycznej. Słuchaczom w Polsce najbardziej znany jest utwór „When Doves Cry", który dotarł do pierwszego miejsca amerykańskiej listy przebojów. Równie popularny jest wspomniany album „Purple Rain" i film o tym samym tytule, w którym Prince gra główną rolę. W ciągu pierwszego tygodnia wyświetlania „Purple Rain" przyniósł dystrybutorom 2 miliony dolarów, stając się najbardziej „kasowym" filmem w USA. Mimo iż młodzież ustawia się w długich kolejkach po bilety, aby zobaczyć swojego idola na ekranie, zdaniem krytyków film nie jest udany. Ratuje go jedynie znakomita muzyka, dzięki której Prince jako piosenkarz porównywany jest przez wielu do Michaela Jacksona, chociaż w jego przypadku trudno mówić o ogólnonarodowym szaleństwie, jakie wywołały w USA płyty i koncerty autora „Billie Jean".

Kolejne wielkie nazwisko tego lata to Tina Turner. Swój pierwszy przebój umieściła na liście tygodnika „Billboard" 24 lata temu. Była to kompozycja jej męża Ike'a „A Fool for Love". Murzyński duet Ike and Tina Turner światową sławę zawdzięczał własnym wersjom utworów białych wykonawców. Wśród nich największą popularnością na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych cieszyły się „Proud Mary" i „Honky Tonk Women". W 1976 roku, podczas tournée koncertowego, Tina pokłóciła się z mężem i odeszła od niego. Samodzielną karierę rozpoczęła występami w programach rozrywkowych telewizji kanadyjskiej. Śpiewała też przez pewien czas w nocnych klubach w Las Vegas. Do grona światowych gwiazd powróciła dopiero w tym roku dzięki piosence „Let's Stay Together". Dużym powodzeniem cieszyła się również jej interpretacja dawnego przeboju grupy The Beatles zatytułowanego „Help". Nagrany w ciągu dwóch tygodni longplay „Private Dancer" jest jednym z najpopularniejszych, jakie dotychczas wydała. Z albumu tego pochodzi utwór „What's Love Got to Do With It", który dotarł na sam szczyt listy bestsellerów płytowych.

Na wyspach brytyjskich niesłabnącym powodzeniem cieszy się zespół Frankie Goes To Hollywood. Jego piosenka „Relax" sprzed kilku miesięcy dostała się na listy przebojów głównie za sprawą nieprzyzwoitego tekstu. Gdy wydano zakaz prezentowania jej na antenie radiowej, młodzież rzuciła się do sklepów, gdzie można było kupić płytę z tym nagraniem. Na początku lipca br. utwór „Relax" zajmował na liście tygodnika „New Musical Express" drugie miejsce zaraz za najnowszym hitem grupy, który nosi tytuł „Two Tribes". Rzadko zdarza się, aby jeden wykonawca umieścił dwie piosenki na czele zestawienia najlepiej sprzedawanych płyt. Dokonać tego mogą tylko najpopularniejsi, a Frankie Goes To Hollywood ostatnio do takich należą.

Najpopularniejszych piosenek nie tylko słuchano, ale też przy nich tańczono. Przebojem dyskotekowych parkietów był oczywiście breakdance czyli „taniec połamaniec", jak śpiewa o nim Franek Kimono. Narodził się w murzyńskich dzielnicach Nowego Jorku i Filadelfii już w latach siedemdziesiątych. Stanowi połączenie tańca disco, pantomimy i cyrkowych akrobacji. Do jego stałych elementów należy m. in. obrót na głowie oraz salto, które powinno się kończyć spadem na plecy. Od zapisujących się na kurs breakdance szkoły tańca w USA wymagają oświadczenia, iż zdają oni sobie sprawę z grożącego im niebezpieczeństwa i w razie wypadku nie będą skarżyć instruktora. Breakdance międzynarodową popularność zawdzięcza głównie zespołowi Break Machine, który zaprezentował taniec podczas tegorocznych targów płytowych Midem w Cannes. Jego najnowszy przebój nosi tytuł „Are You Ready".

Minionego lata w muzyce działo się oczywiście znacznie więcej. Starałem się omówić najciekawsze wydarzenia. Być może nie wszyscy zgodzą się z moim wyborem. Chodziło mi przede wszystkim o to, aby mniej zorientowani w temacie dowiedzieli się, że ostatnie miesiące to nie tylko The Art Company i „Susanna".

**GRZEGORZ WALENDA**

# Polemiki • Listy • Opinie

## POZNAŃSKI KONKURS SF

Dobiegł końca konkurs na utwór literacki o tematyce fantastycznej i fantastyczno-naukowej, którego organizatorami byli Poznański Oddział PSMF „Orbita", Wydawnictwo Poznańskie i miesięcznik społeczno-kulturalny „Nurt".

Konkurs ogłoszony w roku 1983 był jednym z akcentów pięciolecia działalności zorganizowanego ruchu miłośników fantastyki w Poznaniu. „Orbita" to nazwa, która w różnych strukturach organizacyjnych skupia poznańskich fanów od roku 1978. Idea konkursu zyskała poparcie znanych popularyzatorów science fiction: Wydawnictwa Poznańskiego i miesięcznika „Nurt". Nagrody dla laureatów ufundowały Wydziały Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu i Urzędu Miejskiego Miasta Poznania, które już od dłuższego czasu udzielają sporej pomocy działalności wielkopolskiego ruchu miłośników SF.

Konkurs rozkręcał się powoli. Długo trzeba było czekać na pierwsze prace, ale w miarę upływu czasu poczta dostarczała nam coraz więcej i więcej przesyłek. Gdy minął termin nadsyłania prac, okazało się, że na konkurs napłynęły 263 utwory prawie 200 autorów. W sumie kilka tysięcy stron literatury fantastycznej i fantastyczno-naukowej.

Pierwszy ciężar oceniania prac wzięli na siebie członkowie Poznańskiego Oddziału PSMF „Orbita", którzy po zapoznaniu się ze wszystkimi utworami wyłonili grupę finałową, liczącą 40 opowiadań, nowel i mikropowieści. Następnie do pracy przystąpiło właściwe jury.

„Orbicie" udało się pozyskać do prac w jury doktora Antoniego Smuszkiewicza, pracownika naukowego UAM, autora książki „Zaczarowana gra", który wybrany został jednogłośnie przewodniczącym sądu konkursowego; znanego poznańskiego pisarza, pana Andrzeja Górnego, który mimo zawodowych zainteresowań literaturą piękną, jest jednocześnie miłośnikiem dobrej literatury SF, przedstawiciela redakcji miesięcznika społeczno-kulturalnego „Nurt"; pana Bronisława Kledzika, pracownika Wydawnictwa Poznańskiego, człowieka, który jest motorem napędowym serii „SF" ukazującej się w tym wydawnictwie.

Z ramienia Poznańskiego Oddziału PSMF w pracach jury uczestniczyli Grzegorz Gałuszka (prezes PO PSMF „Orbita") i Rafał Surmacz (sekretarz jury).

Decydujące posiedzenie odbyło się 8 września 1984 r. Trwało ono kilka godzin, przyniosło burzliwą dyskusję, a w rezultacie doprowadziło do podjęcia następujących decyzji:

I nagrodę w wysokości 12.000 zł przyznano **ZYGFRYDOWI CUKIERMANOWI** z Lublina za utwór „Alfacos" (godło „Pilat").

II nagrodę w wysokości 7.000 zł przyznano **MACIEJOWI GUZDKOWI** z Warszawy za utwór „Wierzyli w LAS" (godło „Guma").

III nagrodę w wysokości 5.000 zł przyznano **TOMASZOWI BOCHIŃSKIEMU** z Warszawy za utwór „Ocaleni w niebie" (godło „Telekontar").

Przyznano trzy równorzędne wyróżnienia po 2.000 zł, a otrzymali je:

**GRZEGORZ DRUKARCZYK** z Koszalina za utwór „Reguła przetrwania" (godło „Multifilter"),

**JERZY GRABOWSKI** z Krakowa za utwór „Siedmiu" (godło „B").

**MAREK HEMERLING** z Koszalina za utwór „Tam, gdzie kamienie płaczą" (godło „TYP").

Honorowe wyróżnienia jury za wartości literackie zaprezentowane w swoich utworach otrzymali: **PIOTR GIZIŃSKI** z Warszawy — utwór „Linia śmierci" (godło „APA"), **MIROSŁAW MADEJSKI** z Warszawy — utwór „Powrót" (godło „KES"), **KRZYSZTOF SUCHOMSKI** z Poznania — utwór „Horyzont" (godło „Jowisz").

Autorzy wszystkich tekstów zakwalifikowanych do finałowego etapu konkursu otrzymali dyplomy pamiątkowe ufundowane przez Osiedlowy Dom Kultury „Orbita" w Poznaniu i PO PSMF „Orbita".

Podsumowując wyniki, jurorzy wysoko ocenili poziom utworów nadesłanych na konkurs. Okazało się, że w Polsce jest wielu ludzi, którzy piszą SF i robią to w sposób dobry. Potwierdzeniem tego są deklaracje panów A. Górnego i B. Kledzika, którzy znaleźli sporo materiałów godnych opublikowania. Miesięcznik „Nurt" podejmie druk prac, które wartościami literackimi i objętością odpowiadają profilowi pisma, już w grudniu 1984 r. Pan Bronisław Kledzik stwierdził, że z przedstawionych tekstów będzie planował wydanie antologii w serii „SF" Wydawnictwa Poznańskiego. Także PO PSMF „Orbita" podejmie kroki w celu jak najszerszego rozpropagowania utworów konkursowych.

Konkurs dobiegł końca, chociaż wszyscy mamy nadzieję, że pozostanie po nim ślad w polskiej literaturze science fiction. W imieniu jury przekazuję serdeczne podziękowania wszystkim autorom, którzy nadesłali swe prace na konkurs. Serdecznie gratuluję zdobywcom nagród i wyróżnień, życząc jednocześnie wszystkim pełnej sukcesów dalszej działalności na niwie fantastyki naukowej.

Osobne podziękowania przekazuję wszystkim instytucjom i osobom prywatnym, które przyczyniły się do zaistnienia, a następnie pomyślnego zakończenia konkursu.

**Sekretarz jury**
**RAFAŁ SURMACZ**

## „POCZTÓWKA Z SANOKA"

Kilka pogodnych dni tego lata spędziłem w Sanoku. To urocze miasto (33 tys. mieszk.), położone na Pogórzu Bukowskim, przeszło 70 m ponad poziomem Sanu, znane nam jest przede wszystkim z produkcji autobusów. Wiemy też, że stąd pochodził słynny humanista i wychowawca króla Władysława — Grzegorz z Sanoka (1406—1477). Ale już nie wszyscy wiedzą o tym, że właśnie w sanockim kościele odbył się 2 maja 1417 roku ślub Władysława Jagiełły z Elżbietą Granowską. Historia miasta jest zresztą długa i interesująca. Pierwsza historyczna wzmianka o Sanoku pochodzi już z 1150 roku, ale prawdziwe dzieje miasta rozpoczynają się dopiero od 1339 roku, kiedy to książę halicki Jerzy II Trojdenowicz nadał mu prawa miejskie. W 1341 roku Kazimierz Wielki przyłączył Sanok do Polski. Dzięki licznym przywilejom królewskim następował rozkwit miasta, którego nie przerwały nawet liczne pożary. Ale dość historii...

Dziś pozostały po niej liczne zabytki, jak choćby zamek na wzgórzu, wzniesiony w XVI wieku na miejscu dawnego grodu, zbudowanego przez Kazimierza Wielkiego w XIV wieku. W tym zamku mieszkała m. in. ostatnia żona Jagiełły — królowa Zofia Holszańska. Obecnie w zamku znajduje się Muzeum Historyczne z licznymi zbiorami sztuki cerkiewnej i największą w Polsce kolekcją ikon od XIV w. do XIX w. Skromne pomieszczenia (zamek przechodzi długotrwały remont) nie pozwalają na prawidłową ekspozycję ikon, które obecnie są wystawione w trzech salach. Ścisk jest duży. Ikonami poobwieszane są wszystkie ściany od sufitu do podłogi. Wiszą a także stoją, oparte o ściany ikony małe i duże, bajecznie kolorowe i nieco szare, doskonale zachowane i bardzo zniszczone. Niektóre ogromne, jak choćby ta ze wsi Lipie z XVI wieku dwuczęściowa, o wymiarach 2 m x 2 m, przedstawiająca „Ukrzyżowanie" i „Sąd ostateczny". Tradycją muzeum jest stała ekspozycja sztuki współczesnej. Podczas mojego pobytu wystawiano akurat prace Zdzisława Beksińskiego — „XXX wiek". Obrazy pełne ekspresji i ponurych barw, przedstawiające apokaliptyczną wizję świata. Wstrząsające, ale przemawiające swoją niezwykłą plastycznością do widza.

Po drugiej stronie Sanu, na obszarze dawnej wsi Olchowce, znajduje się, o czym zapewne nie każdy wie, największy w Polsce skansen (obszar 38 ha). Słowo „skansen" jest pochodzenia szwedzkiego i oznacza dosłownie obronne szańce. Chciałoby się zapytać, co mają wspólnego szańce z parkiem etnograficznym? Otóż w 1891 roku otworzono w Sztokholmie, na wyspie Djurgarden, wśród resztek obronnych szańców (skansen) pierwsze na świecie muzeum na wolnym powietrzu. Nazwę skansen przeniesiono wkrótce na to muzeum. Później stała się ona popularna zarówno w Polsce, jak i w innych krajach. Muzea pod otwartym niebem szybko zaczęły zyskiwać dużą popularność w całej Europie.

Na ziemiach polskich pierwszy skansen — istniejący zresztą do dziś — powstał w 1906 roku na Kaszubach, we wsi Wdzydze (wówczas pod zaborem pruskim). Współcześnie najwięcej skansenów istnieje w krajach skandynawskich, ale i Polska jest w ścisłej czołówce, mając aktualnie czynne 33 parki etnograficzne, a dalszych 30 jest projektowanych.

Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku zostało założone w 1958 roku. Miało ono za zadanie gromadzić okazy budownictwa wiejskiego z Podkarpacia, Beskidu Niskiego i Bieszczadów, przybliżając tym samym zwiedzającym obraz dawnej wsi.

Malowniczo położony park podzielony został na pięć regionów etnograficznych: Bojków (zajmujących Bieszczady aż po Ustrzyki Dolne), Łemków (Beskid Niski), Pogórzan Zachodnich (Gorlice, Jasło, Strzyżów) i Wschodnich (Krosno, Brzozów) oraz Dolinian (okolice Sanoka, Mrzygłodu i Leska). Grupy te wyodrębniały się zarówno pod względem budownictwa, jak i gwary, ubiorów i tradycji. W skansenie znajdujemy przykłady budownictwa wszystkich w.w. grup, przy czym zachowana została także fizjografia Podkarpacia, np. budownictwo góralskich Bojków i Łemków pomieszczono w wyżynnej i zalesionej partii parku. Wszystkie obiekty przenoszone na teren skansenu są obiektami typowymi i naturalnymi dla danego regionu. Konserwacja starych budynków prowadzona jest przez majstrów ludowych, przy czym tradycją muzeum jest uratowanie maksymalnej ilości drewna zabytkowego. Otoczenie budynków jest zgodne ze zwyczajami panującymi w poszczególnych okolicach. Dotyczy to również roślin, drzew i kwiatów. W przyszłości pola będą uprawiane wg starych metod, żeby jeszcze bardziej przybliżyć ludziom życie w tamtych czasach. Jak już wspomniałem skansen jest pięknie położony, tuż nad Sanem u podnóża pasma wzgórz Słonnych. A najpiękniej pisze o nim Władysław Szulc w swoim folderze: *„Kopiaste bryły budynków, tak bliskie są formą i kolorytem otaczającej je przyrodzie, jakby wyrastały z tej samej gleby. Bo też tworzywo tej zabudowy to kamień z dna rzeki, drewno z jodłowego lasu, słoma i wykopana spod skarpy glina. Patrząc na tę wieś częściej, w różnych porach roku, silniej odczuwamy jej jedność z naturą. Latem przysłonięta nieco pełnymi koronami drzew wtapia się w ich zieleń fakturą strzech, formą ułożonego w kopy siana, zboża czy lnu. Gdy zieleń ustępuje miejsca zółciom, brązom i czerwieniom, a stroma ściana lasu przypomina kilim utkany z różnie barwionej wełny, te rozrzucone w pozornym nieładzie chałupy, stodoły i spichlerze stają się harmonijnym składnikiem malarskiej kompozycji (...) Zbliżamy się do tej wsi. Idziemy pod stokiem stromego zbocza, zarośniętego starodrzewiem, brzegiem barwnej, kwiecistej łąki. Mijamy kuźnię i kępę olszyny, kręta wiejska droga prowadzi między zagrody. Są tu chałupy samotne, nieraz nie ogrodzone nawet, biedne i skromne, są też inne zasobne, stojące w towarzystwie stodoły i spichlerza, ustrojone w kwiatowe ogródki, przylegające do sadu i otoczone płotami (...) Wszystko to bywa ubarwione tłem upraw, orzeźwione strumieniem płynącym z leśnego jaru i głosami ptaków. Światło letniego dnia wzmacnia stonowane barwy ścian, czerń błękitnieje, zieleni się mech porastający stare strzechy (...)"*

Wszystko tu jest stare, opuszczone, a jednak czujemy się tak, jakby życie toczyło się w wiosce normalnym rytmem. Przenosimy się w przeszłość. Chodzimy od chałupy do chałupy i myślimy, że właścicieli chwilowo nie ma, że są w polu i zaraz wrócą. Zwiedzamy pierwszą zagrodę Bojków z 1861 roku ze wsi Skorodne. Duża chałupa, ale w niej tylko jedna izba mieszkalna. Intryguje czerwono-brunatny kolor ścian. Uzyskiwano go przez malowanie przepaloną gliną z dodatkiem żytniej mąki i oliwy. Mijamy drugi dom, młyn i dochodzimy do wspaniałej cerkwi z 1731 roku. W środku liczne ikony, prazdniki i bogata snycerka w rokokowym stylu. Większość domów jest kurnych. Panuje w nich mrok, czuć specyficzny zapach starego drewna. Nie ma podłóg. Przed piecem chlebowym wisi dynarek do gotowania strawy. I wydaje się, jakby za chwilę miał się pochylić w niskich drzwiach Boryna i zabrać się ochoczo do jedzenia. Nie brak i w skansenie karczmy.

Jedna jest z 1890 roku, a druga z początku XIX wieku. Ta druga jest nawet czynna, choć za szynkwasem stoi nie arendarz, lecz urocza ajentka, która nam serwuje jedynie fasolkę po bretońsku. Chyba drzewiej gościły i inne potrawy na ciężkich lipowych stołach. Z lewej strony karczmy znajduje się studnia w pniu lipowym o średnicy 1 metra oraz wiadro klepkowe wraz z żurawiem. Nieco dalej jest i remiza, szkoła, dom bogatego nauczyciela, dom kołodzieja, dom olejarza wraz z olejarnią. W olejarni zgromadzono narzędzia do wytłaczania oleju z siemienia lnianego i konopnego, ze słonecznika i owoców buku. Naprzeciw stoi pasieka z ulami, z pni drzew, w kształcie figur świętych oraz krzyż z kapliczką. W chałupie z Niebocka z 1901 roku zwraca uwagę łóżko z szufladą, którą wysuwano na noc do spania dzieciom. Zwiedzanie pięknego skansenu kończymy na kompleksach kościelno-plebańskich. Kościół zbudowany był w 1667 roku z bali jodłowych, ciosanych toporem. Budynek plebanii natomiast z drewna modrzewiowego podobny jest do małego dworku.

We wszystkich zwiedzanych obiektach znajduje się mnóstwo mebli, urządzeń gospodarczych, naczyń, przyrządów, obrazów, ludowych wyrobów, a nawet jadła. Opisać tego nie sposób, trzeba to po prostu zobaczyć. A warto! Mnie osobiście sanocki park etnograficzny zauroczył. Zresztą miasto też. Na zakończenie pozwolę sobie zacytować jeszcze raz Władysława Szulca: *„...opuszczamy skansen — wieś powstającą na skrawku podkarpackiego pejzażu, wśród którego jeszcze kilkadziesiąt lat temu można było zobaczyć wieś dawną, jakiej już nie ma, jakiej już nigdy nie będzie..."*

**WITOLD LEWANDOWSKI**

# Z karabelą na związki zawodowe

Motto: „Bo w tym cały jest ambaras — żeby dwoje chciało naraz"
(Boy—Żeleński)

Długo — bo aż tydzień zastanawiałem się czy skorzystać z przysługującego mi prawa odpowiedzi autorskiej na list Oddziału Wojewódzkiego PZU na mój artykuł „Z karabelą na artykuł 38". Wiadomą rzeczą jest, że kolumna poświęcona polemikom, listom, i opiniom zasadniczo kończy problemy poruszane przez autorów „Odgłosów". Jest to kolumna bardzo kurtuazyjna i bardzo kurtuazyjny — trzeba przyznać — jest list Oddziału Wojewódzkiego PZU, sprawującego nadzór nad Inspektoratami.

Ja jestem jednak bestia prasowa, a bestia prasowa nie zadowala się byle czym. I nie skorzystam z prawa polemiki na kolumnie do tego przeznaczonej. **(Tego akurat nie mogliśmy autorowi zapewnić — Redakcja).** Celowo piszę kolejny artykuł, przy czym wstęp przeznaczony wyłącznie pewnym wyjaśnieniom jest zaledwie pretekstem. Grzeczni panowie z Oddziału Wojewódzkiego PZU wymieniają rodzaje swoich agentów (przepraszam: pośredników), piszą o zwiększonych stawkach ubezpieczeniowych, chwalą się wygranymi w kolejnych instancjach w sprawach spornych, zatajają taki drobny szczegół, że centrala PZU w Warszawie przyznała większy procent prowizji dla pośredników, uzależniając jego zmniejszenie od woli dyrektorów inspektoratów (jak nadmieniłem bez konsultacji ze związkiem zawodowym).

Oczywiście zwiększone stawki ubezpieczeń logicznie powinny zwiększać prowizję pośredników — wszak PZU jest przedsiębiorstwem typu znanego na całym świecie i absurdalne stwierdzenie, że bez zwiększenia pracy pośredników należy pozbawiać ich w warunkach inflacyjnych dodatkowych zarobków nie wytrzymuje żadnego logicznego dowodu. PZU jest instytucją podobnie jak bank, monopol loteryjny, gra giełdowa — i dlatego nie należy nigdy do instytucji bankrutujących w żadnym systemie, a podwyższenie stawek ubezpieczeniowych powoduje niezbywalne prawo podwyższania stawek agentów. To tyle teorii.

Bardzo miło, że Oddział Wojewódzki PZU nie odsądza mnie od czci i wiary i ostateczne swoje zdanie wiąże z wniesioną rewizją nadzwyczajną.

Jest coś absurdalnego w zastosowaniu pisma zezwalającego na uwzględnienie dziewięciu procent prowizji i ucięciu tego zalecenia w myśl niepojętej troski o to, aby czasami pośrednicy nie zarabiali zbyt dużo — skoro zbyt dużo zażyczyło sobie PZU od społeczeństwa podnosząc stawki ubezpieczeniowe.

To jest skandal — panowie — podnosić stawki, a potem pisać panu redaktorowi Gluthowi, że bez zwiększonej pracy pośrednicy zarobią zbyt wiele. Ktoś tu goni w piętkę.

Ale przecież nie o to chodzi i nie na ten temat był poprzedni artykuł. Panowie zbyt łatwo się wyłgali z tego wszystkiego. Panowie stosują wyświechtany łaciński zwrot „audiatur et altera pars". Wysłuchać i drugiej strony to ja mogłem i zrobiłem to, bo miałem w ręku akta sądowe. Na całym świecie, skoro podwyższa się stawki ubezpieczeniowe, to agent otrzymuje wyższą prowizję. Tu nie trzeba łaciny. Tu trzeba Arystotelesa — ojca logiki. I to by było na tyle.

A teraz przechodzimy do meritum sprawy. Panowie raczą pisać, że związki zawodowe działają w PZU od stycznia 1983 roku i w dotychczasowej ich działalności trudno byłoby się dopatrzyć uzasadnienia dla stwierdzenia autora artykułu. To jest obelga, proszę panów. Obelga, z którą mamy do czynienia na co dzień — obelga której nie mogę puścić płazem.

Nowe związki zawodowe to nie są panie Dyrektorze te dawne związki i artykuł mój o karabeli był im poświęcony, a casus pośredników PZU był tylko pretekstem.

W wielu audycjach telewizyjnych widzimy bezradność działaczy nowych związków. Nie tak dawno przewodniczący związków zawodowych przy Hucie „Katowice" skarżył się na brak sankcji, wówczas gdy żąda słusznych dla załogi postulatów. Powiedział dosłownie „lekceważenie nas, lekceważenie naszych żądań i brak sankcji pozostawia tylko komisje rozjemcze idące na rękę dyrekcji. Czy mamy do wyboru tylko strajk?"

Jest wiele głosów, że nowa ustawa o związkach zawodowych posiada wiele luk, że rozdrobnienie związków daje dyrekcjom fory. I dlatego istnieją pewne niezbywalne prawa nowych związków zawodowych — które mają bardzo ciężkie życie — i są to prawa nieliczne, ale takie, które jak lwy muszą bronić aktywiści, działacze, szeregowi członkowie związków, aby wyjść na swoje. Do takich praw niezbywalnych należy artykuł 38 Kodeksu Pracy.

Mylą się panowie dyrektorzy sądząc, że są szlachcicami uzbrojonymi w karabele. Mylą się panowie dyrektorzy, którzy sądzą, że w kuluarach konferencji „ugadają sobie" przewodniczącego związku.

Otóż siła nowych związków polega na tym, że nic bez nich nie może się odbyć w przedsiębiorstwie w zakresie wymówienia pracy lub płacy — i to jeszcze raz powtórzę, jest niezbywalnym prawem rozstrzyganym wyłącznie kolegialnie i niejednokrotnie wcale nie po myśli dyrekcji. Czy panowie dyrektorzy sądzą, że żyją w latach siedemdziesiątych? Czy panowie dyrektorzy woleliby anarchię „Solidarności"? Te nowe związki powstały z najlepszych ludzi; liczą cztery i pół miliona. Potrzebują współdziałania. Za pięć czy dziesięć lat dyrekcje nie będą miały łatwego życia z nimi, chyba że nauczą się nowego stylu pracy.

Jeżeli chwyciłem jako pierwszy temat długie prawowanie się inspektoratu PZU — to był przypadek. Przecież mogłem pojechać do Kraśnika, do Szczecina, tutaj do Łodzi, do wielu zakładów.

Skoro Kodeks Pracy jest nieco przestarzały, a ustawa o związkach zawodowych posiada pewne luki — to należy się starać o orzeczenia Sądu Najwyższego, które są normą prawną, bezapelacyjną i ostateczną.

W tej chwili sprawa PZU wniesiona została do Sądu Najwyższego. Chciałem poinformować Oddział Wojewódzki PZU, że nie chodzi tylko o ich podwórko — że chodzi o sprawę najwyższej wagi: o uprawnienia nowych związków zawodowych. I wbrew temu, co pan Dyrektor sądzi — zwrócenie się na czas na piśmie do związku zawodowego w trosce o pracowników nie spowodowałoby okrojenia prowizji, ani tej beznadziejnej procedury sądowej.

**ROBERT GLUTH**

# Poker z Hamletem 3

JAN KALICH

Już drugi miesiąc w szpitalu. Pełna adaptacja; w związku z odbywającym się w mieście przeglądem estradowym dostałem na dwa tygodnie stałą przepustkę — codziennie, po obiedzie mam prawo wyjść. Coraz rzadziej wychodzę, coraz lepiej się czuję po powrocie. W mieście tłok, szum, spaliny, hałas. Tu, w szpitalu cisza i spokój, można czytać w parku, nawet można pracować! Przyniosłem sobie maszynę do pisania i wystukałem już dwa, zamówione wcześniej teksty.

Przyzwyczaiłem się też do współpacjentów, wielu polubiłem. Mamy przecież tak wiele wspólnego ze sobą... W mojej ośmioosobowej sali jest robotnik budowlany, zaopatrzeniowiec, technik-mechanik, były dyrektor fabryki odzieżowej. Jest także dwóch zawodowych złodziei.

Moje wcześniejsze obserwacje potwierdzają się: „alkoholicy są zdecydowanie inteligentniejsi i wrażliwsi od przeciętnych abstynentów. Mają duże poczucie humoru. Kiedy nie piją — tak jak tu, teraz w szpitalu, są bardzo sympatycznymi, dobrze wychowanymi chłopcami.

Wyrazu chłopcy nie używam przypadkowo — ogromna większość pensjonariuszy Oddziału Alkoholowego to faceci po trzydziestce zaledwie. Ja, czterdziestopięciolatek, należę do seniorów... Są także zupełnie młodzi chłopcy — tacy, co to ledwie przekroczyli dwadzieścia lat. Kiedy zdążyli się tak rozpić?

## PODZIEMIE

Życie oddziału toczy się w regulaminowej monotonii — poranne sprzątanie, rytuał anticolowy, praca, popołudniowe spacery w parku, telewizja. O dziesiątej do łóżek. Nieznacznym urozmaiceniem są niedzielne wizyty i przepustki na sobotę i niedzielę.

Ale jednocześnie kipi, wre w szpitalnych salach, w parku obok pawilonu i w całym szpitalu inne, nieoficjalne życie. Zaczyna się już po porannej anticolowej uroczystości. Niektórzy zaraz po niej biegną do kibla — muszą prędko wyrzygać to świństwo. Jeśli uda im się to kilka dni pod rząd, będą mogli się napić. Bardziej przemyślnym sposobem uniknięcia codziennej porcji przeklętego anticolu jest dyskretne wypluwanie rozpuszczonej pigułki do plastykowego woreczka, ulokowanego w rękawie. Coraz trudniej stosować tę metodę — personel zna ją bardzo dobrze.

Po śniadaniu i anticolu pacjenci idą do pracy — do kuchni, do sprzątania terenu, do przyszpitalnego gospodarstwa rolnego. Ale nie wszyscy. Urywają się do miasta ci, którzy mają tam pilne — najczęściej handlowe — interesy. Biegną załatwiać jakieś tajemnicze, zapewne nielegalne transakcje. Celuje w tym Janusz — jego żona jest właścicielką znanego, dobrze prosperującego sklepu w centrum miasta. Janusz — z wykształcenia inżynier — nie pracuje w swoim zawodzie. Jest zaopatrzeniowcem u żony. Wymyka się do miasta dwa razy dziennie — przed i po obiedzie. Na posiłkach trzeba być, bo sprawdzają obecność. Janusz załatwił sobie parkowanie samochodu na podwórku prywatnej posesji obok szpitala. Nie ma czasu na dojazdy tramwajem.

Formalnie pracuje w ogrodzie — tak się zwykło nazywać małe gospodarstwo rolne obok szpitala. Formalnie, bowiem stale się urywa. Brygadzistka, która nadzoruje grupę pacjentów oddziału denerwuje się, dzwoni na oddział, robi się zamieszanie. Pani ordynator pozbawia Janusza prawa do używania prywatnej odzieży. Drobiazg! Jeden telefon i ktoś z miasta dosłownie za kwadrans przywozi mu dżinsy, koszulę, buty...

Janusz wręcza mi tabliczkę czekolady dla brygadzistki z ogrodu: — Stary, powiedz jej cokolwiek, muszę być w mieście, inaczej jestem do tyłu na co najmniej pół setki (tysięcy, ma się rozumieć).

Cóż tu powiedzieć brygadzistce? Coś wymyślę. Coś co musi na niej zrobić wrażenie...

— Pani Tereso, mam do pani kilka słów. Otóż mój kolega, ten co to już pani podpadł, ma w mieście niesłychanie ważną sprawę do załatwienia. Otóż on, proszę pani, musi jak najszybciej załatwić rozwód. A zaraz potem ślub. Jedna z pielęgniarek jest z nim w ciąży... Pani rozumie ten pośpiech?

— Skoro tak, to oczywiście, tylko żeby nikt się nie dowiedział. Co mi tu pan za łapówki wciska?

— To nie łapówka, pani Teresko, to tylko dowód sympatii pana Janusza...

Życie podziemne toczy się po południu. W parku idzie pokerek, handel herbatą i lekami. Wdzięcznymi partnerami zarówno do pokera, jak i handlu są psychicznie chorzy, nazywani z pogardą „czuby". Czuba łatwo ograć, oszukać, jeszcze rozrywka jest, jak zaczyna świrować i gada od rzeczy. Pani ordynator zabrania kontaktów z czubami, szczególnie przestrzega przed kontaktami seksualnymi z psychicznie chorymi. Choćby dlatego, że grozi za to nawet kara więzienia. Ale kto by się tam przejmował, kiedy dziewczyny, całkiem do rzeczy, same proponują, zachęcają. Bierze się taką za rękę i prowadzi do lasku, gdzie gęstsze krzaki. Dobrze mieć kumpla w obstawie, bo cholerne czuby łażą wszędzie, podglądają, przeszkadzają. Od czasu do czasu wybucha afera — oto jedna z chorych skarży się, że zgwałciło ją trzech z alkoholowego. Rozchodzi się po kościach, któż tam uwierzy biednej schizofreniczce...

Podziemne życie oddziału nie ustaje nocą: czaj, leki psychotropowe, poker, wódka. Wódkę można kupić na miejscu. W pobliżu pawilonu są w parkanie dwie dziury. Za parkanem — prywatna posesja. Trzeba podejść do parkanu, wywołać meliniarza po imieniu i przez mniejszą dziurę wetknąć osiemset złotych. Większą dziurą wydobywa się półlitrówkę. Po co dwie dziury, nie wystarczy jedna? Nie, obydwie strony w tej transakcji nie mają do siebie zaufania, wręczenie pieniędzy i wódki musi się odbyć jednocześnie.

Zastanawiam się często, co personel oddziału wie o tym całym undergoundzie? Pewnie sporo...

Po zgaszeniu świateł płyną pijackie opowieści. Dzisiaj Jacek opowiada swój skomplikowany życiorys. Nieślubny syn pielęgniarki, wychowany w domach dziecka i szkołach z internatami. Nadwrażliwy, inteligentny. Pić zaczął na studiach, leczył się kilkakrotnie i ma pełną świadomość, że jeszcze będzie się leczył. Był dyrektorem, był hodowcą świń, miał prywatny sklep, był kioskarzem Ruchu. Najbardziej efektowny fragment życiorysu Jacka to brawurowe „pozbycie się" — w ciągu kilku tygodni — domu, samochodu, dużej chlewni i pięknej żony...

Uderzająco podobne do siebie są pijackie życiorysy. Na pozór niesłychanie urozmaicone — w gruncie rzeczy monotonne i smutne.

Staram się przebić Jacka czymś mocniejszym. Opowiadam ponurą balladę o śmierci Siwego. Głupiej, pijackiej śmierci (Fragment publikowany w „Odgłosach" nr 9 z 3 marca 1984 r. — przyp. red.).

## LECZENIE

Jak już wspomniałem, leczenie ogranicza się do codziennego anticolu. No, jest jeszcze terapia pracą. Ponadto — terapia nudą... Nie ma żadnych zorganizowanych zajęć, nie ma psychoterapii. Nawet świetlica i biblioteka pracują tylko do południa, kiedy chorzy pracują. Po południu jest śmiertelna nuda i telewizor.

Z przyjemnością wspominam swoją pierwszą próbę leczenia szpitalnego i zupełnie nadzwyczajną terapię, jaką tam — dzięki przypadkowi — przeszedłem.

Moje pierwsze małżeństwo kończyło się. Nie da się ukryć — z powodu mego nałogu głównie. Porozmawiałem ze znajomym dyrektorem szpitala psychiatrycznego. Umieścił mnie na swoim oddziale — był ordynatorem oddziału nerwic. Tylko siostra oddziałowa i on wiedzieli, na co jestem leczony. Wszyscy pozostali wiedzieli tylko o jakiejś depresji, załamaniu psychicznym itp.

Co rano dostawałem zastrzyk z insuliny, po którym przez dwie godziny byłem osłabiony i półprzytomny. Potem — obfite śniadanko. Po kilku dniach mój lekarz wymyślił mi terapię: w szpitalu działał kabaret, w którym występowali amatorzy — lekarze, pielęgniarki, pracownicy administracyjni. Przygotowywali właśnie program na jakiś tam przegląd zespołów amatorskich służby zdrowia. Mieli dwie trzecie potrzebnych tekstów, zakupionych u warszawskiego autora i reżysera-cwaniaczka, który po dwóch, trzech próbach wymówił się jakoś i więcej nie przyjechał.

Pan doktor zaproponował mi — ni mniej ni więcej — tylko reżyserię całości i dopisanie kilku brakujących tekstów, co przecież było niejako moim zawodem.

W szpitalu wariatów wszystko jest możliwe. Przyjąłem propozycję i miałem dwa miesiące wspaniałej zabawy!

Po porannej insulinowej męce wypijałem mocną kawę i siadałem do maszyny do pisania. Uzupełniałem, przerabiałem, aktualizowałem — jednym słowem poprawiałem teksty mego warszawskiego kolegi. Dopisywałem własne, zmieniałem scenariusz itp. itd. Po południu — próba. To dopiero była zabawa! Na scenie gromadka moich „aktorów" — w tym dwie śpiewające dziewczyny, bardzo dobre! Ja, rozparty w fotelu z egzemplarzem przed nosem. Ja demiurg, kreator, artysta... Ustawiałem gesty, narzucałem różne sposoby interpretacji prozy i piosenki, bal wymuszałem na pianiście różne muzyczne figle, projektowałem kostiumy i rekwizyty!

Ta moja — jedyna w życiu — reżyserska przygoda miała dwa zakończenia. Ja wyszedłem ze szpitala po inplantacji esperalu, w znakomitej formie psychicznej, przekonany o swoim ostatecznym wyleczeniu. Zespół kabareciku miał powodzenie i dostał nagrodę na ogólnopolskim festiwalu.

Po paru miesiącach nastąpiły jeszcze dwie, zupełnie inne pointy tej szpitalno-kabaretowej przygody. Żona już do mnie nie wróciła — dowiedziałem się, że w czasie mojej kuracji spotykała się stale z kolegą z pracy. Latem wyjechała z nim do Sopotu. Ja zaś wypiłem któregoś dnia — przez czyste roztargnienie, przysięgam! — szklankę piwa. Bez żadnej reakcji. Jeszcze tego wieczora wypiłem setkę wódki — też bez reakcji. Następnego dnia upiłem się. Do dziś nie wiem, czy poczciwy doktor wszczepił mi wówczas esperal, czy może jakieś witaminy?

Po kilku dniach zadzwoniłem do jednej z tych śpiewających w kabarecie dziewcząt. Była pielęgniarką, pracowała na oddziale odwykowym. Podobała mi się, ale byłem wciąż trzeźwy i nie miałem odwagi. Teraz, na lekkim gazie, zadzwoniłem, umówiłem się i... miałem nową dziewczynę. Rzuciła właśnie pielęgniarstwo, zaangażowała się do śpiewania w knajpie. Wieczory spędzałem słuchając jej śpiewu i popijając z muzykami.

Bardzo się dziwiła, że po kilkudniowym piciu sam mogłem przestać i znów przez kilka dni czy nawet tygodni nie pić wcale. Jej szpitalne doświadczenia to faceci, których tylko szpital doprowadzał do trzeźwości. Nie uważała mnie za alkoholika, tylko wesołego pijaka. A jak umiała się ze mną obchodzić! Kiedyś, po ostrym pijaństwie, w skacowany ranek weszła za mną do łazienki z setą wódki. — Wypij, przecież bez tego nie będziesz mógł się ogolić...

Trzeba przyznać, znała się na tym.

Minęło jeszcze kilka miesięcy, rzuciłem dziewczynę, zdecydowanie rozciąłem poplątany węzeł mojego małżeństwa. Zostawiłem żonie mieszkanie, samochód i ośmioletniego już syna. Wróciłem do rodzinnego miasta, żeby znaleźć w nim pracę — miałem tu przecież mnóstwo przyjaciół — znaleźć spokój po miesiącach szarpaniny psychicznej. Żeby zacząć nowe życie. Pracę, oczywiście, szybko znalazłem. I wszystkich starych kumpli. Te spotkania trzeba było oblać!

Poker z Hamletem trwał.

## DWA SŁOŃCA

Opowieści moich kolegów, to głównie opowieści o piciu. O tym, jak się wpadało w „korek". Co to takiego — korek? Służę wyjaśnieniem: pijacki trans to — na zmianę — picie — kac — picie — kac. Taka spirala, śruba czy korkociąg... Właśnie — korkociąg. W skrócie: „korek". Proste?

Czego szukali w korku? Zapomnienia, złudzeń, że świat jest lepszy, niż jest naprawdę. Jacek wspomina, jak kumpel od kielicha powiedział mu kiedyś przy sporej popijawie „pod chmurką": — Spójrz, stary, w górę. Co widzisz? DWA SŁOŃCA! Te wszystkie niepijące frajery mają tylko jedno słońce...

Ze zdziwieniem obserwuję, w czasie niedzielnych wizyt, żony moich kolegów. Ładne, zgrabne, eleganckie dziewczyny. Mogłyby mieć normalnych, zdrowych mężów. Takich, co ich z pracy nie wyrzucają, takich, co dbają o dom. Dlaczego ich nie rzucają, dlaczego się nie rozwodzą? Mnie rzuciły już dwie...

Jak to się stało, że ich pokochały? Dlaczego za nich wyszły? Przecież wiedziały...

Żony alkoholików — to też wiem nie tyle z własnego doświadczenia, ile ze szpitalnych opowieści — popełniają ten sam błąd. Każda z nich wierzy, że właśnie dla niej ten niepoprawny pijak przestanie pić. Właśnie dla niej, bo przecież ona jest nadzwyczajna, ona kocha go jak nikt, ona tylko go rozumie. Zakochany pijak — rzecz jasna — mówi to samo. I nie kłamie. Wierzy, bardzo chce wierzyć, że właśnie dla niej, dla tej jedynej, potrafi być silniejszy od siebie.

Zapewne przez jakiś czas to się udaje, co utwierdza dziewczynę pijaka w słuszności jej rozumowania. A wtedy najmniejsza, niewinna wódeczka z kolegami staje się dramatem. Żony pijaków picia nie znoszą bardziej chyba niż zdrady. Każde pijaństwo swego męża traktują jak akt wymierzony przeciw sobie: — „Pijesz, bo mnie już nie kochasz". One w gruncie rzeczy nie wierzą, że alkoholizm to choroba. To — ich zdaniem — wada moralna. Nie wierzą w to, że może być inny motyw picia jak tylko ten — żeby dokuczyć żonie, żeby jej zrobić na złość.

Kiedy kobieta porzuca pijaka, to na ogół w najbardziej nieodpowiednim momencie. Kiedy najwięcej pije, a więc kiedy najbardziej potrzebuje pomocy. Nie słyszałem, żeby żona alkoholika porzuciła go po kuracji, kiedy doszedł do siebie, kiedy — być może — zrozumiałby jej motywy i jakoś to przeżył. Nie, one robią to wtedy, kiedy my jesteśmy najsłabsi i najbardziej bezbronni. Tak, jakby tonącemu dołożyć drągiem w łeb.

Pani ordynator ma dość przewrotną teorię na temat pomocy, jakiej trzeba udzielić leczącemu się alkoholikowi. Otóż wymaga on pewnej opieki — nie w sensie dosłownym, chodzi raczej o opiekę moralną, wsparcie psychiczne, trochę zrozumienia, trochę czułości. Może mu tej opieki udzielić przyjaciel, ale najskuteczniej robi to kochająca kobieta. Żona. Tylko że ta żona, która uprzednio tyle złego przeżyła, już się do tego nie nadaje, ona już nie potrafi. Najlepszym sojusznikiem leczącego się alkoholika jest zatem — nowa żona!

Chyba podświadomie to wyczuwałem, kiedy po kilku latach dość „wesołego" życia w moim rodzinnym mieście, żeniłem się ponownie. Alina wiedziała sporo o mojej przeszłości. No, naturalnie, nie wszystko...

## POWROTY

Podczas mego trzymiesięcznego pobytu w szpitalu byłem kilkanaście razy świadkiem najsmutniejszego wydarzenia, jakie może się wydarzyć na oddziale. A zdarza się często. Powrót pacjenta. Po kilku miesiącach, po kilku tygodniach. Czasem po kilku dniach zaledwie. Oto żegnaliśmy go niedawno — opalonego, uśmiechniętego. Wyleczonego, często z esperalową „wszywką". Znowu jest wśród nas: leży na porodówce, trzęsie się jak norweskie gówno w śniegu, błaga o łyk wody kolońskiej czy czegokolwiek. Miesiące leczenia poszły na marne. Smutno się robi, spoglądamy na siebie ponuro. Myślimy: — Wychodzę za dwa tygodnie. Czy też wrócę? Kiedy wrócę?

Właśnie wrócił Barabuła. Schlany jak nieboskie stworzenie, z podbitym okiem i krwawym strupem na głowie. Szaleje, ma delirkę, trzeba go przywiązać do łóżka. Między jedną a drugą kroplówką troskliwi koledzy podsuwają wódkę i wynalazki. Kiedy wreszcie przestał chlać, zaczął szprycować się lekami psychotropowymi i zalewać czajem. Chodził po oddziale, pokrzykiwał, bredził. Wyleciał ze szpitala dyscyplinarnie, jak tu mawiają „wyleciał na kopach".

Wieczorem, po zgaszeniu świateł, tematem na dziś jest: „Co będę robić po wyjściu".

Generalnie pacjentów można podzielić na dwie kategorie: jedni, mimo że są na oddziale dobrowolnie, mówią jasno i wyraźnie: — Jak tylko anticol ze mnie trochę wywietrzeje, to dam w gaz. Naturalnie, nie będę chlał tak jak kiedyś. Teraz już potrafię się kontrolować. Biedni szaleńcy...

Drudzy, jest to grupa bardzo liczna, obiecują sobie długotrwałą abstynencję. Dwa, trzy lata. Zenek wyszperał gdzieś w podręczniku psychiatrii, że po siedmiu, ośmiu latach abstynencji alkoholik ma pewną szansę wrócić do kontrolowanego picia. Zakłada zatem abstynencję ośmioletnią. Nie znam nikogo, kto obiecywałby sobie dożywotnią abstynencję. Przepraszam, był taki jeden. Wrócił do szpitala po miesiącu... Nikt mnie tak nie zaskoczył, jak on. Młody, sympatyczny, inteligentny, przystojny, bez pamięci zakochany w żonie i dziecku. Po wielkim szoku, jakim był dla niego ostatni alkoholowy wyskok i pobyt w szpitalu, zaklinał się, że „do ust tej kurwy nie weźmie".

Bardzo szczególnym rodzajem powrotu był przypadek pana Kazia. Pan Kazio spędził w szpitalu dziewięć lat. Z przerwami, rzecz jasna. Leżał tu jeszcze w latach pięćdziesiątych, pamięta rzyganki, pamięta Roberta Tabusa.

Pan Kazio ma dobrze płatny zawód, ale postanowił resztę życia spędzić na oddziale. Zaangażował się jako salowy. Chce być jak najbliżej miejsca, gdzie go — w razie czego — mogą jeszcze uratować... Nie wiem, czy bierze anticol, ale nie widziałem go nigdy „w stanie wskazującym".

*Rys. Janusz Szymański-Glanc*

c.d.n.

CIA: TAJEMNICE „DEMOKRACJI"

2

# „Wolny Świat" przeciwko ZSRR

„Montowanie sieci agentów w Związku Radzieckim dostarczało CIA nieustannych strapień, chociaż nie osłabia ona oczywiście i nie osłabi swoich wysiłków w tym kierunku. Jak wiadomo, na tej drodze amerykańskie służby specjalne poniosły fiasko za fiaskiem. No dobrze, to jest sfera zainteresowań profesjonalistów. Jednakże CIA coraz usilniej stara się wciągnąć do działalności szpiegowskiej tych, którzy na pozór nie mają nic wspólnego z wywiadem i kontrwywiadem, a to musi mieć fatalny wpływ na stosunki amerykańsko-radzieckie. CIA mobilizuje pod swoje sztandary w praktyce wszystkich co do jednego Amerykanów, którzy odwiedzają ZSRR lub utrzymują takie czy inne kontakty z obywatelami Związku Radzieckiego w jakiejkolwiek dziedzinie, zwłaszcza zaś kontakty naukowe.

W obecnych czasach jest to rutynowa praktyka działania CIA, przy czym agencja ta oczekuje, że każdy Amerykanin, kontaktujący się z jakimkolwiek obywatelem ZSRR poinformuje o tym organ wywiadu USA. Najprawdopodobniej bywa i tak, że obywatele USA sprzeciwiają się żądaniom CIA, która — mówiąc bez ogródek — chce z nich zrobić szpiegów. Dociera to jednak do wiadomości publicznej tylko bardzo rzadko, bowiem po to, aby móc dać po łapach werbownikom z CIA, trzeba nie tylko odznaczać się niezwykłym męstwem, lecz także mieć mocną pozycję i wyczucie koniunktury — co można, a czego nie.

K. Generalez, 63-letni szacowny lekarz, specjalista z zakresu medycyny kosmicznej był bardzo zaskoczony, kiedy 1 maja 1972 r. zjawiła się u niego kobieta — jak sam później opowiadał — „lat około 20—25, z jasnymi włosami, bądź to źle ufarbowanymi, bądź po prostu brudnymi". Przedstawiła się jako Sh. Bears, pracownica CIA i okazała legitymację służbową. Zaczęła mówić takie rzeczy, że skłoniło to gospodarza do dyskretnego włączenia magnetofonu. Wiedziała, że Generalez ma pojechać na międzynarodowe sympozjum poświęcone medycynie kosmicznej, które miało się wkrótce odbyć w Miami. Jak opowiada Generalez oświadczyła, że „będzie tam dużo Rosjan" i chciała, żebym zapraszał ich na koktajle i dowiadywał się wszystkiego, co się da na temat tego, czym się zajmują i co myślą". Proponowano to uczonemu o światowym nazwisku, członkowi mnóstwa towarzystw naukowych, do niedawna jeszcze — prezesowi Towarzystwa Kardiologicznego w Nowym Jorku, itp. itd. Generalez odrzucił tę propozycję, a na znak protestu (przeciwko CIA!) nie pojechał na sympozjum.

2 września 1972 r. Bears znów dała o sobie znać. Zadzwoniła i zapytała, czy Generalez zamierza uczestniczyć w międzynarodowym kongresie medycyny kosmicznej, który ma się odbyć 18—21 września w Nicei. Z tych samych powodów, dla których nie pojechał do Miami, uczony nie udał się także do Francji. Ponadto zaś napisał gniewny list na adres, zostawiony mu przez Bears, stwierdzając w nim min.: „Oświadczam pani i jej kierownictwu, że ostatnia rozmowa, podobnie jak prośba z maja o zapisywanie na taśmie prywatnych rozmów z rosyjskimi specjalistami w dziedzinie kosmosu oraz informowanie was o nich, są nie na miejscu i ośmielę się dodać — są w najwyższym stopniu wstrętne. Już sam fakt, że resort szpiegowski zwraca się do człowieka, znanego ze swojej uczciwości jak np. ja, wystawia tym ludziom opinię bynajmniej nie pochlebną. Po dojrzałym namyśle postanowiłem napisać do pani o tym i bardzo proszę panią i jej kierownictwo o pozostawienie mnie w spokoju". 5 lutego 1973 r. w nocy dokonano włamania do gabinetu dr Generaleza, nieznani osobnicy przeszukali pomieszczenie, zabierając to i owo, łącznie z magnetofonem oraz taśmą, na której zarejestrowana była rozmowa z Bears.

Generalez złożył oczywiście skargę na policji. Nie dało to żadnego rezultatu. W tym właśnie czasie wybuchła wrzawa wokół sprawy Watergate i Generalez napisał list do generała Haiga, który podówczas dowodził „sztabem" prezydenta Nixona. W liście opowiedział całą historię obrzydliwego werbunku i poprosił o interwencję. 17 maja 1973 r. Haig odpowiedział na list, zapewniając, że FBI zbada sprawę. Żadnego rezultatu. Generalez doszedł najprawdopodobniej do wniosku, że Haig jest człowiekiem nazbyt zajętym — wkrótce miał zostać naczelnym dowódcą sił zbrojnych NATO w Europie. Tym razem więc zwrócił się bezpośrednio do prezydenta Geralda Forda. 10 września 1974 r. pisał tak: „Pamiętając o pańskich słowach przy obejmowaniu urzędu prezydenta... wzywających obywateli do nawiązywania z panem kontaktu... pragnę osobiście poinformować pana o tym, jak CIA usiłowała zrobić ze mnie nikczemnego szpiega".

Jak przystoi uczonemu, Generalez szczegółowo przedstawił istotę sprawy, ale odpowiedzi nie otrzymał. Wysłał do Białego Domu depeszę z przypomnieniem. 15 stycznia 1975 r. zaszczycono go odpowiedzią: korespondencji napływającej do prezydenta jest tak mnóstwo, że list Generaleza gdzieś się zagubił. Gdy tylko list się odnajdzie — kontakt z Generalezem na pewno zostanie nawiązany. Tak zakończyła się sprawa w oficjalnych instancjach.

Usłyszawszy o tej historii, publicysta D. Wise zrobił wywiad z Generalezem i między innymi zdobył od niego numer telefonu Bears, który oczywiście nie figurował w książce telefonicznej pod hasłem CIA. Wise dzwonił kilkakrotnie pod ten numer, ale nigdy nie zastał Bears. Za to do niego samego ktoś zadzwonił, zapytał, czy pisze jeszcze książkę o CIA i obiecał jeszcze przyjść, aby opowiedzieć co nieco o tym resorcie. Jednakże nie zjawił się. Pisząc o tym w swej książce, Wise z melancholią stwierdza, że przypadki włamywania się do domów i mieszkań, kiedy to sprawcy pozostają nieznani, są w USA na porządku dziennym. Co tam Generalez, który na fali Watergate chciał dotrzeć do prawdy! Członkowie komisji Franka Churcha, senatorowie Baker i Mathias poskarżyli się kompetentnym organom USA, że właśnie w drugiej połowie 1975 r., kiedy z ramienia tej komisji prowadzili „dochodzenia" w sprawie działalności CIA, FBI itp., nieznani osobnicy dostawali się do ich domów pod nieobecność gospodarzy, nie brali cennych przedmiotów ani pieniędzy, natomiast przewracali wszystko w gabinetach i przetrząsali papiery. Przedstawiciele resortów, będących przedmiotem „dochodzenia", z największym oburzeniem odrzucili przypuszczenia, że nocne naloty na domy senatorów są dziełem ich rąk. Włamywaczy oczywiście nie odnaleziono. Zrozumiałe więc są pewne przyczyny wielkiego zadowolenia np. senatora Bakera z tego, że komisja Franka Churcha nareszcie zakończyła swoje prace, jak to wspominaliśmy w poprzednich rozdziałach niniejszej książki.

Można z absolutną pewnością stwierdzić, że jeśli chodzi o jakiekolwiek kontakty Amerykanów z obywatelami ZSRR, to żaden z tych kontaktów, czy to osobisty, czy korespondencyjny, nie uchodzi uwagi CIA. Wszystkich bez wyjątku Amerykanów agenci resortu wypytują — bezpośrednio lub pośrednio. Inna sprawa, że tylko w wyjątkowych wypadkach przedostaje się to do wiadomości publicznej. Trzeba było aż ponurej sławy Lee Oswalda, uważanego za mordercę prezydenta Johna Kennedy'ego, aby tego rodzaju praktyki CIA ujawnione zostały w odniesieniu do danego przypadku. Oswald, człowiek zdecydowanie niezrównoważony psychicznie, w latach 1959—1962 przebywał w Związku Radzieckim, gdzie umożliwiono mu zamieszkanie i pracę w zakładach radiowych w Mińsku. Gdy tylko Oswald wrócił do USA, CIA natychmiast znalazła sposób aby go wybadać. Dokument służbowy CIA, formułujący zadanie podaje: „Jesteśmy szczególnie zainteresowani informacjami, jakich może dostarczyć Oswald o zakładach, w których pracował, o pewnych dzielnicach Mińska i... danymi biograficznymi, niezbędnymi do sporządzenia dokumentacji poszczególnych osób... Nie naciskajcie jednak (na niego) przy zbieraniu potrzebnych nam informacji, to dziwny człowiek... (i dlatego) wykorzystajcie odpowiednie kanały". Po zamordowaniu Johna Kennedy'ego, kiedy ludzie, prowadzący dochodzenie w sprawie śmierci prezydenta dowiedzieli się o zainteresowaniu CIA Oswaldem, resort ten odżegnał się od wszystkich twierdząc, że nie śledzono Oswalda, i tyle.

Jednakże w książce o Oswaldzie, która ukazała się w 1978 roku, jej autor, D. Epstein podaje, że udało mu się porozmawiać z pewnym, nie ujawnionym z nazwiska „psychologiem" z Waszyngtonu, specjalizującym się w przeprowadzaniu pośrednich przesłuchań na zlecenie CIA i innych resortów rządowych. Jeden z oficerów CIA, zajmujący się operacyjną pracą z agentami, polecił mu latem 1962 r. wybadanie Amerykanina, który niedawno powrócił z ZSRR. „Psycholog" spotkał się z tym człowiekiem w ogrodzie na dachu hotelu „Roger Smith" i wysłuchał historii o jego wyjeździe do ZSRR przed kilkoma laty, o tym, jak ożenił się z Rosjanką, a następnie postanowił wrócić do USA. Psycholog odnotował krańcowy egocentryzm tego człowieka, graniczący z manią wielkości, a także jego odstręczającą manierę autoafirmacji. W listopadzie 1963 r., kiedy zobaczył w gazetach zdjęcie Oswalda, rozpoznał w nim człowieka, którego na zlecenie CIA poddał pośredniemu przesłuchaniu. Jednakże w 1977 r., gdy rozmawiał z nim Epstein, psycholog nie był pewien, czy rzeczywiście człowiekiem tym był Oswald, ponoć dlatego, że od momentu przesłuchania na dachu hotelu upłynęło już 15 lat.

Z przeznaczeniem dla komisji Churcha, a skoro zostało to opublikowane — także dla ogółu społeczeństwa, były dyrektor CIA, R. Helms stwierdził oczywiście, że centrala nie widzi niczego szczególnego w opisanych wyżej praktykach. Oświadczył on, że od czasów drugiej wojny światowej, Amerykanin, który powracał z podróży zagranicznej odbytej w jakimkolwiek celu, był indagowany przez wywiad wojskowy, wywiad marynarki wojennej, pracowników Departamentu Stanu i innych resortów. Gdy powstała CIA, sprawy przesłuchiwania Amerykanów wyjeżdżających za granicę skoncentrowano w jednym miejscu — w naszym resorcie... Na przykład prezes jakiegoś koncernu stalowego z Nowego Jorku podróżuje po ZSRR, zwiedza tam takie czy inne zakłady hutnicze, a my chcielibyśmy znać ich potencjał produkcyjny, wiedzieć, co wytwarzają itp. Po powrocie prezesa współpracownicy CIA wypytują go o wszystko, co widział. Nie wywieramy nacisku, nie płacimy pieniędzy i nie próbujemy stosować przymusu fizycznego. Po prostu dajemy Amerykanom, którzy byli za granicą, okazję do wykazania się patriotyzmem dzięki temu, że opowiedzą nam wszystko, czego się dowiedzieli".

Sprawa jest jasna i nie wymaga chyba dodatkowych komentarzy. Według kompetentnej opinii pana Helmsa, wypowiedzianej bez żenady przed komisją senacką, w USA profesja szpiega i amerykański patriotyzm to jedno i to samo.

Archiwa, zgromadzone w bibliotece prezydenta Lyndona Johnsona, rzucają pewne światło na uniwersalność takich praktyk.

Oprócz zbierania informacji, wyjazdy obywateli amerykańskich za granicę organizowane są też niekiedy pod kątem prowadzenia „wojny psychologicznej" w samych Stanach Zjednoczonych. Te operacje służb specjalnych przygotowywane są i zatwierdzane na najwyższym szczeblu. Odtajnione w 1979 r. dokumenty z tego archiwum Johnsona zawierają pouczający w tym względzie przykład, który dotyczy czasu, gdy w USA przybierał na sile ruch przeciwko wojnie w Wietnamie.

7 maja 1965 r. pracownik aparatu Białego Domu, J. Valenti raportuje prezydentowi Johnsonowi: „Wspólnie z aparatem Bundy'ego (doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego) pracujemy nad zorganizowaniem w miasteczkach studenckich kontrofensywy przeciwko ruchowi beatników działających pod hasłem „Precz z Wietnamu". Utworzyliśmy własne siły przeciwdziałania, nazwane „Amerykańscy przyjaciele Wietnamu", kierowane są one przez „dobrych profesorów, a finansujemy je z prywatnych źródeł".

Te „prywatne źródła" są dobrze znane — mowa tu o funduszach CIA. Zgodnie z tym planem, do Wietnamu zaczęto posyłać specjalnie dobranych studentów, którzy po powrocie do USA agitowali za kontynuowaniem agresji. 3 września 1965 r. jeden z bezpośrednich organizatorów operacji, Cooper w raporcie zatytułowanym „Wykorzystanie 19 studentów, powracających z Wietnamu" meldował Valentiemu i Bundy'emu o nadziejach związanych z kolejną „brygadą agitacyjną":

„Jak wam wiadomo, cel wysłania studentów do Wietnamu polegał na tym, aby przekonać ich o konieczności naszych wysiłków w tym kraju (tj. eskalacji wojny — przyp. autora), a następnie mieć ich w pogotowiu jesienią, na początku roku akademickiego, w miasteczkach studenckich, dla przeciwdziałania wystąpieniom (przeciwko wojnie). Odpowiednie urabianie ich w Sajgonie przebiegało bardzo dobrze i teraz wszyscy oni, co do jednego, stali się entuzjastycznymi zwolennikami polityki rządu w najszerszym sensie... Wydaje mi się jednak że powinniśmy wykazać pewną ogledność i nie przeciążać ich żądaniami, aby przystąpili do świadczenia odpowiednich usług natychmiast po powrocie do USA. Jest to konieczne, aby uniknąć zdania sobie przez nich sprawy, że wyjazd był zorganizowany w tym właśnie celu, jak to niektórzy z nich podejrzewali początkowo".

Jakże podła robota CIA kryje się za suchymi sformułowaniami tych urzędniczych dokumentów! Przyjrzeli się, sprawdzili i wybrali kandydatów do podróży za granicę. Szczegółowo rozpisali ich role po powrocie do USA. Ale nie daj Boże, aby sami zaufani „propagandyści" zrozumieli do końca, że są po prostu agentami CIA! Wewnątrz tej grupy agentów musi być jeszcze jedna „agentura", bo jakże inaczej da się wytłumaczyć wynikająca z przytoczonych dokumentów doskonałą orientację Coopera w nastrojach, jakie panowały w tej superściśle sprawdzonej grupie studentów...

Tak wyglądają w rzeczywistości amerykańskie szablony na temat „swobodnej" wymiany, szerokich kontaktów itp., wchodzące w oficjalne słownictwo Waszyngtonu.

M. Copeland, zawodowiec, który dziesiątki lat przesłużył w CIA, w swojej książce o współczesnym amerykańskim szpiegostwie wyjaśnia z nie mniejszym spokojem niż Helms senatorom: „Liczba zwykłych obywateli USA, zwracających się do konsulatów radzieckich o wizy turystyczne, jest znaczna. Myli się jednak ten, kto złośliwie (w mniemaniu Helmsa, Copelanda i innych — przyp. aut.) przypuszcza, że uda mu się w tajemnicy przed nami przedostać do instytucji dyplomatycznych bloku (tak nazywane są kraje socjalistyczne — przyp. aut.), zjawiając się np. nagle na przyjęciu, albo też zwracając się o wizę. Niemal we wszystkich miastach na Zachodzie, gdzie są przedstawicielstwa dyplomatyczne i konsularne krajów bloku, wszystkie osoby, które tam wchodzą, dostają się pod ścisłą kontrolę, zawsze można ustalić, kto z odwiedzających ma dostęp do tajemnic państwowych i czyja nielojalność może mieć niebezpieczne następstwa. Po dokonaniu identyfikacji tacy goście stają się przedmiotem intensywnych dochodzeń".

Przeprowadzając takie dochodzenie, CIA — jak widzieliśmy i jak jeszcze zobaczymy — nie jest ograniczona żadnymi ramami, nawet formalnej zaoceanicznej praworządności.

I wreszcie sprawa korespondowania obywateli USA z adresatami w krajach socjalistycznych. Od 1952 r. CIA, do której przyłączyła się FBI, kontrolowała wszystkie bez wyjątku wchodzące przesyłki pocztowe i telegraficzne. Otwierano i czytano absolutnie wszystkie listy, a z „ciekawych" zrobiono kopie. W CIA żywiono nadzieję, że lustrując korespondencję z krajami socjalistycznymi uzyska się potwierdzenie własnych wyssanych z palca tez o „infiltracji" Rosjan i o innych zagadkowych sprawach. Nikt z CIA nie wątpił w sukces tego przedsięwzięcia, a dlaczego — można się dowiedzieć z amerykańskich studiów na temat wywiadu politycznego w USA. Stwierdza się tam, że „w 1976 r. szef kontrwywiadu CIA, James Engleton wyjaśnił, dlaczego uważa, iż otwieranie korespondencji powinno dostarczyć pożytecznych informacji. Rosjanie — powiedział — myślą, że dochowujemy wierności zasadom konstytucji i nie otwieramy listów."

Obejrzawszy wiele dziesiątek milionów listów, luminarze administracyjni z CIA nie znaleźli tego, czego szukali, natomiast spotkały ich drobne nieprzyjemności.

Kiedy podczas dochodzeń sprawdzonych w połowie lat siedemdziesiątych, wyszło na jaw, że listy np. senatorów Churcha i Kennedy'ego, Richarda Nixona, członków rodziny Rockkefellerów i innych znamienitych osobistości były otwierane, doszło do małego skandalu. To wtedy właśnie James Engleton wydusił z siebie przytoczone wyżej wyjaśnienie, jakimi motywami kierowała się CIA, wtykając nos do prywatnej korespondencji. Ponieważ zaś dochodzenia toczyły się pod hasłem przywracania „praworządności", kierownictwo CIA zapewniło, że resort nie będzie już po złodziejsku zaglądać do cudzych listów — z wyjątkiem tych wypadków, kiedy samo „prawo" zażąda tego w trybie rozkazującym.

W kwietniu 1980 r. ówczesny dyrektor CIA, admirał Turner pojawił się na zjeździe amerykańskiego stowarzyszenia wydawców gazet. Zadawano mu tam uszczypliwe pytania na temat dawnych praktyk CIA i posługiwania się dziennikarzami. Bez mrugnięcia okiem admirał oświadczył, że nie może przyobiecać, iż CIA nie będzie posługiwać się dziennikarzami dla własnych celów. Kilka dni później, na briefingu dla redaktorów gazet prowincjonalnych, prezydent Carter potwierdził to stanowisko Turnera.

Przedstawiciele „wolnej" prasy wprawiła zapewne w zakłopotanie szczerość wypowiedzi administracji, wyjaśnili więc sprawę samym sobie na małym sympozjum — serią artykułów, które stały się ozdobą lipcowo-sierpniowego (1980 r.) numeru biuletynu wspomnianego amerykańskiego stowarzyszenia wydawców gazet. Ten zbiór artykułów otrzymał sugestywny tytuł: „CIA a dziennikarze", zaś wypowiedzi były takie, że nie pozostawiły najmniejszej wątpliwości co do tego, iż adepci drugiego najstarszego zawodu świata z gotowością wykonają wszelkie nakazy CIA. B. Shulman („Louisville Times") skwapliwie przeprowadził wywiad z Turnerem, który najspokojniej potwierdził: „Dziennikarze powinni zrezygnować ze swej uznawanej niezależności i służyć rządowi, jeżeli prezydent i przewodniczący komisji Kongresu, sprawującej pieczę nad CIA poprą dyrektora agencji. Patriotyzm wymaga wykonywania tajnych zadań".

Przewodniczący komisji senackiej ds. wywiadu, senator W. Huddleston dodał do tego: „W pierwotnym wariancie ustawy o statucie CIA, która ma być uchwalona, figurował zakaz angażowania przez CIA dziennikarzy, duchownych i uczonych do wykonywania poufnych zadań. Na osobistą prośbę prezydenta zakaz ten został usunięty".

Ch. Houser (redaktor „Providence Journal and Bulletin") z 24-letnim opóźnieniem opowiedział pewien epizod swoich stosunków z CIA. W 1956 r. wraz z kolegą odwiedził Moskwę, zaś po powrocie napisał cykl artykułów o swojej podróży. „Tydzień czy dwa później zadzwonił do mnie pracownik CIA. Oświadczył, że zainteresowały go moje materiały i chciałby porozmawiać ze mną o pobycie w Rosji. A może przypadkiem mam jeszcze inne zdjęcia, oprócz tych, które zostały zamieszczone w gazecie? Całe setki, odpowiedziałem z niekłamaną dumą reportera, którego talent został dostrzeżony. Powiedział, że chciałby je obejrzeć, więc czy mogę mu dać negatyw na tydzień — dwa?

Spotkaliśmy się w hallu hotelu „Barringer" (już nie pamiętam, czy zastanawiałem się nad tym, dlaczego nie spotkaliśmy się w redakcji). Pogadaliśmy z godzinkę, głównie o zdjęciach, które ze sobą przyniosłem. Zabrał pudełko od butów, pełne 35-milimetrowych negatywów, które zgodnie z obietnicą zwrócił mi po dwóch tygodniach. Nie pytał o moje notatki, ale gdyby zapytał, najprawdopodobniej dałbym mu je także.

Służyłem 3 lata w wojsku (w tym przez krótki czas pełniłem funkcję oficera wywiadu w dywizjonie artylerii), więc podczas spotkań z pracownikami CIA zdawałem sobie doskonale sprawę, że wywiadowcy z niezliczonych szczegółów tworzą pożyteczne informacje.

Nigdy nie stawało przede mną pytanie, czy powinienem współpracować z CIA. Jestem obywatelem USA, a mój rząd poprosił mnie o pomoc".

Oto pełna prostoty, chociaż niezbyt wzruszająca opowieść dziennikarza — „patrioty". Jeśli zaś chodzi o tych nielicznych dziennikarzy, którzy uważają współpracę z CIA za rzecz nieetyczną, to redaktor „Houston Times", E. Hunter wyjaśnia na początku: „Niezbyt przyjemnie jest występować w roli, która pewni moi koledzy scharakteryzują określeniem „apologeta CIA". Piękne słowa! Jednym tchem Hunter podkreśla dalej: „Wybierajcie bardzo starannie okoliczności i czas naszej konfrontacji. Jeżeli te czynniki nie są sprzyjające, nie decydujcie się na nią. Teraz nie takie sprawy i nie takie czasy, żeby to robić".

Krótko mówiąc, tak było i tak będzie. Warto pamiętać o prostodusznych wypowiedziach amerykańskich dziennikarzy, kiedy spotykamy się z nimi podczas wykonywania obowiązków służbowych...

NIKOŁAJ JAKOWLEW

PHILIP K. DICK

# Elektryczna mrówka 2

Tok jego myśli urwał się. Wewnątrz siedział ktoś w fotelu i oglądał przygody kapitana kirka w telewizji.

— Sara — rzekł poirytowany. Wstała. Była niezbyt szczupła, ale zgrabna.

— Ponieważ nie znalazłam cię w szpitalu, przyszłam tutaj. Mam jeszcze klucz, który mi dałeś wtedy, w marcu, po tej okropnej kłótni między nami. Ach! ...martwisz się czymś? — podeszła bliżej patrząc mu niespokojnie w oczy.

— Bardzo cię boli?

— Nie o to chodzi — zbył ją. Zdjął marynarkę, krawat, koszulę i wreszcie pokrywę klatki piersiowej. Uklękł i zaczął wciskać ręce w mikrorękawice. Zatrzymał się na chwilę i spojrzał na nią.

— Dowiedziałem się właśnie, że jestem elektryczną mrówką, co z pewnego punktu widzenia stwarza mi możliwości, które mam zamiar wypróbować. Poruszył palcami i z końca lewego manipulatora podniósł się mikrowkrętak doprowadzony na ekranie powiększacza do widzialnych rozmiarów.

— Jeżeli chcesz, możesz patrzeć — poinformował ją. Zaczęła płakać.

— O co ci chodzi! — wrzasnął nie odrywając oczu od pracy.

— Ja... To takie przykre. Byłeś dla wszystkich w Tri—Plan takim dobrym kierownikiem. Wszyscy cię tak szanowali. A teraz wszystko się zmieniło.

Plastykowa taśma miała górą i dołem nieperforowany margines. Wyciął z niego bardzo wąski poziomy pasek po czym, po chwili głębokiego namysłu, przeciął taśmę w miejscu odległym o cztery godziny od wejścia do głowicy odczytującej. Następnie obrócił wycięty pasek prostopadle względem głowicy i wspawał go między końce przeciętej taśmy używając do tego celu mikrogrzałki. Na koniec przymocował rolkę z lewej i prawej strony. W ten sposób wstawił w rozwijający się ciąg swojej rzeczywistości martwe dwadzieścia minut, które, według jego obliczeń powinny się zrealizować kilka minut po północy.

— Naprawiasz się? — spytała nieśmiało Sara.

— Zamrażam się — odpowiedział Poole. Miał jeszcze kilka pomysłów. Najpierw jednak musiał potwierdzić swoją teorię. Pełna taśma, bez otworków, miała oznaczać brak bodźców. Wobec tego brak taśmy...

— Widze z twojej twarzy co czujesz — powiedziała Sara. Zaczęła zbierać swoje rzeczy: torebkę, płaszczyk, zwinięty tygodnik aud-vid.

— Pójdę. Widzę, że niepotrzebnie przyszłam.

— Poczekaj — powiedział. — Obejrzę z tobą kapitana kirka. — Założył koszulę.

— Pamiętasz, jak kilka lat temu mieliśmy w telewizji... zaraz ile to było? Dwadzieścia czy dwadzieścia dwa kanały? Zanim rząd pozamykał stacje niezależne. — Kiwnęła głową.

— Ciekawe jak by to wyglądało — powiedział — gdyby nasz odbiornik zaczął pokazywać na tym katodowym ekranie wszystkie programy jednocześnie.

Czy w takiej mieszance można by coś rozróżnić?

— Nie wydaje mi się.

— A może można by się tego nauczyć. Nauczyć się wybierać. Samemu decydować o tym, co chcemy, a czego nie chcemy widzieć. Pomyśl tylko o otwierających się możliwościach. Jeżeli nasz mózg potrafiłby odbierać dwadzieścia obrazów na raz, pomyśl jaki zasób wiadomości można by zgromadzić w określonym czasie. Ciekawe czy ludzki mózg — przerwał — nie, ludzki mózg temu nie podoła — powiedział po chwili zastanowienia. — Ale mózg półorganiczny, teoretycznie mógłby.

— To ty masz taki?

— Tak — odpowiedział Poole.

Obejrzeli do końca przygody kapitana kirka, a potem poszli do łóżka. Ale Poole usiadł oparłszy się o poduszki. Palił i rozmyślał. Obok Sara kręciła się niecierpliwie, zastanawiając się, dlaczego nie gasi światła.

Za dziesięć dwunasta. Może się zacząć lada chwila.

— Saro — powiedział — potrzebuję twojej pomocy. Za kilka minut stanie się ze mną coś dziwnego. To nie będzie trwało długo, ale proszę, żebyś mnie uważnie obserwowała. Żebyś zwróciła uwagę — zrobił gest ku sobie — czy się jakoś nie zmienię. Czy usnę, albo czy będę bredził, albo... chciał powiedzieć: czy nie zniknę, ale zmilczał. — Nie zrobię ci krzywdy, ale myślę, że lepiej żebyś była uzbrojona. Masz przy sobie swój pistolet samoobronny?

— W torebce — ożywiła się. Usiadła na łóżku i patrzyła na niego z dzikim przestrachem. W oświetleniu mieszkania jej silne ramiona wyglądały jak opalone i pokryte piegami. Znalazł w torebce małych rozmiarów pistolet i podał jej. Nagle cały pokój zesztywniał od stanu paralitycznej nieruchomości. Potem zaczęły płowieć barwy. Wszystkie przedmioty stawały się coraz mniejsze, aż, na kształt dymu, zmieniły się w cienie. Ciemność zakrywała powoli wszystko i przedmioty w pokoju widać coraz słabiej i słabiej.

Zamierają ostatnie bodźce, uświadomił sobie Poole. Otrząsnął się starając się zobaczyć coś jeszcze. Rozróżnił Sarę Benton siedzącą na łóżku. Dwuwymiarowa figurka, która, jak kukiełka na patyku, została tu wstawiona po to, aby stopniowo zblaknąć i zniknąć.

Przypadkowe fale zdematerializowanej substancji błądziły jak chmury w zmiennym wietrze. Poszczególne kawałki łączyły się, rozpadały i znowu sie łączyły. A potem już ostatecznie znikły i ciepło, i energia, i światło. Pokój zamknął się w sobie jakby odłączony od rzeczywistości. W tym momencie wszystko zostało zastąpione przez doskonałą czerń. Przestrzeń bez głębi. Nie była to czerń nocna, ale czerń sztywna i nieustępliwa. Do tego wszystkiego przestał słyszeć.

Chciał sięgnąć, żeby czegoś dotknąć. Ale nie miał czym sięgnąć. Świadomość istnienia własnego ciała opuściła go wraz ze wszystkim co istniało we Wszechświecie. Nie miał rąk, a nawet gdyby je miał, nie było nic, czego by mógł nimi dotknąć.

— A więc prawidłowo się domyśliłem, w jaki sposób działa ta przeklęta taśma — rzekł sam do siebie przekazując niewidzialną wiadomość nie istniejącymi ustami.

Czy to się skończy w ciągu dziesięciu minut? — zadawał sobie pytanie. Czy tu też miałem rację? Czekał... ale intuicyjnie zdawał sobie sprawę, że jego poczucie upływu czasu opuściło go wraz ze wszystkim innym. Cóż, mogę tylko czekać, stwierdził. I mieć nadzieję, że to nie potrwa długo.

Aby się uspokoić, pomyślał, będę sobie układał encyklopedię. Spróbuję zebrać wszystkie słowa na A. Zaraz... zastanawiał się. Alkohol, automobil, aksetron, atmosfera, Atlantyk, aromat, apel — myślał i myślał, a znaczenia słów płynęły przez spłoszony umysł.

Nagle pojawiło się światło.

Stwierdził, że leży na kanapie w salonie, a przez jedyne okno wpada rozproszone światło słoneczne. Nad nim pochylało się dwóch ludzi z garściami pełnymi narzędzi. Konserwatorzy, pomyślał. Naprawili mnie.

— Odzyskał przytomność — powiedział jeden z techników. Wyprostował się i odstąpił do tyłu. Jego miejsce zajęła rozdygotana z niepokoju Sara Benton.

— Dzięki Bogu — westchnęła mokrym oddechem w ucho Polle'a. — Jak ja się strasznie bałam. W końcu zawiadomiłam pana Dancemana...

Co się stało? — przerwał jej szorstko. — Zacznij od początku i, na miłość boską, mów powoli, żebym to wszystko mógł pojąć. Sara opanowała się, wytarła nos dla zyskania na czasie i zaczęła nerwowo:

— Straciłeś przytomność. Leżałeś jak nieżywy. Czekałam do wpół do trzeciej i nic się nie działo. Zadzwoniłam do pana Dancemana i musiałam go niestety obudzić, a on wezwał konserwatorów od elektrycznych mrówek, to jest chciałam powiedzieć, od organicznych robotów, i ci dwaj przyszli jakieś za piętnaście piąta i cały czas siedzą przy tobie. Teraz jest piętnaście po szóstej rano. Jest mi zimno i chce mi się spać. Nie mogę dziś iść do biura. Naprawdę nie jestem w stanie. — Odwróciła się pociągając nosem. Odgłos ten zirytował go. — Manipulowałeś przy taśmie odbioru rzeczywistości — powiedział jeden z ubranych w służbowy strój techników.

— Tak — odrzekł Poole. Nie widział powodu, aby zaprzeczać. Jasne, że znaleźli wstawkę z niepodziurkowanej taśmy.

— Nie powinienem być tak długo nieprzytomny — dodał. — Wstawiłem odcinek na nie więcej niż dziesięć minut.

— Taśma się zatrzymała — wyjaśnił technik. — Spowodował to wstawiony kawałek, który się zakleszczył i mechanizm posuwu wyłączył się, żeby nie spowodować zerwania taśmy. Ale co ci przyszło do głowy, żeby się z tym bawić? Nie zdajesz sobie sprawy, czym to grozi?

— Nie jestem pewien — odrzekł Poole.

— Ale masz chyba jakieś pojęcie?

— Właśnie dlatego to zrobiłem — odpowiedział zjadliwie.

— Rachunek wyniesie dziewięćdziesiąt pięć żabek — rzekł technik. Może być ewentualnie rozłożony na raty.

— OK — powiedział Poole. Usiadł z lekkim zawrotem głowy. Przetarł oczy i wykrzywił się. Głowa go bolała, a w żołądku czuł pustkę.

— Następnym razem zetnij trochę taśmę z szerokości — powiedział starszy z techników. — Wtedy się nie zakleszczy. Nie pomyślałeś, że jest ona zaprojektowana z uwzględnieniem zabezpieczenia? Powoduje to zatrzymanie mechanizmu w razie gdyby...

— Co się stanie — rzekł Poole spokojnym, cichym głosem — jeżeli pod głowicą odczytującą nie będzie taśmy? Żadnej taśmy. Nic. Fotokomórka pracuje bez żadnej impedancji. — Technicy popatrzyli po sobie.

— Wszystkie obwody neuro zamkną się i spowodują zwarcie — powiedział jeden z nich.

— No i co?

— No i koniec całego urządzenia.

— Skontrolowałem cały układ — powiedział Poole. — Napięcie jest zbyt niskie, aby doszło do czegoś takiego. Pod tak małym obciążeniem prądowym metal nie może ulec zespawaniu, nawet gdyby końcówki się stykały. To przecież milionowe części wata przekazywane przez kanał cezowy o długości mniej więcej jednej szesnastej cala. Przypuśćmy, że w jednym momencie otworki w taśmie dają możność utworzenia miliarda kombinacji. Całkowite wyjście nie jest kumulatywne. Wielkość prądu zależy od tego, ile na dany moduł jest przydzielane przez akumulator. A to jest niewiele. Nawet przy wszystkich bramkach otwartych i pracujących.

— Myślisz, że cię oszukujemy? — spytał zmęczonym głosem jeden z techników.

— Czemu nie? — odrzekł Poole. — Mam szanse doświadczenia wszystkiego! I jednocześnie. Poznania wszechświata w całości. Być przez chwilę w kontakcie z całą rzeczywistością. Być świadkiem czegoś, czego nie może poznać żaden człowiek. Cały symfoniczny zapis byłby odbierany przez mój mózg poza wymiarem czasu. Wszystkie tony i wszystkie instrumenty brzmiące w jednej chwili! I wszystkie symfonie. Rozumiecie?

— Spalisz się — powiedzieli obaj technicy jednocześnie.

— Nie sądzę — rzekł Poole.

— Napiłby się pan kawy, panie Poole? — spytała Sara.

— Proszę — odrzekł Poole. Spuścił nogi na podłogę. Przywarł stopami do chłodnej posadzki i wzdrygnął się. Wstał. Był cały obolały. Biorąc wszystko pod uwagę, mogli jednak wykazać nieco więcej troskliwości. Trzymali mnie na kanapie przez całą noc — przypomniał sobie.

W odległym kącie pokoju Garson Poole popijał kawę siedząc naprzeciw Sary przy kuchennym stole. Technicy już dawno poszli.

— Chyba już nie będziesz robił więcej eksperymentów na sobie — spytała Sara, z nadzieją w głosie.

— Chcę sterować czasem — odrzekł z niechęcią Poole. — Odwrócić czas. Wytnę kawałek taśmy, pomyślał, i wspawam ją tył na przód. To spowoduje odwrócenie zwykłej kolejności wydarzeń. W wyniku tego zejdę tyłem po schodach z lądowiska na dachu, z powrotem do drzwi, pchnięciem otworzę zatrzask, podejdę do zlewozmywaka i wydobędę stos brudnych naczyń. Usiądę przy stole i napełnię każdy z talerzy jedzeniem wyprodukowanym w żołądku... Następnie przełożę jedzenie do lodówki, a następnego dnia wyjmę je, zapakuję i zaniosę do supermarketu, gdzie porozkładam paczki po różnych półkach. W końcu, przy głównej kasie, wypłacą mi za to wszystko pieniądze z automatu kasowego. Potem jedzenie zostanie zapakowane wraz z innymi porcjami w wielkie, plastykowe pojemniki i wysłane z miasta do hydroponicznych plantacji na Atlantyku, gdzie zostanie przyłączone do organizmów drzew, krzewów i martwych zwierząt lub wepchnięte głęboko w ziemię. Ale co by miało z tego wynikać? Taśma video puszczona do tyłu... Nie dowiem się niczego ponad to, co i tak już wiem i co mi nie wystarcza.

Uświadomił sobie, że w istocie pragnął mieć choć przez jeden moment świadomość pełnej i absolutnej rzeczywistości. Co się stanie potem, nieważne, bo wszystko już będzie znane i nie zostanie nic, co należałoby jeszcze zobaczyć i pojąć.

Mógłbym, pomyślał, zanim zacznę wycinać taśmę, popróbować jeszcze jednej zmiany. Gdyby tak wykonać jakieś dodatkowe otworki i zobaczyć co z tego wyjdzie. To by było interesujące doświadczenie, ponieważ nie miałbym pojęcia co te otworki kodują.

Przy pomocy mikronarzędzia wyciął na chybił — trafił kilka otworków w taśmie, możliwie jak najbliżej głowicy odczytującej.

...Nie chciał czekać.

— Ciekawe czy i ty coś zobaczysz — rzekł do Sary. Zapewne nic — jak mógł przypuszczać.

— Może się coś pojawić — powiedział. — Tylko cię uprzedzam. Nie chciałbym, żebyś się przestraszyła.

— Rany — powiedziała metalicznym głosem Sara.

Sprawdził godzine na ręcznym zegarku. Minęła minuta, potem druga... trzecia... Pośrodku pokoju pojawiło się stadko zielonych i czarnych kaczek. Kwakały podniecone. Zerwały się z podłogi i trzepotały o sufit masą piór i skrzydeł, rozjątrzone gwałtowną chęcią ucieczki.

— Kaczki — rzekł ze zdziwieniem Poole. — Wyciąłem otwór kodujący lot dzikich kaczek.

Następnie zjawiło się coś nowego. Parkowa ławka, a na niej oberwaniec w podeszłym wieku, czytający porwany i pognieciony kawał gazety. Podniósł głowę, popatrzył półprzytomnie na Poole'a, uśmiechnął się do niego kiepsko wykonaną sztuczną szczęką i wrócił do swojej gazety. Czytał dalej.

— Widzisz go? — spytał Poole Sarę. — A kaczki? — W tym momencie kaczki i parkowy włóczęga znikły. Nie pozostało z nich nic. Ich czas, wyznaczony za pomocą otworków perforacji, szybko minął.

— To nie było rzeczywiste — rzekła Sara — nieprawdaż? A więc jak?

— Sama nie jesteś rzeczywista — odparł. — Ty jesteś stymulatorem na mojej taśmie odbioru rzeczywistości. Otworkiem, który można zalepić. Czy twoje istnienie znajduje się również na jakiejś innej taśmie rzeczywistości, czy też w rzeczywistości obiektywnej? — Tego nie wiedział i nie umiał powiedzieć. Prawdopodobnie Sara też nie wiedziała. Być może, istniała ona na tysiącu taśm rzeczywistości. Być może, istniała na wszystkich taśmach rzeczywistości, jakie były kiedykolwiek wyprodukowane.

— Jeżeli wytnę taśmę — powiedział — to będziesz znajdować się wszędzie i nigdzie. Tak samo jak wszystkie rzeczy we wszechświecie. Przynajmniej o tyle, o ile ja jestem ich świadomy.

— Ale ja jestem przecież rzeczywista — Sara była zaskoczona.

— Muszę cię poznać dokładnie — powiedział Poole. — I dlatego muszę wyciąć tę taśmę. Jeżeli nie zrobię tego teraz, to będę to musiał zrobić kiedy indziej. Dojdzie do tego nieuchronnie. A więc po co czekać — rzekł do siebie. — A poza tym, jest bardzo możliwe, że Danceman zawiadomił już mojego konstruktora o wszystkim i będą się już starali mnie unieszkodliwić, ponieważ zagrażam ich własności, czyli sobie samemu.

— Kiedy cię słucham, zaczynam żałować, że mimo wszystko nie poszłam jednak do biura — usta Sary były wykrzywione grymasem przygnębienia.

— Idź.

— Nie chcę cię zostawić samego.

— Nic mi nie będzie.

— Obawiam się że będzie. Przecież chcesz się odbezpieczyć, czy coś w tym rodzaju. Chcesz się zabić, bo się dowiedziałeś, że jesteś elektryczną mrówką, a nie istotą ludzką.

— Być może — odpowiedział po zastanowieniu. — Być może, na to w końcu wychodzi.

— I ja nie zdołam się powstrzymać?

— Nie — zgodził się.

— Ale i tak zostanę. Nawet jeżeli nie będę mogła cię powstrzymać. Bo jeżeli pójdę, a ty się zabijesz, to do końca życia będę sobie wyrzucała, że może nie zrobiłam wszystkiego, co by ci mogło w tym przeszkodzić. Rozumiesz?

Zgodził się znowu.

— No więc zaczynaj — rzekła Sara.

Wstał.

— To nie będzie bolało — powiedział do niej.

— Chociaż może to ci się tak wydawać. Pamiętaj, że roboty organiczne mają obwody bólu bardzo zredukowane.

To będzie najbardziej intensywne przeżywanie...

— Przestań gadać — przerwała. Rób już, co masz robić, albo nie rób, jeżeli się rozmyśliłeś.

Niezgrabnie — był przestraszony — wbił dłonie w mikrorękawice i sięgnął po niewielkie narzędzie. Był to ostry nożyk.

— Tylko przetnę taśmę zamontowaną w mojej klatce piersiowej — powiedział patrząc w mikroskopowy układ powiększacza. — I nic więcej.

Ręka trzymająca nożyk drżała. Można to zrobić w ciągu jednej sekundy, uświadomił sobie. I wszystko skończone. Ale... będę miał czas żeby jeszcze zespawać końce taśmy, pomyślał. Co najmniej pół godziny. Na wypadek gdybym się rozmyślił... Przeciął taśmę.

— Nic się nie stało — wyszeptała, przyglądając mu się, Sara.

— Mam jeszcze trzydzieści do czterdziestu minut.

Wyjąwszy ręce z rękawic usiadł z powrotem przy stole. Jego głos, jak zauważył, drżał. Niewątpliwie Sara to spostrzegła i był zły na siebie, że ją zaniepokoił.

— Przepraszam — powiedział bez powodu. Chciał jej dać jakieś zadośćuczynienie.

— Może jednak powinnaś iść — powstał z przestrachem. Ona wstała również, jakby go naśladując. Tak samo odrętwiała i podenerwowana stała z bijącym sercem.

— Idź — powiedział bezładnie. — Idź do biura, na swoje stanowisko pracy. — Zespawam taśmę, pomyślał. To jednak kosztuje mnie zbyt wiele nerwów.

Sięgnąwszy po mikrorękawice wciągnął je po omacku na oporne palce. Spojrzał w ekran mikroskopowego układu powiększacza i zobaczył wiązkę światła biegnącą ku górze, wprost do głowicy odczytującej. Jednocześnie zobaczył jak koniec taśmy znika pod krawędzią głowicy... zrozumiał. Spóźniłem się, stwierdził. Uciekła. Boże pomóż, pomyślał. Widocznie zaczęła iść z większą prędkością niż to sobie obliczyłem. A więc to już.

Zobaczył jabłka, kamienie w bruku i zebry. Poczuł ciepłą, jedwabistą powierzchnię tkaniny. Poczuł przebój oceanu i wielki wiatr z północy, tarmoszący go jakby miał go gdzieś prowadzić. Wokół niego była Sara, a także Danceman. Nowy Jork błyszczał w nocy łuną, a dookoła pędziły i skakały skipy przez niebo nocne i w dziennym świetle, i w ulewie, i w wietrze. Masło topniało mu na języku, a jednocześnie naszły go zewsząd ohydne zapachy i poczucie niemiłego smaku. Gorzka obecność trucizn i cytryn, i źdźbeł letnich traw. Tonął, spadał, leżał w ramionach kobiety na ogromnym białym łożu, które jednocześnie huczało mu przeraźliwie w uszach. Ostrzegawczy hałas niesprawnej windy w jednym ze starych zrujnowanych hoteli w śródmieściu. Żyję, żyłem, nigdy nie będę żył, mówił do siebie, a jego myśli przychodziły na każde słowo, na każdy dźwięk. Owady leciały z piskiem, a on utonął w skomplikowanej, homeostatycznej maszynerii i usytuowanej gdzieś w laboratoriach firmy Tri—Plan.

Chciał powiedzieć coś do Sary. Otworzył usta i próbował wypowiedzieć pewne słowa — pewien specyficzny ciąg słów, wybrany z ogromnej ich masy, oświecających jasno jego mózg, spalających go swoimi ostatecznymi znaczeniami.

Usta paliły go. Zastanawiał się dlaczego. Zamarła przy ścianie ze strachu Sara Benton otwarła oczy i ujrzała pasemko dymu, wychodzące z pół otwartych ust Poole'a. Robot opadł na łokcie i kolana, a następnie osunął się i rozścielił jak kupa pokruszonego złomu. Nie potrzebowała sprawdzać, żeby wiedzieć, że on „umarł".

Poole zrobił to sobie sam, z własnej woli, pomyślała. Nie czuł bólu. Tak powiedział. A przynajmniej bardzo mało. Może troszeczkę. Tak, czy owak, już po wszystkim.

Chyba będzie lepiej, jak zadzwonię do pana Dancemana i powiem mu co się stało, postanowiła. Ciągle jeszcze roztrzęsiona, zdobyła się na wysiłek przejścia przez pokój. Podniosła fon i wybrała numer z pamięci.

On myślał, że jestem czynnikiem stymulującym na jego taśmie odbioru rzeczywistości, rzekła sama do siebie. Czyli, że kiedy on „umrze", powinnam umrzeć i ja. Dziwne, pomyślała. Dlaczego mu coś takiego przyszło do głowy? Nigdy nie był włączony w kontakt z rzeczywistym światem. „Żył" w swoim własnym świecie stworzonym przez elektronikę. Coś niesamowitego.

— Panie Danceman — powiedziała, gdy uzyskała połączenie z biurem. — Poole'a już nie ma. Dokonał samozniszczenia wprost na moich oczach. Chyba będzie lepiej, jeżeli pan tu przyjdzie.

— A więc mamy go z głowy...

— O tak! Co za ulga.

— Wyślę paru ludzi z warsztatu — rzekł Danceman. Rzucił okiem poza nią i zobaczył Poole'a leżącego obok kuchennego stołu. — Idź do domu i odpocznij — polecił Sarze. — Musiało cię to wykończyć.

— Okropnie — odpowiedziała. — Dziękuję panu, panie Danceman — odwiesiła fon i stała niezdecydowana. Nagle zauważyła coś dziwnego. Moje ręce, pomyślała. Podniosła je. Co się stało, że widzę przez nie na wskroś? Ściany pokoju stały się również niewyraźne. Drżąc, podeszła z powrotem do bezwładnego robota i stanęła obok niego nie wiedząc, co począć. Na wskroś, przez swoje nogi, widziała dywan. Potem dywan stał się niewyraźny i zobaczyła przezeń dalsze warstwy rozpadającej się materii.

Może uda mi się zespawać końce taśmy, pomyślała. Ale nie wiedziała jak. A Poole stawał się już ledwie widoczny. Poranny wiatr wiał wokół niej. Nie czuła go. Przestawała czuć cokolwiek.

Wiatr wiał.

**Przełożył:**
**ALEKSANDER RODZIEWICZ**

# 1

## Felieton pesymistyczny

## A jednak się kręci!...

Szanowny Panie Redaktorze,

W pierwszych słowach swego listu chciałbym przeprosić, że tak długo nie dałem znaku życia. Choć żyję jak Pan widzi, ale dopiero od tygodnia chadzam bez fartuszka z długimi rękawami, a wczoraj, pewnie w ramach amnestii, otrzymałem wreszcie papier i ołówek. Tępy zresztą, bym sobie i innym krzywdy nie uczynił...

Byłem ja już miesiąc temu na przepustce za dobre sprawowanie, bo i wyć przestałem i Napoleonem być także. Ozdrowiałem na tyle, że kierownictwo placówki zdecydowało dać mi nieco życia za murem zakosztować. Na moje nieszczęście! Ale po kolei, jak mawiają pracownicy PKP...

W domu, powitany z ostrożnym entuzjazmem, rzuciłem się w wir codziennych zajęć. Przygotowany, oczywiście, na najgorsze, całą drogę w karetce tłumaczyłem sobie w kółko: „— Życiowy, tym razem nie daj się zwariować, bądź jak gąbka, niczym się nie przejmuj..." Z pobłażliwym uśmiechem zareagowałem więc na brak ciepłej wody, zalany przez sąsiada sufit i zapchany zsyp na śmieci. Uszkodzona od dawna antena zbiorcza, której nikt, mimo wielu interwencji, nie miał zamiaru naprawić, nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia. Policzyłem w pamięci do stu — i jak ręka odjął. Nawet ciśnienie mi nie skoczyło...

Teraz wiem, że niepotrzebnie wybrałem się do sklepu, trzeba było jeszcze dzień, dwa odczekać. Ledwie wyszedłem za drzwi z naręczem pustych butelek, zgasło światło. Pewnie jakaś awaria, nic wielkiego. Ale Pan nie wie, Panie Redaktorze, cóż to oznacza w moim bloku! Mały koniec świata. Krzyczą ludzie w zablokowanych windach, a wszędzie ciemno jak w... (no wie Pan gdzie..), bo przecież w moim wieżowcu nie ma okien na klatce schodowej. Taki patent — jedenaście pięter bez jednego okna. Nie lubię ciemności, ale odważnie ruszyłem w dół po schodach. W połowie kondygnacji: przewróciłem się o jakąś staruszkę, która wrzeszcząc „— Gwałcą!!!" okładała mnie torbą, bynajmniej nie uciekając. Bo i gdzie? Wyczołgałem się po tłuczonym szkle i zacząłem walić w pierwsze drzwi. Odpowiedział mi przerażony głos: „W domu nie ma nikogo, ale jest pan dopiero na czwartym..." Jeszcze kwadrans egipskich ciemności i po zdemolowanych skrzynkach na listy, wymacanych na ścianie, poznałem że to wreszcie parter. Policzyłem do stu — jakoś minęło, choć dostałem już tekkich dygotek.

W sklepie nie było nic, jak to w spożywczym, poza kilkoma smutnymi kolejkami: po mięsko, po warzywa, po wódeczkę (brakowało jeszcze pół godziny) i parę innych, nie wiedzieć za czym. Ktoś się odliczał, rozdzielano nocne dyżury, pożyczano rybackie stołeczki. Stoisko ze skupem opakowań szklanych było nieczynne, kartka głosiła, że do odwołania. Kogo?! Nikt nie wiedział. Zgrzytnąłem zębami, ale tylko raz. I ruszyłem w kierunku mieszczącej się opodal poczty. Miałem odebrać trochę grosza z PZU, odszkodowanie za rozbity samochód. W zatłoczonym wnętrzu zorientowałem się, wykorzystując wrodzone zdolności matematyczne, że jestem raptem siedemdziesiąty drugi. Panienka z obłędem w oczach poinformowała mnie bym czekał, a pieniądze otrzymam. Jakoś pod wieczór dotarłem do okienka, gdy ta sama niewiasta z rozbrajającym uśmiechem oświadczyła, że niestety, takiej kwoty (jedenaście tysięcy) aktualnie nie ma w kasie. Mogę jeszcze poczekać, ewentualnie przyjść jutro. Musiałem dziwnie wyglądać, bo ledwie wspomniałem, że na początek pourywam nieczynne i tak automaty telefoniczne, pracownice urządziły małą kwestę, czyli prywatną zrzutkę i jednak forsę otrzymałem.

Wrażeń było moc, postanowiłem wracać. Po drodze, też mnie podkusiło, wstąpiłem do elektrycznego i poprosiłem o wentylator na ścianę, taki ze sznureczkiem do włączania i w kolorze czerwonym. Dwie dziewczyny dostały ataku śmiechu. Rozmazując łzy na policzkach z trudem przekazały mi aktualne dane: ostatnie były rok temu, chyba pięć sztuk i wszystkie zielone. Płakałv dalej, gdy uciekłem...

Tuż przed domem omal nie wpadłem do potężnego wykopu, w którym kilku zawodowców w służbowych uniformach rozważało szanse drużyny Widzewa nad bateria butli z piwem. Ale oto już mój blok, my castle! Nareszcie! Wygodnie rozparci o poręcz dwaj panowie olewali od środka stalowe drzwi wejściowe do klatki. Oddawanie moczu nie jest określeniem właściwym, bowiem efekty ich pracy przypominały raczej gradobicie...). Wściekły jak ranny tur, złapałem pierwszego z brzegu za marynarę. Akurat skończył i uśmiechał się z pijacką dobrocią w oczach. „— Ja pana strasznie przepraszam — bąkał — ale gdzie na tym ślicznym osiedlu można właściwie się odlać?..." Z gardła dobyło mi się bezsilne wycie, no bo rzeczywiście, gdzie?!!! Nawet jedyne w okolicy drzewo wykonane zostało w metalu. Autentyk! Taka śliczna rzeźba przestrzenna!

Jak zbity pies wtoczyłem się do windy. Po chwili dosiadł się sąsiad z góry, złośliwie chichocząc. Zatarł rączki, mrugając porozumiewawczo: „— Zobacz pan, piątej już nie ukradną, upieprzyłem żarówkę smarem!" Na moją uwagę, że mogą dla odmiany potłuc — wyraźnie posmutniał. Ale widać, że będzie jeszcze nad problemem pracował...

Na moim piętrze minąłem się z facetem w kitlu. Poznałem go — roznosiciel mleka. *„— Gdzie mleko?! — huknąłem z mety — od tygodnia ani razu pan nie przyniósł!"* Zareagował natychmiast: „— A apier... pan z takim interesem! Nie karkuluje się, a forsę możesz pan odebrać w sklepie..."

W domu łyknąłem torbę prochów uspokajających, ucałowałem żonę i dzieciaki i wykręciłem znany mi numer. Przyjechali w kwadrans, dobre chłopaki, nawet nie pakowali mnie na drogę w fartuszek.

No i znowu tu jestem. A swoją drogą, Panie Redaktorze, jakim cudem to jeszcze się kręci?...

STEFAN ŻYCIOWY

# 2

## Spojrzenie znad szachownicy

## Strach grać przeciwko tej drużynie

Grając w szachy można co najwyżej przegrać. Surowe i precyzyjne regulaminy zakazują zawodnikom wchodzenia w jakikolwiek fizyczny czy nawet słowny kontakt; wolno tylko uścisnąć rękę partnera przed rozpoczęciem pojedynku, zaproponować w trakcie gry remis, wreszcie — już po zatrzymaniu zegara — ponownie wyciągnąć do przeciwnika dłoń ze słowami:

„Dziękuję, poddaję partię".

Grając, powiedzmy, w piłkę nożną, stajemy wszelako przed niepomiernie bogatszymi perspektywami. Mogą nam wkopać, ale mogą też skopać, a łamanie żeber w zamieszaniu podbramkowym, czy też wygłaszanie uwag o prowadzeniu się naszej mamusi podczas walki o piłkę — bynajmniej nie uchodzi za przesadny nietakt.

Są drużyny, które poczynają tak z nieumiejętności i z rozpaczy, są jednak również — tak przynajmniej powiadają wytrawni kibice — jedenastki wręcz świetne, które „dają szkołę" przeciwnikom po prostu dla zasady, zmaltretowanie opornych traktując jako swój święty obowiązek.

Drużynę „Veta", którą prywatnie uważam za jedną z najświetniejszych ekip żurnalistycznych w Polsce, charakteryzuje niestety częściej piłkarski, niżli szachowy styl prowadzenia walki. Raduje to wprawdzie kibiców dla których i Cornea nie byłaby zbyt krwawa, wydaje mi się jednak zabiegiem niekoniecznym, jako że tak naprawdę liczą się jedynie strzelone gole — a „Veto" stanowi ekipę wyjątkowo bramkostrzelną — nie zaś ilość poturbowanych przy okazji przeciwników.

2.

Swoistym fenomenem był sam fakt stworzenia pisma dosłownie „z niczego"; jest to zaledwie drugi ze znanych mi podobnych przypadków, po zadziwiającej — a szeroko opisywanej przez Adama Ochockiego również na łamach „Odgłosów" — historii narodzin łódzkiej „Karuzeli".

Imponujący był rozmach, z jakim „Veto" wchodziło na rynek, lawinowy przyrost nakładu, mnogość niebanalnych inicjatyw i śmiałych, z temperamentem prowadzonych publicystycznych akcji.

„Veto" błyskawicznie poobrażało wprawdzie kogo tylko się dało, ale równie błyskawicznie zdobyło też czytelników.

Można zgadywać, że są również ludzie, którzy każdy numer pisma otwierają z równą ostrożnością z jaką ponoć należy w tropikach odrzucać pled leżący na łóżku; a nuż bowiem pod nim pledem ukryło się jakieś jadowite stworzonko, które za momencik ukąsi nas w gołv zadek.

3.

Idąc od sukcesu do sukcesu „Veto" nie ustrzegło się — bo przy podobnej eskalacji wciąż nowych pomysłów nie mogło się ustrzec — oczywistych potknięć i działań chybionych. Hece z rzekomym otwieraniem sklepu „porno" można by wprawdzie uznać jedynie za hece właśnie, ale już hałaśliwe propagowanie naturyzmu było iście niedźwiedzią przysługą oddaną temu skądinąd symoatycznemu i niewinnemu ruchowi.

Niedźwiedzią — zainteresowało bowiem sprawą wścibskich podglądaczy i zajadłych dewotów, co w dalekiej konsekwencji zakończyło się przegnaniem „bezbożnych golasów" z paru wykorzystywanych przez nich ustronnych plaż. Można bowiem, jak przynajmniej sądzę, ściągać z siebie majtki, jeżeli ktoś to lubi, jest wszelako rzeczą przesadną wymachiwać tymi majtkami niby sztandarem; przypomina to drażnienie byka, który póki co pasł się spokojnie i wcale nie zwracał na nas uwagi.

Za niezbyt udany pomysł uważam także drukowanie ogromniastego horoskopu czy powieści Rodziewiczówny w odcinkach — pismo o tak dużych ambicjach i tak wyrazistym profilu mogłoby się doskonale obyć bez podobnie małoduszny ch chwytów.

Z kolei za kampanię w sprawie mleka i przetworów z mleka (acz niepotrzebnie okraszoną nazbyt soczystymi epitetami, co może stanowić słaby punkt w sądowym procesie), za rwetes wzniesiony wokół budownictwa jednorodzinnego, bitwę wydaną „Ponalowi", wreszcie za świeżą stosunkowo ideę bardziej rozsądnego zabrania się do walki z alkoholizmem — należy się „Vetu" cześć i uszanowanie.

W przeszłości miałem niejednokrotnie ochotę zacząć aktywnie kibicować tej zadzierżystej drużynie, kolejne wydania — zredagowane z nadmiernym, rzekłbym, temperamentem — zniechęcały mnie jednak i zniesmaczały.

Po numerze 38 z 16 września 1984 roku — tym z listem do prezesa SD PRL Klemensa Krzyżagórskiego — przemogłem się jednak i do skromnego zestawu gratisowych tytułów fundowanych nam, dziennikarzom, przez wydawcę, postanowiłem „Veto" wprowadzić. Oczywiście „coś za coś", jakiś inny tytuł będę musiał skreślić, chciałbym dowiedzieć się jednak, jak zakończą się liczne rozpoczęte przez „Veto" batalie.

4.

Dość niespodziewanie zrecenzowałem „Veto", choć właściwie miałem zamiar napisać coś zupełnie innego, jednak sprowokował mnie fakt, że pismo to — pod hasłem GAZETY TEŻ SĄ TOWAREM RYNKOWYM — uparcie recenzuje, a właściwie „cenzurkuje" innych. Gdyby ilość komplementów wydała się redakcji zbyt mała, a ilość zarzutów zbyt wielka, proponuję nie wdawać się w pyskówkę, a rozstrzygnąć sprawę na „udeptanej ziemi", czy ściślej — przy szachownicy. W żadną inną grę, z salonowcem włącznie, przenigdy nie odważę się natomiast grać przeciwko tej bezlitosnej ekipie.

Prosiłbym jednak o przysłanie ewentualnych sekundantów za tydzień dopiero, ponieważ mam zamiar jeszcze do tematu wrócić.

JERZY P.

# 3

## Telefon

Telefon, drodzy państwo, to bardzo użyteczny wynalazek. Wielorako, choć ambiwalentnie. Telefon pozwala rozwijać kontakty interpersonalne na szczeblu oficjalnym i prywatnym. Oszczędza nasze nogi w gonitwach po rozmaitych urzędach. Pozwala załatwić mnóstwo spraw, bez konieczności oglądania twarzy nam niemiłych.

Telefon można też bezkarnie wyłączyć lub nie podnosić słuchawki, jeśli chcemy udać, że nas nie ma w domu. I ten prosty sposób uwalnia nas od straszliwej wizyty zaprzyjaźnionego stadła, które ma okropny zwyczaj zwalania się w gości w asyście swych potwornie hałaśliwych dziatek. No, chyba, że znajomi są źle wychowani i zaczają się za węgłem, by wypatrzyć nasz powrót do domu i wtedy urządzić nam nalot dywanowy bez uprzedzenia.

W ogóle telefon podnosi nam kulturę współżycia społecznego, choć znowu z punktu widzenia biurokracji, stanowi niebezpieczny precedens w stosunkach urząd — obywatel. Taki, bo rozwydrzony petent, miast pokornie odstać swoje w poczekalniach, wejść za wezwaniem, przeczekać siorbanie herbaty, wydłubywanie resztek posiłku z zaniedbanego uzębienia i dopiero wyłożyć z czym przyszedł, gdy usłyszy przyzwalające „czego?" — to on się uczy bezsensownych obyczajów. Łapie za słuchawkę, dzwoni i żąda informacji bez wyjmowania właśnie moczonych nóg z miednicy. Jeszcze czego! Urząd z nie takimi sprawami dawał już sobie radę i tym więc razem broni się skutecznie tajemniczymi blokadami numerów telefonicznych. Albo niemożnością odszukania żądanej osoby na terenie gmachu (akurat w bufecie rzucili kaszankę). Albo też odsyłaniem petenta pod kolejne numery wewnętrzne w nadziei, że w końcu gdzieś się linia zablokuje i bezczelny typ zrezygnuje z telefonu i pofatyguje się osobiście pod drzwi właściwego referatu. I o to chodzi.

Może także stać się telefon znakomitym narzędziem wyrafinowanych tortur. Na przykład żona zaczyna nam rodzić, my w panice łapiemy za słuchawkę, by wezwać pogotowie. Drżącymi palcami wykręcamy numer i słyszymy... nie ma takiego numeru... albo: „słucham, zakład pogrzebowy...", bo coś tam na linii przeskoczyło. Można też znienacka dowiedzieć się, że ta ruda wydra, nasza najlepsza przyjaciółka, do której właśnie dzwonimy, kręci z naszym rodzonym mężem, bośmy się przypadkiem włączyli w jej rozkoszne gruchanie, a głos faceta jest nam doskonale znany, zwłaszcza po wczorajszej awanturze. Tak więc z telefonem trzeba ogłednie. Jego posiadanie czyni z nas obywateli uprzywilejowanych, ale też wynalazku tego nie można nadużywać.

Zdarzyło się, że musiałam pilnie zadzwonić do bardzo ważnej instytucji. Rozmowa miała być krótka, ale brzemienna w skutki.

W promieniu kilometra na wielkim osiedlu są dwa automaty telefoniczne. Nigdy nie wiadomo, który akurat uległ argumentom młota i obcęgów okolicznego elementu. Hazard z wyborem trasy tym był dotkliwszy, że zimno było jak jasny gwint, zacinał paskudny kapuśniaczek, a w domu został wykwit kulinarny na gazie i mógł wykipieć lada chwila. Z automatu korzystała właśnie korpulentna jejmość o spiczastym głosie. Tak więc zostałam niechcący poinformowana o kroju świeżo nabytej garsonki oraz o komplikacjach wynikłych w trakcie organizowania lewej klepki parkietowej, rąbniętej z pobliskiej budowy. Wcale nie chciałam podsłuchiwać i było mi piekielnie zimno, ale jejmość kwiczała na pół osiedla. Po dziesięciu minutach (miałam akurat dzień dobroci dla bliźnich) cierpliwego czekania, postukałam damie przed nosem w cyferblat zegarka. Że niby trochę długo i może by skończyła. Dama spojrzała na mnie, jakbym głośno zwątpiła w to, że jej mąż wziął ją dziewicą i... spokojnie kontynuowała. Po dalszych pięciu minutach, wiedziałam, że Bogdan dostał kontrakt do NRD, a teściowa zrobiła fantastyczny placek z wiśniami. Zostałam mimowolnie powiadomiona o rodzaju i przebiegu sensacji trawienno-wydalniczych w związku z rzeczonym plackiem i... nie wytrzymałam. A żebyś pękła stara klępo od tego placka!!! Dzień dobroci dla bliźnich został zatłuczony.

Drodzy, kochani bliźni! Telefon służy do przekazywania informacji. Krótko, konkretnie. Zwłaszcza ten publiczny. To naprawdę nie jest środek do prowadzenia rozwlekłych plotek. Nawet prawdziwy romans nie uda się przez telefon. Kochani! Tępmy telefoniczne gadulstwo, dajmy także innym nacieszyć się z wynalazku. Bo może nam się przytrafić przygoda, jaka spotkała pewną starszą damę, gdy ta próbowała bez końca uzgadniać przez telefon podział schedy, jaką po śmierci mieli odziedziczyć po niej krewni. W końcu do przeciągających się rozmów, włączył się ktoś trzeci... „Droga Pani! Jeśli natychmiast pani nie skończy, pani miejsce na liście do przydziału miejsca w Raju przypadnie następnym w kolejce. Z poważaniem — Pan Bóg".

(BIUROWA)

# 4

## Nagłe zastępstwo

## Drugie Chiny

Opisany w ubiegłym tygodniu w felietonie „Dziad do obrazu" dialog autora z młodym, utalentowanym ekonomistą Jackiem A. miał niespodziewany ciąg dalszy, który — gwoli sprawiedliwości — uznałem za godny zrelacjonowania.

Spotkałem otóż Jacka A. w Łodzi. W samo południe pięknego, jesiennego dnia spacerował po Piotrkowskiej. Minę miał równie poważną i zamyśloną, jak wówczas, przed dwoma tygodniami na wybrzeżu Bałtyku południowego.

— Cóż tam panie, nowego w polityce ekonomicznej — zagadnąłem, niepomny urazy.

— Chińczyki trzymają się mocno — odpowiedział, dając do zrozumienia, że największa księga cytatów polskiego piśmiennictwa, tj. „Wesele" Wyspiańskiego nie jest mu obca — trzymają się mocno pryncypiów ideologicznych, ale w dziedzinie gospodarki i życia społecznego oraz obyczajowego idą na duży luz. Portki typu jeansy-wycieruchy pojawiły się na ulicach Pekinu, słychać coś nawet o koncertach rockowych, prasa podnosi tematy wolnej miłości itp. Są to — zgodnie z teorią informacji — symptomy zmian w bazie ekonomicznej. Reformuje się gospodarkę...

— U nich też? Patrzcie państwo, gdzie nie spojrzeć — reforma, nawet w Chinach. Może już wkrótce skompromitowane hasło o drugiej Japonii nasz laureat Nobla zastąpi hasłem „Zbudujemy drugie Chiny". Biorąc pod uwagę obszar i zaludnienie Państwa Środka, byłoby to hasło niesłychanie atrakcyjne.

— Ty żartujesz, a rzeczywistość wcale do żartów nie nastraja. Stopa inflacji jest w Chinach nieporównanie mniejsza niż u nas, obroty handlu zagranicznego po latach zastoju rosną znacznie szybciej, niż w niejednym ustabilizowanym gospodarczo kraju Europy. Rośnie produkcja i wydajność pracy. Także wzrost dochodu narodowego liczonego na głowę ludności ma bardzo ładną tendencję wzrostową...

— Skąd to wszystko wiesz? — przerwałem — przecież informacji o wewnętrznych sprawach tego kraju jak na lekarstwo.

— Jako dziennikarz jesteś zaślepionym czcicielem środków masowej informacji. Wierzysz tylko w świat gazetowo-radiowo-telewizyjny. Jeśli o czymś nie napiszą agencje, to tego nie ma. Zapewniam cię, że poza twoim dziennikarskim, papierowym światem istnieje świat realny. Bogatszy i piękniejszy niż twój. Wcale też nie uboższy o informacje.

Czyżbyś nie widział w sklepach szczególnego wysypu chińskiej herbaty w trzech czy czterech gatunkach? Czy nie dostrzegłeś w sklepach z odzieżą chińskiej bielizny z czystej bawełny? Czy nie dostrzegasz innych towarów z napisami „Made in China" A to jeszcze nie wszystko. Znajomy pracownik Textilimpexu był jesienią w Chinach dwukrotnie. Ostatnio, latem był znów w Pekinie. Złożyła nam wizytę delegacja handlowców chińskich z panią minister na czele. Część delegacji była w europejskich garniturach i krawatach..

Profan nie wyciąga z tego żadnych wniosków. Dla człowieka znającego się choć trochę na ekonomii, a na teorii informacji zwłaszcza, są to wcale niebagatelne symptomy tego, co się dzieje za chińskim murem.

— Chyba przesadzasz z tą generalizacją. Objawy o których mówisz mogą świadczyć co najwyżej o ożywieniu stosunków handlowych — PRL—ChRL. Wyciąganie tak daleko idących sklepowych wystaw może cię zaprowadzić w zupełnie ślepą ulicę. Na przykład nie obserwuje się towarów produkcji USA, a nie zamierzasz chyba twierdzić, że jest to państwo na granicy ruiny gospodarczej?

— Jak zwykle czepiasz się słów. Podałem tylko kilka przykładów. Nadal — przypominam ci — pracuję na publikacją na temat pieniądza, jako środka informacji. Zajrzyj do banku — znajdziesz tam tabelę kursów różnych walut. Popatrz na kurs dolara USA (oficjalny, możesz go porównać z czarnorynkowym) i spróbuj znaleźć na tej tabeli kurs chińskiego juana ( w nowej pisowni bodaj że „xuana") Wnioski są oczywiste, choć także nie dla każdego. Powtarzam, trzeba jednak choć trochę wiedzieć...

— Zostawmy wreszcie w spokoju te pieniądze. Pomyśl, czy wizja Polski jako drugich Chin nie jest pociągająca? Czy nie powoduje u ciebie rozkosznego dreszczu?

— Jakoś nie. Przeraża mnie skala problemów. Weźmy taki przykład: pociąg, którym wracałem ostatnio z urlopu nad morzem spóźnił się trzy godziny. To można przeżyć. Gdybym — zachowując proporcje — wracał znad Morza Żółtego koleją PKP do, dajmy na to, któregoś z miast Tybetu, spóźnienie powinno wynosić przeszło dwa dni! Albo taki: czekałem na zamówioną rozmowę telefoniczną z Suwałkami przeszło cztery godziny. Ile czekałbym — gdyby nasze telefony działały na takim obszarze jak Chiny — na rozmowę z Kantonu do któregokolwiek miasta Mandżurii?

Przekonało to mnie. Ba, dorzuciłem następne argumenty. Te sterty ryżu po zbiorach! Nasze Ministerstwo Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej oszalałoby ze zmartwienia!

Albo takie przeobrażanie Jangcy-kiang, która jest prestiżową rozrywką chińskiej elity władzy. Nasi dygnitarze przepływają Wisłę? Nonsens. Woda zimna i brudna, a wyczyn i tak nie tej klasy...

ANDRZEJ KAROL

ZBIGNIEW NIENACKI

# Raz w roku w Skiroławkach 37

## O dumie, upokorzeniu i samochodzie, który dawał szczęście

— Nie mogę tak postąpić, jak mi radzisz, Gertrudo, gdyż jestem inną niż ty kobietą — upierała się Brygida. — Czuję mu się równą pod każdym względem. Mam takie jak i on wykształcenie lekarskie, choć w innej dziedzinie; kobiecą dumę, która mi mówi, że mogę mu być jedynie partnerką, a nie czymś w rodzaju leżaka, rozkładającego się na każde jego życzenie i dla jego wygody. Wszyscy wiedzą, jak on traktuje kobiety. Najpierw je upokarza, każe przed sobą klęczeć, a potem raczy się zniżyć i podnosi je z klęczek. Nigdy się na to nie zgodzę, Gertrudo. Nigdy! Choćbym miała umrzeć z miłości do niego, jak to już raz chciałam zrobić. Za dużo było we mnie niechęci do niego, aby z tego nie zrodziło się coś trwałego właśnie dla mnie i we mnie. Gdy przybyłam do Trumiejek, od razu mi opowiedziano o doktorze i o tym, że pewnego dnia zaproponuje mi, abym przyszła do niego jak loszka do knura. Wszyscy dookoła ostrzegali mnie: „takiej pięknej kobiecie jak pani, doktor na pewno nie przepuści, takiej okazji on nie straci". I tylko czekałam, kiedy mi zaproponuje spotkanie u siebie. Postanowiłam dać mu taką odprawę, aby ją sobie zapamiętał do końca życia. Zdecydowałam się ukarać go za wszystkie kobiety, które, jak mówiono, upokorzył, zanim je wziął do łóżka. Czekałam więc na tę jego propozycję, codziennie czekałam, bo przecież widywaliśmy się bardzo często. Ale on, Gertrudo, nigdy mi spotkania nie zaproponował, a nawet w ogóle uwagi na mnie nie zwracał. Patrzył nie na mnie, ale ponad mną. A ja czekałam i czekałam na próżno. Ze wszystkich stron dochodziły mnie plotki, że tę lub tamtą wyróżnił, po stokroć brzydszą i głupszą ode mnie, lecz mnie nie dostrzegał. Niecierpliwiłam się, złościłam, sama rzucałam mu się przed oczy. Bezskutecznie Gertrudo. Mówiono mi wciąż, że jestem piękna, ale ja przestałam w to wierzyć, bo on nie chciał widzieć mojej piękności. Aż z tej niecierpliwości, z tej złości, z tej mojej nienawiści urodziła się miłość. Wiem, że się tego domyślił. Odtąd zaczął na mnie zwracać uwagę. Kilkakrotnie powiedział mi: „Jest pani, Brygido, najpiękniejszą kobietą na świecie". Ale te słowa brzmiały w jego ustach jak obelga. Zresztą wszystko, co do mnie zawsze mówił, brzmiało albo jak szyderstwo, albo jak obelga. Czy wiesz, co mi kiedyś oświadczył?: „Gdybym miał taką żonę jak pani, zdradziłbym ją na trzeci dzień po ślubie, aby nie myślała, że uroda daje jej nade mną jakąś władzę". Co miałam uczynić, Gertrudo, w tej sytuacji. Poczęłam dziecko...

— Tylko mi znowu nie mów, że to nie jest jego dziecko — ostrzegła ją Gertruda. — Bo jeśli mi to jeszcze raz powiesz, wyjdę stąd i nigdy tu więcej nie wrócę.

— Próbuję ci wytłumaczyć, dlaczego nie dam się do niego doprowadzić jak loszka do knura. Nie wejdę do jego domu tylnymi drzwiami, jak wszystkie inne. Mogę wejść tylko od frontu, jeśli mnie o to poprosi.

Ile razy w ten sposób rozmawiały? I nigdy im się te spotkania i podobne rozmowy ani nie nudziły, ani też nie prowadziły do jakichś konkretnych wniosków. Z czasem nawet stały się dla tych obydwu kobiet ich największą radością.

Czy doktor wiedział o tych rozmowach, domyślał się dokąd jeździ Gertruda? Najpewniej znał całą prawdę, gdyż ilekroć Gertruda szykowała się w podróż do Trumiejek, odprawiał ją drwiącymi słowami: „znowu jedziesz mielić siano..."

Tymczasem zupełnie inną sprawą żyła wieś Skiroławki, a to za przyczyną starej babki drwala Stasiaka. Babka ta przyjechała do Stasiaków latem, na krótkie odwiedziny, a że zamieszkała w dalekim kraju, po mężu wysoką rentę otrzymywała i spore oszczędności uczyniła, chcąc przed powrotem do dalekiego kraju przyjemność wnukowi sprawić, zapytała go przy całej rodzinie, czego sobie życzy. Może chce kupić ładny dom? Albo meble do mieszkania i kolorowy telewizor? Albo jakieś piękne ubrania dla siebie, żony i dzieci?

Tak na dobrą sprawę — wszystko to było Stasiakom potrzebne. Mieli sześcioro dzieci i mieszkali w malutkim służbowym mieszkaniu we wspólnym domu należącym do lasów państwowych. W tym mieszkaniu nie posiadali prawie wcale własnych mebli, ale wszystkie sprzęty, nie wyłączając żelaznych łóżek, stanowiły własność nadleśnictwa. Zarobki drwala wystarczały jedynie na wykarmienie żony i dzieci, tym bardziej, że tak Stasiak jak i Stasiakowa lubili od czasu do czasu tęgo popić — za cóż więc mogliby kupić bogatsze odzienie dla siebie i dzieci? Trudne pytanie zadała im stara babka z dalekiego kraju i Stasiak tylko drapał się po głowie, ale nie odezwał się ani słowem. Natomiast żona jego oświadczyła stanowczo:

— Hrum-brum-brum.

„Hrum-brum-brały" głośno także i dzieci Stasiaków, ale stara babka nie była nawykła do takiej mowy i nic z niej nie pojmowała. Ma kupić dom? Meble i telewizor? Ładne ubrania? Futro dla Stasiakowej?

Zadecydowała trzynastoletnia Agata, najstarsza Stasiakówna, która trochę ludzkiej mowy umiała.

— Samochód niech nam babka kupi. Chcemy mieć samochód.

Stasiak przestał się drapać w głowę, plecy wyprostował dumnie, oczy mu zabłysły. Tak, samochód, to była myśl.

„Zahrum,brum-brały" radośnie niemal wszystkie dzieci, milczało tylko najmniejsze niemowlę, które ponoć od gajowego Widłąga pochodziło. Także i Stasiakowa wyraziła swoje ogromne zadowolenie ze słów najstarszej córki. Bo co im po własnym domu, skoro mają służbowe mieszkanie i nadleśnictwo musi się martwić o naprawę dachu i rynien. Co im po pięknych meblach i kolorowym telewizorze, skoro dzieciaki i tak zaraz meble poniszczą, a telewizor zepsują? Co im po ładnych ubraniach — i tak zaraz się podrą i usmarują? Co jej po futrze, skoro nie będzie w nim mogła nigdzie paradować, musi przecież pilnować dzieci? Zresztą inni mają i własne domy, i ładne meble, ale wcale nie wyglądają na zadowolonych. A samochodu żaden drwal nie posiada.

Stara babka odjechała w dalekie kraje. Stasiakowa niewielką wagę przywiązywała do jej słów, bo czy to jeden człowiek swoje obietnice rzuca na wiatr? Zresztą stara babka wcale nie wyglądała na zamożną, a nawet przeciwnie — wciąż wyrzucała Stasiakowej, że za dużo pieniędzy wydaje na chleb, który się marnuje, na wódkę i na papierosy.

Aż tu masz — na początku grudnia mechanik w niebieskim kombinezonie zajechał na podwórze Stasiaków błękitnym citroenem, rozmaite papiery kazał Stasiakowi podpisać, dał mu dwie pary kluczy od wozu, odkręcił próbne numery, zasalutował grzecznie, wsiadł do autobusu i zniknął. A u Stasiaków pozostał lśniący lakierem błękitny citroen, w którym można się było przejrzeć jak w lustrze. Samochód miał ogromne błyszczące niklem reflektory, które zakrywały samootwierające się pokrywy podobne do powiek, wewnątrz były kryte skórą fotele i pachniało jak w kościele podczas rezurekcji. Wóz posiadał najnowocześniejsze kształty aerodynamiczne, przypominał torpedę lub pocisk balistyczny, błyszczał błękitnie i srebrzył się okuciami — aż strach było do niego podejść. Nic tylko patrzeć z daleka, zachwycać się, podziwiać, wzdychać, broń Boże dotknąć ręką albo palcem, gdyż zaraz plamy na nim zostawały.

Mieszkali Stasiakowie, jak to było wspomniane, we wspólnym domu, z trzema innymi rodzinami robotników leśnych. W każdej rodzinie było po pięcioro, a nawet ośmioro dzieci. Dodając dzieci Stasiaków — ogromna rzesza malców i niedorostków; chyba ze dwudziestu kilku usmarkańców zebrało się wokół samochodu. Dorośli ludzie, którzy się zeszli z całej wsi, zauroczeni pięknością wozu — stali z daleka i podziwiali. Te miały śmiałość i zaraz każde z nich musiało błyszczącą blachę dotknąć palcami lub językiem, przylepić nos do szyby, a jedno nawet wlazło na dach i zjechało z góry po masce, która była ścięta ku dołowi i dobrze się do tego zjeżdżania nadawała. „Zahrumbrumbrała" gniewnie Stasiakowa, a Stasiak chwycił miotłę do ręki i dzieci od samochodu odgonił. Ale czy na długo? Musieli obydwoje — na zmianę — wartę przy samochodzie trzymać z miotłą w ręku. Przez cały niemal dzień, aż do późnej nocy, a ten od rana aż do wieczora, przez co nie mógł Stasiak pójść do roboty w lesie. Nie miał o to jednak do niego pretensji ani gajowy Widłąg, ani leśniczy Turlej, ani nawet sam nadleśniczy Kociuba, który przejeżdżając przez Skiroławki zatrzymał swego ułaza przy domu Stasiaków i również przez kwadrans oczy swoje napawał pięknością citroena.

Samochód służy do jazdy i zasadniczą przyjemność czerpie się z tego, że można się nim wygodnie poruszać — o tym nawet Stasiakowie wiedzieli. Lecz ani Stasiak, ani tym bardziej jego żona, a także żadne z dzieci nie miało prawa jazdy, gdyż żadne z nich nie ukończyło ośmiu klas, co bywa w takich razach konieczne. „Agata zrobi osiem klas i prawo jazdy dostanie — pocieszył żonę Stasiak. — A na razie, poprosimy pana Porwasza, żeby nas przewiózł".

Malarz nie dał się długo prosić. Przyszedł do Stasiaków, zasiadł za kierownicą, przekręcił kluczyk, ale spojrzawszy na wskaźniki w wozie stwierdził, że nigdzie nie pojadą, ponieważ mechanik, który samochód przyprowadził, zostawił w nim tylko odrobinę benzyny. Pojeżdżą więc kawałek, lecz nie wiadomo, czy zdołają powrócić. On, Porwasz, też nie ma w swoim wozie benzyny, gdyż ostatnio niedomaga finansowo i, jak wszystkim wiadomo, okresowo pozostaje na utrzymaniu pani Halinki; co się oczywiście odmieni, gdyż z Paryża przyśle mu pieniądze baron Abendteuer. Może trochę benzyny odsprzeda im doktor Nieglowicz?

Stasiakowie nie mieli pieniędzy na benzynę. Za obietnicę przejażdżki pożyczył im trochę grosza drwal Jarosz. Doktora jednak w domu nie było — pojechał do szpitala, gdzie leżała Justyna. Dopiero nazajutrz udało się Stasiakowi kupić dziesięć litrów benzyny. Wówczas jednak malarz Porwasz oświadczył im, że się rozmyślił w sprawie prowadzenia samochodu, ponieważ — jak słusznie zwróciła mu uwagę pani Halinka, której on słuchał we wszystkim — nie nawykł do prowadzenia takich nowoczesnych wozów, może się wpakować na drzewo, rozbić go albo zgoła tylko uszkodzić, a wóz nie jest ani zarejestrowany, ani też ubezpieczony. Należy więc wprzódy wóz zarejestrować, odpowiednie numery przykręcić, a następnie ubezpieczyć. Ile wyniesie załatwianie tych spraw? Ano, przynajmniej połowę miesięcznej pensji Stasiaka. Tedy niech będą cierpliwi i poczekają aż do następnej wypłaty.

Nie mógł Stasiak bez przerwy pilnować przed czeredą dzieciaków swego samochodu; również Stasiakowa, zajęta swymi dziećmi, nie była w stanie ciągle sterczeć z miotłą na podwórzu. Naciął więc Stasiak grubych żerdzi w lesie, okorował je i wysoki płot wokół samochodu postawił, z bramą zamykaną na kłódkę. Wkrótce znowu spadł śnieg i białym płaszczem zakrył samochód; przybrudził się on zresztą od samego stania i nie błyszczał tak pięknie jak dawniej. Odtąd co niedziela Stasiakowa robiła sobie coś w rodzaju loków na głowie, ubierała odświętnie swoje dzieciaki i wraz z mężem zasiadała w samochodzie. Siedzieli tak godzinę, dwie, nieraz i trzy. W wozie było przytulnie, wygodnie, siedzenia wydawały się tak miękkie jak poduszki puchowe i przyjemnie pachniały jakąś dziwną wonią samochodowej świeżości. Młodsze dzieci natychmiast zasypiały, a starsze zaczynały głośno warczeć i buczeć naśladując pracę silnika samochodowego. Stasiak kurczowo trzymał w dłoniach kierownicę i odnosili wrażenie, że jadą gdzieś bardzo daleko po ośnieżonych drogach i polach, a nawet unoszą się nad ziemią, nad lasem i jeziorem. I choć ten i ów doradzał Stasiakowi, aby samochód sprzedał komuś z miasta, który da za niego dużo pieniędzy, gdyż dla wielu stało się oczywiste, że ani w tym, ani w następnym miesiącu Stasiakowie nie uzbierają na zapłacenie ubezpieczenia i rejestracji, Agata dopiero za kilka lat zdoła zrobić prawo jazdy — słyszano w odpowiedzi tylko gniewne „hrum-brum-brum" Stasiakowej i „hrum-brum-brum" jej dzieci. Przyjemność bowiem, jaką czerpali z samego patrzenia na ów przepiękny przedmiot, a także z owego przesiadywania w nim godzinami, nie dawała się wypowiedzieć, była słodka i niezwykła. Zresztą kto kupiłby tak piękny samochód? Doktor, pisarz i malarz — nie mieli dość pieniędzy Nadleśniczy Kociuba i naczelnik Parametr stwierdzili, że po nabyciu podobnej maszyny natychmiast zaczęto by ich podejrzewać o rozmaite machlojki i nadużycia. Tedy rodzina Stasiaków, co niedziela, warcząc i burcząc ustami dzieci, z ojcem za kierownicą — jechała w dalekie strony i dalekie kraje, nie niszcząc wozu, nie narażając się na niebezpieczeństwa i trudy jazdy, nie płacąc za benzynę. A gdy zdarzyło się Porwaszowi, że w drodze do Trumiejek zepsuł mu się jego stary ranchrover — cała rodzina Stasiaków wyległa przed dom i śmiejąc się patrzyła, jak ciężarówka ciągnie na holu samochód malarza. W istocie bowiem większa radość bywa z samochodu, który stoi, niż z tego, którym się jeździ. Tę prawdę zrozumiał prosty człowiek, zwykły drwal Stasiak, nie pojęło jej jednak wielu ludzi, którzy uważają się za mądrych.

Z samochodu korzyść bywa wieloraka. Któregoś dnia zapytała Stasiaka żona drwala Jarosza — czy mógłby ją przewieźć, burcząc i warcząc. Umówił się z nią Stasiak na późniejszą godzinę wieczorną, żeby żona nie miała do niego pretensji, że i Jaroszową postanowił do samochodu zaprosić. Ukradkiem zabrał z domu klucze do wozu i obydwoje wśliznęli się do zacisznego i pachnącego wnętrza. Oj, jechali długo i przyjemnie, aż szyby w oknach zaparowały i od mrozu szronem się pokryły. Innego wieczoru Stasiakowa osobiście przewiozła samochodem gajowego Widłąga — długa i przyjemna była to jazda, szczególnie, że gajowy Widłąg, człowiek odrobinę obeznany z samochodami, potrafił rozłożyć siedzenia. Za pół litra wódki kluczyki do wozu odstąpił Stasiak młodemu Galembce, który nie wiadomo z kim, ale najpewniej z jakąś niewiastą — także odbył krótką przejażdżkę. Potem zachciało się tak pięknym samochodem jechać Ziętkowej, córce Smugoniowej, a także przejechała się trzynastoletnia Agata z pewnym młodzieńcem, który ją do przyszłego zdobywania prawa jazdy obiecał przyuczać. Na dobrą sprawę mało kto we wsi nie korzystał z możliwości zasiadania w pięknym citroenie Stasiaka. Najczęściej z kimś drugim. Jazdy były krótsze lub dłuższe, ale zawsze nad wyraz przyjemne. Zaprawdę chyba nigdy dotąd tylu ludzi aż tyle radości nie doznało za przyczyną jednego tylko samochodu, który na dodatek nie wypalił ani litra benzyny.

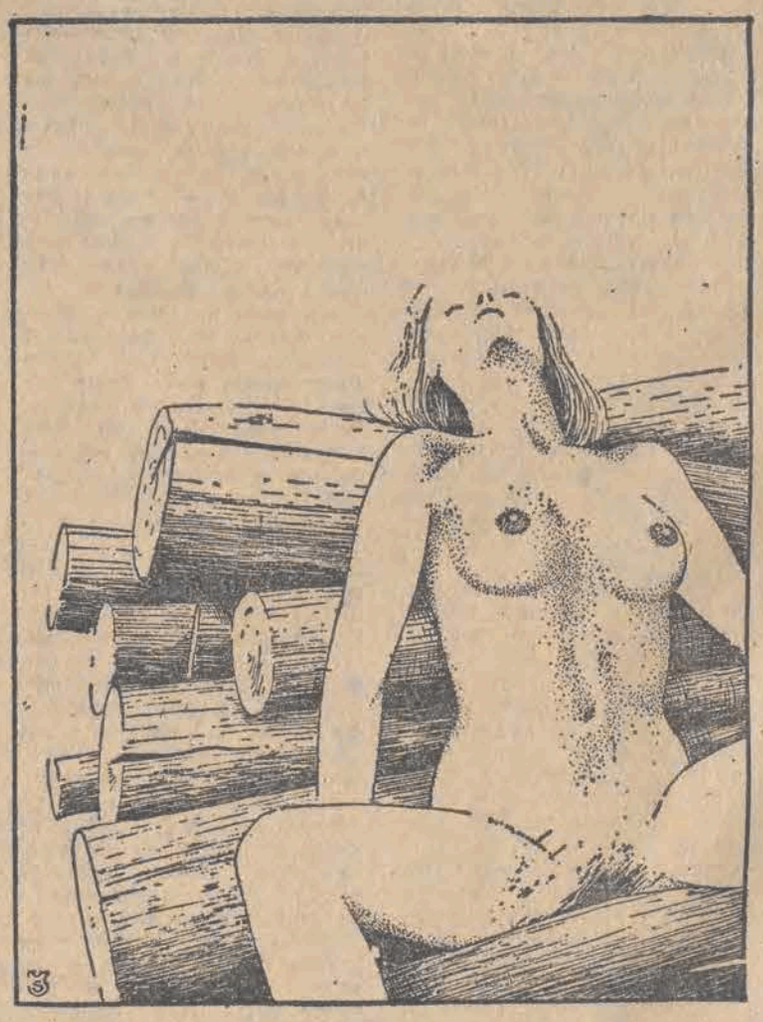

Rys. Janusz Szymański-Glanc

## O tym, że nie tylko rozpusta, ale i cnota złość ludzką wzbudza

Ostatni raz Nepomucen Maria Lubiński zobaczył piękną Luizę w grudniowy zmierzch, gdy cały jego dom zdawał się być otulony w biel śnieżnego puchu, nie turkotała maszyna do szycia pani Basieńki, która udała się w odwiedziny do Halinki Turlej i ciszą w pracowni była tak wielka, że niemal słyszał, jak bucha ciepło z kaflowego pieca. Pisarz nie zapalał lampy na swoim ogromnym stole i nawet chyba nie zauważył, że wieczór zimowy, odrobinami mroku osypuje książkę i dłonie spoczywające na jej kartkach. Widział Luizę tak wyraźnie jak nigdy dotąd, jakby ktoś raptem wyostrzył obraz pisarskiej obserwacji. Była prawdziwsza i bardziej żywa niż wówczas, gdy wędrowała przez ośnieżony las, a ubogi drwal niby czarodziej uderzeniami witki uwalniał gałęzie z okiści śnieżnej — a one podnosiły się przed nią z ukłonem i prostowały dumnie. I prawdziwszą się Lubińskiemu zdała niż wówczas, kiedy poszła do domku myśliwskiego i tam oddała się stażyście w sposób bezwstydny i wyrafinowany. I również jeszcze bardziej wyrazistą się zdała niż w dzień słoneczny na jachcie płynącym po smaganym wichrem jeziorze, na podobieństwo Elwiry powoli obnażając się i wreszcie spełniając się w krótkiej chwili na deskach drewnianej podłogi jachtu, w trzcinach obrastających brzegi samotnej wysepki.

Ujrzał Luizę w lustrze wiszącym w jej małym mieszkaniu na piętrze wiejskiej szkoły. Odbicie odrobinę zmiękczało ostre rysy, łagodziło brzydotę kanciastego podbródka i zakrzywionego nosa, powiększało oczy, wygładzało zmarszczki na czole i wokół ust, srebrzyło siwe włosy na głowie. Pani Luiza surowym spojrzeniem lustrowała swój wygląd, sprawdzała, czy siwe włosy gładko przylegają do głowy, kołnierzyk białej koszuli jest zapięty pod szyją, kokarda czarnej krawatki nie nazbyt wydaje się fantazyjną i kokieteryjną. Chciała wyglądać tak jak zwykle — schludnie i poważnie, a nawet jeszcze bardziej schludnie i poważnie. Z dołu, z klasy dochodził ją śpiew — pani Halinka powtarzała z uczniami ciągle tę samą piosenkę pożegnalną. Dzieci z najstarszej klasy zrobiły laurkę na brystolu i przewiązały ją czerwoną wstążeczką. W umywalni szkolnej czekały kwiaty, a wizytator z Bart, który jeszcze nie nadjechał, miał przywieźć prezent, zapewne zegar elektryczny, bo taki podarunek otrzymywała zazwyczaj nauczycielka odchodząca na zasłużoną emeryturę. Po wręczeniu prezentu i okolicznościowym przemówieniu wizytatora oraz pani Halinki, zapewne głos zabierze również i ta nowa młoda nauczycielka wyznaczona na miejsce pani Luizy i na razie dojeżdżająca codziennie autobusem z Trumiejek. Dzieci zaśpiewają piosenkę, któryś ze starszych uczniów wypowie pożegnalny wierszyk, będą kwiaty i laurka, potem w pokoju nauczycielskim — wino, ciasteczka, kawa dla szczupłego pedagogicznego grona.

c.d.n.